

Kierowcy – zabójcy | Nerwowo w PiS | Opozycja: trzy drogi | Teorie siusiania
Malinowa zмова | Jagger i inni seniorzy | Strzały w Poznaniu | Hity na lato

ILUSTRACJA ARKADIUSZ HAPKA

POLITYKA.PL

POLITYKA

LIDER
SPRZEDAŻY

TYGODNIK, nr 31 (3424), 26.07–1.08.2023

Cena 11,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

Ceny parzą

Najdroższe wakacje III RP

RAPORT s. 12



USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

SKI team®



Kupuj wygodnie
na skiteam.pl



Wypożyczalnia



Centrum testowe



Serwis



Diagnostyka silników Bosch



Serwis amortyzatorów

CUBE

10%
rabatu

Na najnowszą kolekcję rowerów Cube!

10 lub 20 RAT 0%

RRSO 0% Bez dodatkowych kosztów.

ZAPRASZAMY DO NASZYCH SKLEPÓW STACJONARNYCH

Poniedziałek - Sobota **10:00 - 21:00** | Wszystkie Niedziele **11:00 - 18:00**

WARSZAWA: ul. KOR 36/38 | **WARSZAWA:** ul. Toruńska 107b | **POZNAŃ:** ul. Bułgarska 117a
WROCLAW: CH Arkady Wrocławskie | **KATOWICE:** ul. Sportowa 20 (200m od CH Silesia)



16 Szybcy i martwi



20 Piknik z prezesem



36 Mord w Poznaniu

Tematy tygodnia

- 12 Norbert Frątczak, Violetta Krasnowska
Ile kosztują wakacje
16 Juliusz Ćwieluch **Jak Polacy jeżdżą i dlaczego tak często giną**

Polityka

- 20 Wojciech Szacki
PiS w terenie: tak władza szykuje się do wyborów
23 Cezary Michalski
Pozycje opozycji
26 ROZMOWA POLITYKI
Michał Rusinek o języku polityki i polityków



Spółeczeństwo

- 30 Katarzyna Kaczorowska
Arcybiskup Ryś: kim jest i jaki Kościół reprezentuje
33 Rozmowa z dr **Aleksandrą Bilewicz** o tym, dlaczego PiS nie radzi sobie ze wsią, a jednak na wsi wygrywa
36 Martyna Bunda **Zbrodnia i hejt – czyli co wydarzyło się w Poznaniu**

Rynek

- 38 Joanna Solska
Malinowa zмова?
42 Edwin Bendyk
Dlaczego Polacy wolą dziś iść na etat niż „na swoje”



Świat

- 44 Rozmowa z **Małgorzatą Ławrowską-von Thadden** o tym, jak Rosjanie niszczą ukraińskie muzea
48 Jacek Poprzeczko ROSJA
Dlaczego Putin walczy z LGBT
50 Eryk Kryński WŁOCHY **Lampedusa: śmiercionośny kryzys trwa**
52 Łukasz Wójcik
Czy mężczyźni powinni sikać na siedząco



Nauka/projektpulsar.pl

- 54 Agnieszka Krzemińska
Jak władza chce przed wyborami przypodobać się... poszukiwaczom skarbów
57 Ryszarda Socha **Drzewa miejskie**
60 Krzysztof Potaczała **Chore zuby**



Historia

- 62 Krzysztof Potaczała **Polowania w PRL**
66 Andrzej Krawczyk **Czescy wyklęci**
69 PROSTO Z KSIĄŻKI

Kultura

- 74 Bartek Chaciński **Długowieczność rockandrollowców**
77 Michał Klimko **Letniaki – czyli czego słucha się latem**
80 Kinga Strzelecka-Pilch **Jane Birkin: jak frywolna Angielka stała się wielką Francuzką**



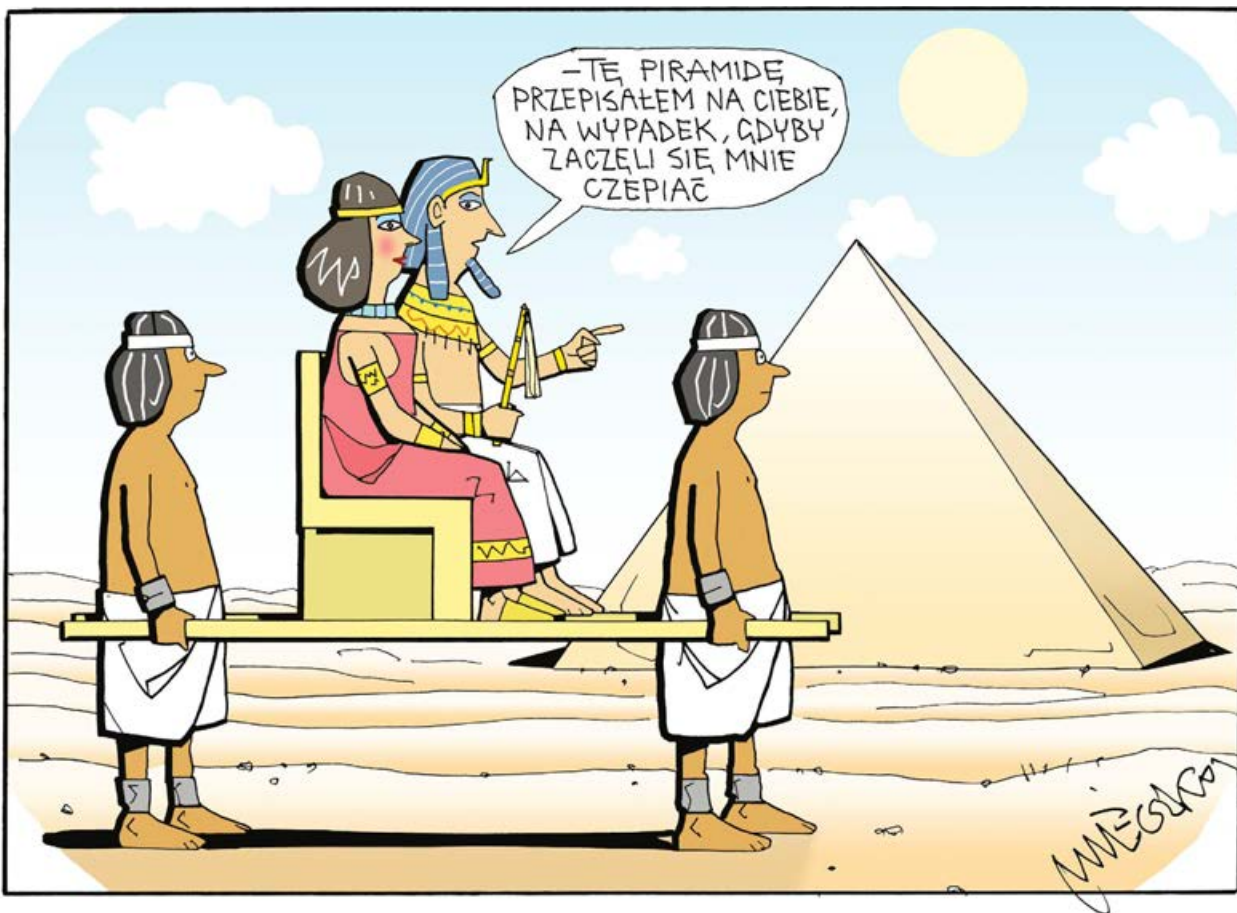
- 83 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**
84 **Christian Petzold** o „Czerwonym niebie” i pracy reżysera
86 KAWIARNIA LITERACKA
Ishbel Szatrawska

Ludzie i style

- 92–97 • **Czy jesteś wyzwolony/a**
• **Inteligentne buty** • **Polskie influ**
• **Dizajn z IKEI** • **Slipki w modzie**
• **Jak dostać się na Olimp**
• **Bób na stole**

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
• 6 Przypisy • 7 Ludzie i wydarzenia
• 70 Afisz • 87 Chutnik i Plebanek
• 88 Wicha • 89 Koziołek
• 91 Do i od redakcji
• 98 Polityka i obyczaj



www.mleczko.pl

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Anatomia zbrodni

Organizacja Ordo Iuris żąda uwolnienia dzielnej Mariki Matuszak, członkini Frontu Oczyszczenia Narodowego, którą polski wymiar sprawiedliwości bezprawnie uwięził na mocy prawomocnego wyroku sądowego, będącego w opinii ministra Zbigniewa Ziobry „sądowym rozbojem”, a nawet „zbrodnią sądowniczą”.

Ziobro już w 2015 r. alarmował, że sędziowie kradną w sklepach spodnie, kielbasę i pendrivy, ale rozbój dokonany przez nich w biały dzień na bezbronnej oskarżonej to coś zupełnie nowego. Matuszak, powiada minister, została skazana za napaść na przedstawicielkę społeczności LGBT+ z tęczową torbą, chociaż nie ma pewności, czy to Matuszak z kolegami napadła na kobietę i torbę, czy raczej sama została przez nie napadnięta.

Z akt sprawy jasno wynika, że torba w wulgarny sposób obrażała Marikę i jej kolegów. W opinii Ziobry вина torby jest bezsporna; gdyby poszkodowana nie epatowała torbą, Matuszak nie miałaby powodu, żeby za nią szarpać. Dziewczyna wyjaśniła zresztą, że do szarpania nie doszło na tle rabunkowym, ale w obronie naruszanych przez torbę wartości chrześcijańskich. W tej sytuacji trudno zrozumieć, dlaczego sędziowie skazali za rozbój Matuszak i jej kolegów, a torbę pominęli.



Wydany przez zbrodniczych sędziów wyrok nie pozostał, niestety, bez wpływu na kruchą psychikę 21-latkę; Matuszak przyznaje, że rok spędzony w zakładzie karnym spowodował u niej „głębką refleksję” nad tym, co zrobiła, w wyniku czego „gorzko żałuje” swojego czynu. Koledzy obawiają się, że złamana krzywdzącym wyrokiem Marika po opuszczeniu zakładu może już nie być sobą i nie odzyskać młodzieńczego zapału do oczyszczania Polski „z brudów i wrogów narodu”. Dziewczyna zapewnia, że jedyne, na czym jej obecnie zależy, to powrót do normalnego życia po ułaskawieniu przez Andrzeja Dudę.

Bez względu na to, jaka będzie decyzja prezydenta, uważam, że zamiast próbować w odruchu samoobrony samemu wyrywać i niszczyć torbę przedstawicielce społeczności LGBT, Marika powinna zostawić całą sprawę policji, która lepiej od niej wie, jak postępować z osobami LGBT+. Nie mam wątpliwości, że widząc na ulicy kobietę z tęczową torbą, funkcjonariusze odebraliby jej tę torbę dużo sprawniej niż niedoświadczona 21-lątka. Jestem również przekonany, że po wylegitymowaniu, doprowadzeniu na komisariat i rozebraniu do naga metodą kucańia i kasłania wydobyliby z właścicielki torby wszystko to, co próbowałaby przed nimi ukryć.



Rejs po Renie i kwitnące tulipany w Holandii

Podziwiał kwitnące tulipany w parku Keukenhof oraz zobacz najpiękniejsze holenderskie miasta podczas 6 wiosennych dni w Holandii.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Frankfurtu. Przejazd do Kolonii. Zwiedzanie katedry. Zaokrętowanie. Dz. 2 Rotterdam. Zwiedzanie miasta. Dz. 3 Enkhuizen. Rejs po Markermeer i IJsselmeer. Piesza wędrówka po Enkhuizen z opcją zwiedzenia Zuiderzeemuseum (dodatkowo płatne). Dz. 4 Amsterdam. Wycieczka do parku tulipanów Keukenhof i zwiedzanie miasta z przewodnikiem. Spacer po Amsterdamzie i rejs po kanałach (wycieczki dodatkowo płatne). Dz. 5 Nijmegen. Spacer po hanzeatyckim mieście Nijmegen. Dz. 6 Powrót do Kolonii. Wylot z Frankfurtu do Warszawy.

6 dni | Wylot z Warszawy 03/04 2024 | **5.998,-**

Wietnam - zwiedzanie i wypoczynek

Odkryj tętniące życiem Ho Chi Minh City, tunele Cu Chi i deltę Mekongu oraz spędź 2 tygodnie w pięknym 4-gwiazdkowym hotelu nad Morzem Południowochińskim.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. Dz. 2 Przyjazd do Ho Chi Minh City. Kolacja powitalna. Dz. 3 Ho Chi Minh City. Tunele Cu Chi i wycieczka po mieście. Dz. 4 Przejazd z Ho Chi Minh City do delty Mekongu. Dz. 5 Mekong Nature Lodge. Zakupy na targu, warsztaty kulinarne i przejażdżka rowerowa. Dz. 6 Przejazd z Delty Mekongu do Mui Ne nad Morzem Południowochińskim. Dz. 7-19 Pobyt w Mui Ne, czas do własnej dyspozycji. Dz. 20 Podróż powrotna do domu. Transfer autokarem do Ho Chi Minh City i przelot do Warszawy. Dz. 21 Przyjazd do Warszawy.

21 dni | Wylot z Warszawy 28/02 2024

12.998,-

W poszukiwaniu Tajemnic Majów – od Panamy do Gwatemali

Jedna wyprawa - moc atrakcji! Zwiedzanie Panamy, Kostaryki, Hondurasu, Salwadoru, Nikaragui i Gwatemali. Piękno przyrody i fascynująca cywilizacja Majów.

19 dni | Wyloty z Warszawy 27/02, 13/11 2024

od **24.998,-**



UWAGA!
Zmiana adresu biura

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107 | Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.

Kod reklamy: PL28

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Zapnijmy pasy



Łukasz Lipiński

Czasem jeden konkretny obraz, jedna bolesna ludzka historia potrafi zmienić dużo więcej niż partyjne strategie, dziesiątki sondaży i pieczołowicie wypracowywane narracje. Rozgrywająca się na oczach całego kraju drastyczna sprawa skrzywdzenia przez policję pani Joanny (pisze o niej obok Agata Szczerbiak) pokazała najdobitniej, jaka będzie stawka nadchodzących wyborów. Każdy Polak i przede wszystkim każda Polka mogli się postawić w sytuacji pani Joanny i zastanowić, co się może z nimi stać, jeśli w swoim prywatnym życiu wejdą w konflikt z aparatem przemocy i propagandy kontrolowanym przez państwo PiS.

Kobieta, która zażywając pigułkę aborcyjną, nie popełniła żadnego przestępstwa, została potraktowana gorzej niż niejeden kryminalista, a skala naruszeń uprawnień i zwykłej ludzkiej przyzwoitości przez funkcjonariuszy zadziwiła najbardziej doświadczonych praktyków. Późniejsze próby obrony działań policji i dyskredytowania przy tym skrzywdzonej kobiety w mediach PiS, ujawnianie intymnych szczegółów jeszcze bardziej pogłębiły wrażenie, że życie w Polsce PiS coraz bardziej przypomina losy Józefa K. z „Procesu” Franza Kafki. W każdej chwili możemy zostać osądzeni i ukarani przez partyjno-państwową maszynę realnej i symbolicznej przemocy, „choć nic złego nie popełniliśmy”.

Pod wpływem sprawy pani Joanny Donald Tusk ogłosił „marsz miliona serc” na 1 października, czyli zapewne dwa tygodnie przed wyborami. Wprawdzie nie wiadomo, czy emocje wokół tej sprawy przetrwają do jesieni, ale widać, że lider Koalicji Obywatelskiej stara się nie wypuszczać z rąk inicjatywy, którą przejął w toczącej się nieoficjalnie prekampanii wyborczej. Tusk coraz odważniej wchodzi na boisko zarezerwowane do tej pory przez PiS, a białe-czerwone serca oraz flagi symbolizujące marsze i wiece KO to otwarte wyzwanie rzucone władzy, która próbuje monopolizować patriotyzm i narodowe symbole. PiS jest trudno na to reagować, bo odpowiedzią nie była chyba pocieszna czapeczka, którą sztabowcy założyli Jarosławowi Kaczyńskiemu na wiecu w Woli Rzędzińskiej. Albo już zgola rynsztokowe wyzwiska prezesa PiS z ostatniego weekendu pod adresem „ryżego” Tuska, „wroga narodu polskiego”, proponującego „język z jakiejś jamy bandyckiej”, który „niech idzie do swoich Niemiec i tam szkodzi”.

Przejęcie inicjatywy przez Tuska oczywiście nie rozwiązuje dylematów opozycji, która na dwa i pół miesiąca przed wyborami wciąż nie wie do końca, w jakiej konfiguracji do nich pójdzie (możliwe wciąż warianty rozważa Cezary Michalski na s. 23). Ale z drugiej strony warto pamiętać, że to partie demokratyczne według sondażowych symulacji wciąż pozostają bliżej sejmowej większości niż PiS (choć rolę języczka u wagi przejęła rosnąca ciągle w siłę Konfederacja).

PiS czeka na nową narrację wyborczą od sztabowców z Nowogrodzkiej, a na razie przepala jeden po drugim pomysły z poprzednich kampanii. Lecz ani obrona Jana Pawła II, ani ataki

na LGBT, ani 800+, ani „obrona suwerenności”, ani pokazy jedności nie działają jak kiedyś. Notowania partii wprawdzie nie spadają, ale też nie rosną. Polacy coraz mniej ufają politykom obozu władzy i coraz gorzej oceniają jej dokonania. Wskazówka poparcia dla PiS zaklinała się na poziomie ok. 35 proc., a to daje zaledwie nieco ponad 180 mandatów w Sejmie. O samodzielnej większości mowy nie ma, próby przekupienia kilku czy kilkunastu posłów też nie wystarczą, trzeba by skłaniać Konfederację do koalicji, mając na głowie zióbrystów we własnym klubie. A to skomplikowałoby sytuację Kaczyńskiego, przywykłego do prawie niepodzielnej władzy.

Oczywiście na obecnym etapie kampanii nie ma co PiS skreślać, już nie raz potrafił nadrobić dystans (o problemach i nadziejach posłów PiS pisze Wojciech Szacki na s. 20). Spin-doktorzy z Nowogrodzkiej wciąż pokładają nadzieję w referendum migracyjnym, które miało się odbyć razem z wyborami. Temat migracji rzeczywiście dawał sukcesy skrajnej prawicy w całej Europie: od Szwecji i Finlandii na północy, po Włochy i Grecję na południu. Nawet w Niemczech ksenofobiczna AfD wyszła na drugie miejsce wśród partii z 20-proc. poparciem. Ale jest iskierka optymizmu: kolejnym krajem ze współzrządzającą skrajną prawicą miała być Hiszpania, ale tamtejsza partia Vox (coś między polskim PiS a Konfederacją) poniosła w niedzielnych wyborach klęskę, tracąc ok. 20 z 52 posłów w porównaniu z poprzednią kadencją.

Samo migracyjne ostrze referendum zostało stępione przez Donalda Tuska – obnażył hipokryzję rządu PiS, który w niekontrolowany sposób otworzył drzwi do naszego rynku pracy, szczując jednocześnie na przyjezdnych robotników. Dlatego sztabowcy PiS zastanawiają się nad dodaniem do referendum dodatkowych pytań, w tym o 800+ i prywatyzację. Ich zdaniem Polaków, także wyborców KO, można straszyć, że po dojściu opozycji do władzy znacznie się wyprzedaż państwowych firm i państwo już nie będzie mogło ich bronić przed skutkami kryzysu ekonomicznego (te i inne pomysły PiS na dodatkowe pytania referendalne opisuje Anna Dąbrowska w serwisie internetowym POLITYKI).

Na razie jednak Polacy rozjechali się na urlopy i zdają się bardziej przejmować wakacyjną drożyzną niż czekającymi ich jesienią politycznymi wyborami (o oszczędzaniu na wakacjach czytaj s. 12). Opinią publiczną wstrząsnęła seria wypadków samochodowych – tylko w poprzednią sobotę na polskich drogach zginęło 12 osób, głównie ofiar brawurowej jazdy (wstrząsający reportaż Juliusza Cwieliucha s. 16). Ale w ciągu najbliższych dwóch-trzech tygodni Andrzej Duda ogłosi oficjalnie termin wyborów, skończą się przymiarki do list wyborczych, bo będzie je trzeba po prostu zarejestrować, a kampania wyborcza przed najważniejszym głosowaniem od 1989 r. ruszy na dobre. Jeśli dotychczasowa prekampania była tylko jej zapowiedzią, to zapnijmy pasy.

Jan Koza



Horror Joanny z Krakowa

Zabrali laptop i telefon, kazali się rozebrać, robić przysiadki jeszcze w trakcie krwawienia, grozili badaniem odbytu – to tylko kilka z przerażających szczegółów tego, jak trzy miesiące temu w krakowskich szpitalach policja potraktowała 30-letnią Joannę.

Kobieta chciała mieć dziecko, ale kiedy zaszła w ciążę, okazało się, że kontynuowanie jej może zagrażać jej zdrowiu. Zamówiła przez internet tabletki poronne – od jesieni 2020 r. wiedza o tym, gdzie szukać w takiej sytuacji pomocy, jest powszechna. Aborcja się udała, ale tydzień później Joanna poczuła się źle, zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Uznała, że sięgnięcie po pomoc to dojrzałe zachowanie. Zadzwoiła do lekarki, która wcześniej przez rok wypisywała jej leki. Psychiatra stwierdziła, że sytuacja wymaga interwencji pogotowia oraz policji. Dziś wiemy, jakimi słowami opisała sytuację Joanny, wybierając numer 112: „Pacjentka dokonała aborcji w domu, (...) chce się zabić w związku z tym”. Potem lekarka będzie się tłumaczyła, raz mówiąc, że nie żałuje tego, co zrobiła, bo ratowała życie (Joanna zaprzecza, że miała myśli samobójcze), innym razem – że dziś zadzwoniłaby tylko po ratowników. Albo pojechałaby do pacjentki sama.

Horror zaczął się szybko, bo policję po przekroczeniu progu mieszkania Joanny nie interesował jej stan, ale aborcja. Gdzie, od kogo, jak kupiła tabletki. Wspominali o przestępstwie, nie precyzując, o jakie chodzi. Prokurator będzie później „wyjaśniał”, że obecność policji wynikała z „konieczności asystowania zespołowi ratownictwa w przewiezieniu pani Joanny”. Kobiętę przewieziono na oddział ratunkowy szpitala wojskowego w Krakowie. Tam policjanci utworzyli kordon dookoła pacjentki. Gdy Joanna nie patrzyła, policjanci przeszukali jej bagaż i zabrali komputer. „Został zabezpieczony na protokół zatrzymania” – usłyszała. Joanna cały czas powtarzała policjantom, że nikt jej do aborcji nie zmuszał, sama zamówiła tabletki i zdecydowała o ich zażyciu, a za to się w Polsce nie karze. Nikt jej nie słuchał. Brutalności policji trudno jest się przeciwstawić, zwłaszcza będąc samą i chorą.

W drugim szpitalu, im. Narutowicza w Krakowie, do którego na badanie ginekologiczne Joannę eskortowała grupa policjantów, czekał następny patrol. To wtedy próbowano wykonać rewizję przez odbytu. Podczas krwawienia. Kazano kaszleć, rozebrać się, robić przysiadki. „Proszę się nie wtrącać w czynności, które wykonujemy” – mówili policjanci.

Po opublikowaniu reportażu o Joannie w „Faktach” TVN policja zaczęła wydawać oświadczenia. I szybko je zmieniać. Jarosław Szymczyk – ten od zabawy granatnikiem, komendant główny Policji – mówi, że „głównym powodem działania policji było zgłoszenie o możliwości popełnienia samobójstwa i podjęcie niezwłocznych działań, by taką próbę udaremnić”. Ze zdaniem medyków i policjantów stan pani Joanny „wynikał z zażywania specyfików abortyjnych”, że „odpowiadała na pytania w sposób chaotyczny i wyczuwalna była od niej woń alkoholu”. Ujawniono, że Joanna leczy się psychiatrycznie. W czwartek 20 lipca podczas konferencji prasowej Szymczyka pokazano zanonimizowane fragmenty rozmowy między psychiatrą a dyspozytorem 112 objęte tajemnicą lekarską. Tylko że po tym, co już wcześniej ujawniono, każdy był w stanie dopowiedzieć sobie, co było w wygumkowanych miejscach.

– *Wstrząsające, bezczelne i skandaliczne. Takich informacji policja nie miała prawa ujawniać* – tak na oświadczenie policji zareagowała Kamila Ferenc, pełnomocniczka pani Joanny. – *Chcę wytłumaczenia swojego działania przez kogokolwiek nie stanowi uzasadnienia dla ujawniania szczegółów objętych tajemnicą lekarską. Przez to często nie możemy się bronić, gdy pacjenci oskarżają nas w internecie. To jedno*



z obciążeń związanych z tym zawodem, z którym każdy z nas musi sobie radzić – komentuje z kolei psychiatra Aleksandra Krasowska.

Ten sam przekaz zaczęli podtrzymywać politycy PiS. Dało się dzięki niemu upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: Joanna ma być osobą niestabilną, co z jednej strony ma wyjaśniać potrzebę interwencji policji, z drugiej podważać jej wiarygodność i opowieść o tym, czego doświadczyła ze strony funkcjonariuszy. I tak Mariusz Błaszczak nazwał ją „chorą kobietą”. Henryk Kowalczyk pokusił się o stwierdzenie, że to „osoba, która ma problemy różnego rodzaju”. Marcin Horała dodawał, że to „pani w stanie głębokiego zaburzenia”. Horała nie poprzestał na jednym stwierdzeniu. W Radiu ZET dał do zrozumienia, że „nie ma pewności, czy do takiego zdarzenia w ogóle doszło”, by potem, zaprzeczając sobie, insynuować zмовę kobiety z politykami opozycji: „Może powiedzieli jej, co ma powiedzieć”.

– *Nie wiem, jak mam na to odpowiedzieć. Trochę chce mi się śmiać, a trochę mam poczucie dowartościowania. Oni naprawdę myślą, że ja stoję tak wysoko?* – odpowiada POLITYKA Joanna. I dodaje: – *Politycy nie muszą się ze mną zgadzać, ale nie mogą być nieświadomi tego, co się dzieje w ich kraju. To, co mi się przydarzyło, stało się tu, w Polsce, więc proszę za to wziąć odpowiedzialność.*

Konsekwencje może ponieść – zamiast policji – stacja, która wyemitowała reportaż o Joannie. Maciej Świrski, przewodniczący Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, zapowiedział, że „w związku ze sposobem informowania o sprawie pani Joanny w audycjach nadawanych przez koncesjonariusza TVN SA” zlecił odpowiednim departamentom KRRiT monitoring oraz wszczął postępowanie wyjaśniające, czy nie zostało złamane prawo. Mariusz Kamiński z kolei żąda przeprosin dla policji, choć Sąd Rejonowy dla Krakowa-Krowodrzy już uznał, że zatrzymanie Joanny było niezgodne z prawem. Podkreślił, że nie było żadnych podstaw, by sądzić, że rzeczy Joanny mogą stanowić dowód w sprawie, bo żadnej sprawy o pomocnictwo w aborcji nie było.

Wreakcji na sprawę Joanny z Krakowa Donald Tusk zapowiedział na 1 października „marsz miliona serc”, by „nie pozwolić na to, żeby to zło panoszyło się nie tylko na szczytach władzy, ale też w naszym codziennym życiu”. Czy uda się powrócić do emocji sprzed trzech lat, kiedy to decyzja Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej w sprawie aborcji nie tylko wyprowadziła na ulice setki tysięcy osób, ale doprowadziła do największego tąpnięcia sondażowego PiS? Okaże się. Na razie wiadomo, że Joanna wciąż zamierza mówić o brutalności policji i państwa PiS. W środę 26 lipca w Sejmie, w czasie spotkania Parlamentarnego Zespołu Praw Kobiet.

AGATA SZCZERBIAK

Cała rozmowa z panią Joanną do przeczytania na: polityka.pl

Ziobro się zakiwał

Zbigniew Ziobro od lat zaostrza prawo karne, a hasło surowej represji dla sprawców jest jego znakiem firmowym. Jak się okazuje, potrafi też stanąć po stronie sprawcy. Właśnie uwolnił z więzienia młodą nacjonalistkę **Marikę Matuszczak** z Frontu Oczyszczenia Narodowego. W ramach oczyszczania narodu napadła z kolegami na inną dziewczynę, usiłując wyrwać jej torbę. Torba była tęcza, a rzecz działa się podczas Marszu Równości, więc prokurator generalny Ziobro uznał, że zbroiła to w ramach ekspresji poglądów, za co represja spotkać jej nie powinna. Pominął przy tym, że w torbie były dokumenty i pieniądze, a napadnięta doznała urazu ręki i musiała skorzystać z pomocy lekarskiej.

Podległa Ziobrze prokuratura – zgodnie z ideą surowej represji – zakwalifikowała czyn jako rozbój, w dodatku o charakterze chuligańskim. Dzięki staraniom Ziobry podniesiono zarówno dolną, jak i górną granicę zagrożenia karą takiego czynu: sąd może dać najmniej dwa lata więzienia (do 12), a jeśli czyn miał charakter chuligański – musi dodać do tego jeszcze połowę najniższej



kary, co razem daje trzy lata. Do tego nie można warunkowo zawiesić wykonania kary surowszej niż 2 lata. W ten sposób, zgodnie z filozofią prokuratora Ziobry, sądy zmuszane są do wymierzania surowszych kar od tych, które w ich ocenie byłyby w danym przypadku adekwatne. Staraniem m.in. Ziobry ograniczono też prawo do przedterminowego zwolnienia: dawniej można było się ubiegać o nie po odbyciu 1/3 kary, teraz – po połowie. To dodatkowo zaostrza represję i uniemożliwia jej łagodzenie.

Sąd podzielił ocenę prokuratury i skazał nacjonalistkę i jej kolegę z FON na trzy lata. Teraz skazaną „za poglądy” w obronę

wzięło Ordo Iuris, które zaapelowało o jej ułaskawienie. Zbigniew Ziobro nazwał wyrok „rozbojem sądowym” i zarządził wypuszczenie kobiety na wolność. Bo surowa represja, owszem, ale nie dla wszystkich. A już na pewno nie dla czystościeli narodu i pogromców LGBT. Zareagowałby wcześniej, na etapie prokuratury (jak np. w sprawie działaczki ONR Justyny Helcyk), ale nie wiedział...

Teraz już wie, i nie odpuści: zapowiedział skargę nadzwyczajną do Izby Kontroli Nadzwyczajnej, w stu procentach złożonej z neosędziów, która od początku miała służyć do korygowania przez władzę wyroków niezawisłych sądów.

A tymczasem wypuszczona na wolność kobieta nagrała apel do prezydenta o ułaskawienie. Wyrok nazywa niesprawiedliwym, zaś kwalifikację karną – „zdecydowanym nadużyciem”. Ale czynu żałuje, bo był „nieakceptowalny”, co od biedy można uznać za wyrażenie skruchy. Do więzienia raczej nie wróci. Gdyby nie wieloletnie zabiegi Ziobry, pewnie by w ogóle do niego nie trafiła, a sąd sądziłby jej np. pracę społeczną na rzecz jakiejś mniejszości, z której chciała „oczyszczyć naród”. (E5)

Koła wyborcze

Rozmowa z Anną Czyżewską, działaczką pozarządową związaną z MamPrawoWiedzieć.pl i zrzeszającą ponad 80 organizacji pozarządowych z Mazowsza Federacją Mazowia, o tym, jak PiS wykorzystuje Koła Gospodyń Wiejskich w kampanii.



zwycięzców oraz ile projektów dostanie pieniądze.

W promocję konkursu zaangażował się sam minister Sasin. Mówił, że „aktywność kół jest Polsce bardzo potrzebna”. Politykom PiS chyba też.

Już sama ustawa o KGW była projektem rządowym. Ta inicjatywa nie wynikała z potrzeb zgłaszanych przez społeczności wiejskie czy organizacje pozarządowe. Koła działały niezależnie i były aktywne. Dziś są w dużej mierze napędzane przekazywanymi pieniędzmi. Dostają je głównie z Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa i muszą wydać w danym roku. Od listopada 2018 r., kiedy ustawa o KGW weszła w życie, przez ARiMR zostało im przekazanych ponad 300 mln zł. Do tego dochodzą pieniądze z licznych konkursów organizowanych przez spółki Skarbu Państwa czy Lasy Państwowe.

Konkurs Pekaó SA pokrywa się z kampanią wyborczą. To przypadek?

Same działania można realizować od początku sierpnia do końca października, czyli dokładnie w czasie kampanii. Podobnie jest z trwającą właśnie „Bitwą regionów”, konkursem kulinarnym dla kół organizowanym przez Ministerstwo Rolnictwa. W sierpniu i wrześniu odbędą się finały wojewódzkie, a patrząc na trwające właśnie finały powiatowe, nie mam wątpliwości, że i tam czeka będą wręczać kandydaci z list PiS.

Władza centralna bywa na tych imprezach?

Nagrody wręcza nie tylko kierownictwo Ministerstwa Rolnictwa. Przekazują je też m.in. były minister rolnictwa Henryk Kowalczyk, minister klimatu Anna Moskwa, minister rodziny Marlena Małąg, sekretarz stanu w MSWiA Maciej Wąsik, a także senatorowie i posłowie. Zdarza się, że odczytywane są listy od Jarosława Kaczyńskiego. Oczywiście politycy jeżdżą tam, gdzie są ich okręgi wyborcze.

Czy gospodynie wiejskie mogą pomóc PiS wygrać wybory?

Nie wiem, czy pomogą, ale na pewno będą organizować wydarzenia za pieniądze np. spółek Skarbu Państwa i w takiej sytuacji trudno będzie im odmówić udziału członków rządu czy wskazanych przez sponsora gości. Będą przemówienia, zdjęcia, relacje w mediach społecznościowych, będą zasięgi. W lokalnych społecznościach z KGW może być podobnie jak z OSP czy klubami sportowymi. Kto ma ich poparcie, ma dużą szansę w wygraniu w wyborach.



Cała rozmowa na polityka.pl

ANNA DĄBROWSKA: – Państwowy Bank Pekaó SA ogłosił konkurs dla KGW. Jedno koło może dostać 7,5 tys. zł. Można powiedzieć, że gospodynie mają teraz finansowe żniwa.

ANNA CZYŻEWSKA: – Na polskiej wsi to fenomen. W całej Polsce mamy ponad 13 tys. kół, w samym tylko woj. mazowieckim – 1799. Konkursów jest mnóstwo. Często są otwarte dla fundacji i stowarzyszeń – przynajmniej w teorii, bo mówi się, że to pieniądze dla KGW, więc nie ma co startować. Tak było choćby ze słynnymi potańcówkami, czyli konkursom organizowanym przez Narodowy Instytut Kultury i Dziedzictwa Wsi. Czekamy na jego wyniki.

Kto w banku będzie oceniał wnioski?

Zarząd i rada fundacji. To zaskakujące, że w konkursie nie ma punktacji, co daje komisji dużą dowolność. Nie wiemy też, jaka jest łączna pula środków dla

Kręta Trzecia Droga

Marek Migalski

Politolog, publicysta, prof. UŚ. Kiedys polityk, a ostatnio wykładowca i pisarz.



W wydarzenia, które zmieniają dynamikę kampanii wyborczej i decydują o tym, kto pije szampana, a kto przelyka gorycz porażki, rozpoznajemy zazwyczaj już po wyborach. Tym razem sowa Minerwy wyleciała przed zmierzchem i już dzisiaj może wskazać na pewien fakt, który bardzo wpłynął na rozkład sympatii społecznych. Tym faktem było połączenie się Polski 2050 z PSL i utworzenie Trzeciej Drogi. Miał on dwojakie konsekwencje – obie niekorzystne dla opozycji.

Po pierwsze, zmniejszył liczbę osób chcących poprzeć partię demokratyczne. Wystarczy prześledzić notowania ugrupowania Szymona Hołowni sprzed fuzji z ludowcami i porównać je z obecnym poparciem dla Trzeciej Drogi. Są niemal takie same, czyli przed tym wydarzeniem sama PL2050 „zbierała” z rynku politycznego tytuł wyborców, ile obecnie koalicja PL2050 i PSL. O ile ludowcom ten mariaż bardzo się opłacił, bo zniknęła groźba nieprzekroczenia progu 5 proc., o tyle Hołownia nic nie zyskała, a wiele straciła. Konkretnie – około połowy zwolenników. Władysław Kosiniak-Kamysz może być zadowolony, bo lider PL2050 spełnił tę samą rolę gwaranta sukcesu PSL, jaką przed czterema laty wykonał Paweł Kukiz, ale Hołownia już tak ukontentowany być nie może.

I tu widzimy drugą konsekwencję utworzenia Trzeciej Drogi – zagospodarowanie części elektoratu PL2050 przez Konfederację. To ta ostatnia partia jest dziś podmiotem skupiającym osoby niechętne dwóm największym ugrupowaniom i spełni tę rolę, którą

w kilku poprzednich elekcjach pełnił Ruch Palikota, Nowoczesna czy Kukiz'15 – czyli stworzenia alternatywy dla wyborców, którzy niespecjalnie interesują się polityką i zawsze szukają czegoś nowego. Czegoś, co wykorzysta ich frustrację, niechęć czy „wkurz” na otaczającą ich rzeczywistość.

Prof. Jarosław Flis nazywa partie, które żywią się takim elektoratem, Tymczasowymi Ugrupowaniami Protestu (TUP), ja zaś stosuję nazwę ONR (Oni Nie Rządzą) lub NA (Niestety Aktywni). W obu przypadkach chodzi o takie formacje, które czerpią poparcie od osób niespecjalnie zorientowanych politycznie, ale – na nieszczęście, według mnie – chcących wyrazić swoje wkurzenie na „system” poprzez akt wyborczy.

Związanie się Hołowni z PSL, czyli z najdłuższą działającą partią polityczną w Polsce, uosobieniem „systemu”, odebrało byłemu prezydentowi TVN nimb antysystemowości i pozbawiło co najmniej połowę zwolenników. I choć dzisiaj wraz z Kosiniakiem-Kamyszem nadal dzielnie walczą, to przecież widać wyraźnie, że Niestety Aktywni poszli sobie od niego. Dokąd? Do Sławomira Mentzena. To zaś znacząco zmieniło stosunek sił między obozem demokratycznym (KO, Trzecia Droga, Lewica) a niedemokratycznym (PiS i Konfederacja). O ile przed powstaniem koalicji PL2050 z PSL więcej wyborców chciało poprzeć ten pierwszy blok, o tyle obecnie widziemy w sondażach prawie idealny remis (50 do 50). To zaś zwiększa szanse partii Kaczyńskiego pozostania u władzy, a przynajmniej oddala perspektywę przejścia jej przez dzisiejszą opozycję. Na szczęście dla niej do wyborów jeszcze trzy miesiące, zatem wiele nowych „gamechangerów” może się w kampanii zdarzyć. Warto ich wypatrywać. Oby okazały się bardziej korzystne dla antyPiSu niż opisany powyżej.

Bezkarna mafia

Ta wiadomość zelektryzowała nie tylko mieszkańców Lubuskiego, bo przypominała o problemie od lat zamiatanym pod dywan. W sobotę w Przylepie w Zielonej Górze wybuchł **pożar składowiska substancji niebezpiecznych** położonego blisko podziemnego ujęcia zaopatrzonego miasto w wodę. Nie wiadomo jeszcze, w jakim stopniu została skażona okolica. To składowisko o pow. 5 tys. m sześć. zostało porzucone przez spółkę Awinion z Budzynia (woj. wielkopolskie). Spółka z kapitałem 5 tys. zł ma na swoim koncie też inne opuszczone składowiska – m.in. w Adamowie koło Wolsztyna (1,4 tys. 200-litrowych beczek rakotwórczych substancji), w Parkowie w gminie Rogoźno (19 ton substancji nie wiadomego pochodzenia w rozszczelnionych beczkach, skażona woda gruntowa), w Poznaniu, Łosińcu, Mielżynie, Kleszczewie, Pile i Kaliszu.

W całej Polsce, według danych departamentu zwalczania przestępczości środowiskowej w Głównym Inspektoracie



Ochrony Środowiska, takich tykających bomb ekologicznych mamy aż **424**. Więcej niż połowa z nich – **271** – to miejsca, gdzie znajdują się wyłącznie odpady niebezpieczne. **152** to miejsca, gdzie leżą odpady zmieszane: niebezpieczne z komunalnymi. Ale zgłoszeń o takich miejscach jest o wiele więcej – w jednym tylko półroczu **1129**. Dotyczą każdej części Polski. W ubiegłym roku NIK, kontrolując postępowania władz danego terenu z takimi wysypiskami, wskazywał na brak narzędzi do odszukiwania sprawców i zmuszenia ich do pokrycia kosztów utylizacji.

Gdy w 2018 r. wybuchło w Polsce 120 pożarów wysypisk (dane za GIOŚ), Mateusz Morawiecki w swoim stylu obwieścił, że „miarka się przebrała” i że „wygonimy mafię śmieciową”. ABW, policji i prokuraturze zlecił pilne zajęcie się problemem „mafii śmieciowej”. Powołano nawet specjalne zespoły w biurze kryminalnym KGP i w prokuraturze krajowej, które miały ustalać powiązania między podmiotami zaangażowanymi w niezgodne z przepisami składowanie odpadów. POLITYKA od dawna dopytuje o efekty tych działań. Prokuratura po kilku miesiącach przekazała tylko, że jak zakończy analizę 250 postępowań z całej Polski, to poinformuje o jej wynikach. Po czym zaległa cisza. Pytana o efekty ABW wykręciła się formułką, że nie informuje o swoich działaniach.

Według naszych ustaleń w biurze kryminalnym KGP powstał raport „Analiza procederu nielegalnego obrotu odpadami w Polsce”. Chcieliśmy się dowiedzieć, co ustalono na temat „mafii śmieciowej” i jej powiązań. Ale okazało się, że jest to „dokument niejawni objęty klauzulą poufne”. Leży pewnie gdzieś w szufladzie, bo jak widać mafia śmieciowa wciąż ma się dobrze. A za utylizację śmieci, na których zarobiła, my zapłacimy. (VKras)



Zbombardowany Sobór Przemienienia Pańskiego w Odessie.

Druga wojna zbożowa

Moskwa znów próbuje wziąć głodem Ukrainę, Zachód i potrzebujące zboża południe świata. Od ponad tygodnia statki z Odessy nie płyną przez Morze Czarne, a rosyjskie bombardowania wskazują, że chodzi nie tylko o zboże, ale też o możliwości wysyłania czegokolwiek drogą morską z portowych miast Ukrainy. O ile pierwszy kryzys w ubiegłym roku częściowo zażegnało porozumienie wynegocjowane przez ONZ i Turcję, o tyle dziś szanse dyplomacji w tym formacie wydają się mniejsze. Erdoğan naraził się Putinowi, otwierając Szwecji drogę do NATO na szczycie w Wilnie

i czyniąc wyraźny zwrot w stronę Unii Europejskiej. Ale turecki lider, który prestiżowo i ekonomicznie zyskał na uspokojeniu sytuacji na Morzu Czarnym, nie poddaje się i zapowiada na sierpień kolejne rozmowy z Putinem. Ten w zamian za jakiegokolwiek ustępstwa domaga się zniesienia sankcji na rosyjskie zboże i nawozy, przyłączenia rosyjskich banków do systemu SWIFT i wznowienia dostaw części zamiennych i urządzeń dla rosyjskiego rolnictwa i przemysłu spożywczego. Gra więc o pieniądze, które oczywiście są mu potrzebne na przedłużanie wojny. To dziś jej główny front, bo na polach bitew nie widać ani dynamiki, ani szans na przełom.

W Brukseli po raz pierwszy na kryzysowym spotkaniu, na wniosek Kijowa, zbiera się świeżo powołana Rada NATO–Ukraina. Ale czy w grę wchodzi rozwiązanie „siłowe”, jak eskortowanie statków ze zbożem przed okrętami NATO? Rozwiązanie takie bywa proponowane przez zwolenników stanowczego podejścia do Rosji, ale szanse ma takie jak niegdyś strefa zakazu lotów czy międzynarodowe wojska w Ukrainie. Pytany o to Pentagon przyznaje, że nie ma sił morskich na Morzu Czarnym ani możliwości, by ustanowić kordon ochronny. Atakami na statki nawzajem straszą się Rosja i Ukraina. Nowy poziom eskalacji wisi w powietrzu. Z powietrza spadają też co noc pociski na ukraińskie porty i nadmorskie miasta, Odessę i Mikołajów. Płoną silosy, walą się terminale przeładunkowe, giną cywile. Za jakiś czas Ukraina może nie mieć jak eksportować zboża, nawet jeśli morski tranzyt powróci. Mając świadomość wyborczego znaczenia tematu zawałonego w zeszłym roku, PiS zaczął sugerować wydłużenie blokady importu ukraińskiego ziarna do Polski (z możliwością tranzytu do portów), na co ukraiński premier napisał, że to krok populistyczny i nieprzyjazny. W tym zbożu Putin podłożył niejedną minę.

MAREK ŚWIERCZYŃSKI

Hiszpania pośrodku

Niedzielne przedterminowe wybory w Hiszpanii wygrała chadecka Partia Ludowa (PP), uzyskując 136 mandatów – o 47 więcej niż w poprzednich wyborach w 2019 r. Centroprawica szykowałą się do przejęcia władzy razem z nacjonalistyczną partią Vox, ale ugrupowanie to znacząco osłabiło swój stan posiadania. Radykałowie otrzymają zaledwie 33 miejsca, o 19 mniej niż w obecnym parlamencie. W efekcie centroprawicowy blok, któremu sondaże wróżyły sukces, nie będzie mieć przewagi. Zabraknie mu siedmiu mandatów do uzyskania absolutnej większości w liczącym 350 osób Kongresie Deputowanych, niższej izbie parlamentu. Sojusz chadeków z radykałami ograniczy z kolei potencjał koalicyjny PP, inne partie odmawiają bowiem współpracy z ugrupowaniem Santiago Abascała, który domaga się m.in. ograniczenia autonomii regionów.

O sukcesie może mówić obecny premier i lider Hiszpańskiej Socjalistycznej Partii Robotniczej (PSOE) Pedro Sánchez, któremu z kolei wróżyono wielką przegraną. Chociaż jego ugrupowanie zajęło drugie miejsce, to o dwa mandaty poprawiło wynik sprzed czterech lat, zdobywając 122 miejsca.



Głosowanie w galisyjskim Foz.

Utrzymanie władzy przez Sáncheza nie będzie jednak łatwe – sojusz z lewicowym blokiem Sumar również nie daje mu większości. Sánchez znowu będzie musiał się zwrócić ku partiom separatystycznym, ale tym razem nie wystarczy poparcie lewicowej katalońskiej Esquerra Republicana de Catalunya (ERC). To, czy socjaldemokraci będą dalej rządzić, najprawdopodobniej będzie zależało od partii Junts Carles Puigdemonta, a ta w obecnym parlamencie nie popierała rządu Sáncheza. Współpraca z ugrupowaniem Puigdemonta, inicjatora nieuznanego referendum niepodległościowego w Katalonii w 2017 r., zrodziłaby jeszcze większe kontrowersje, bo już dotychczasowa współpraca PSOE z umiarkowanymi partiami separatystycznymi budziła wątpliwości.

Lider PP Alberto Feijóo w noc wyborczą ostrzegł, że to on ma prawo do formowania rządu i nie pozwoli Sánchezewi na ponowne „blokowanie Hiszpanii”. Miał zapewne na myśli 2016 r., kiedy lider socjaldemokratów zablokował starania ówczesnego premiera Mariano Rajoya z PP o utworzenie nowego rządu, odmawiając wstrzymania się od głosu w wotum zaufania. Powtórzenie tego scenariusza może oznaczać kolejne przedterminowe wybory. Elekcja w Hiszpanii miała stanowić przedsmak przetasowań w Parlamencie Europejskim po wyborach w czerwcu 2024 r. Wbrew przewidywaniom tu akurat mocny skręt w prawo nie nastąpił, a zamiast pewnego rozstrzygnięcia Hiszpania weszła w okres politycznego rozchwiania i niestabilności.

MAGDALENA CEDRO

Izraelski wstrząs

Benjamin Netanjahu dopiął swego. Kneset przegłosował kluczową reformę wymiaru sprawiedliwości. Odebrał sądowni najwyższemu prawo do obalania tych decyzji rządu, które sąd uzna za „nieracjonalne”, np. w styczniu nie zgodził się, by ministrem finansów został polityk skazany za oszustwa podatkowe.

Opozycja uznaje to za sądowy zamach stanu. Do ostatniej chwili próbowała powstrzymać większość parlamentarną, najbardziej konserwatywną i nacjonalistyczną w historii kraju, niechętną kontroli sądowej i niekryjąca autorytarnych ciągłot. Argumenty ma podobne do tych padających w Warszawie i Budapeszcie. Twierdzi, że sąd usurpuje sobie uprawnienia, bo nie powinien na podstawie subiektywnego widzimisię podważać woli reprezentantów wybranych przez społeczeństwo. Większości, w której silny głos mają ortodoksi, nie podoba się też dorobek sądu najwyższego jako obrońcy praw mniejszości, w tym izraelskich Arabów i członków społeczności LGBT.

Zmierzamy w stronę katastrofy, przestrzegaliśmy tuż przed głosowaniem opozycyjny lider Yair Lapid. W tym czasie policja oblewała z armatek wodnych tłumy demonstrantów blokujące dostęp do Knesetu. Manifestanci wdarli się do jego ogrodów, przekonani, że reforma oznacza koniec praworządności i demokracji i jest wstępem do dyktatury. Nie ma wielu innych zabezpieczeń praworządności, więc Netanjahu, za którym ciągną się zarzuty o korupcję, rozwiązał sobie ręce.



Marsz w obronie demokracji z Tel Awiwu do Jerozolimy.

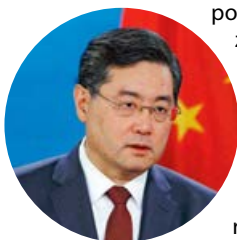
Nie powstrzymała go przeprowadzona na godziny przed głosowaniem nieplanowana operacja wszczęcia rozrusznika i trwające od siedmiu miesięcy regularne, bezprecedensowo wielkie demonstracje. Na niewiele zdał się marsz dziesiątek tysięcy osób wędrujących z Tel Awiwu do Jerozolimy, ogólnokrajowy strajk firm, rady Joe Bidena, prezydenta Stanów Zjednoczonych i głównego sprzymierzeńca, by się z reformą nie spieszyć. Podobnie w próżnię trafiły apele byłego szefa Mosadu czy deklaracje o odmowie służby przez tysiące oficerów z korpusu rezerwistów wojska i sił bezpieczeństwa,

którzy nie chcą słuchać rozkazów niedemokratycznego rządu. Prezydent Jicchak Herzog mówi wręcz o stanie wyjątkowym.

Izrael jest głęboko podzielony, przechodzi jeden z najpoważniejszych wstrząsów wewnętrznych. W stopniu dotąd niewidzianym zaostriżył się język debaty publicznej, podziały mają wpływ na kondycję armii. Netanjahu doprowadził do napięcia, które stanie się testem izraelskiej państwowości. Prasa krytycznie nastawiona do premiera pisze, że stawką jest izraelska dusza, przyszłość kraju i to, czy w ogóle przetrwa.

Zaginął minister

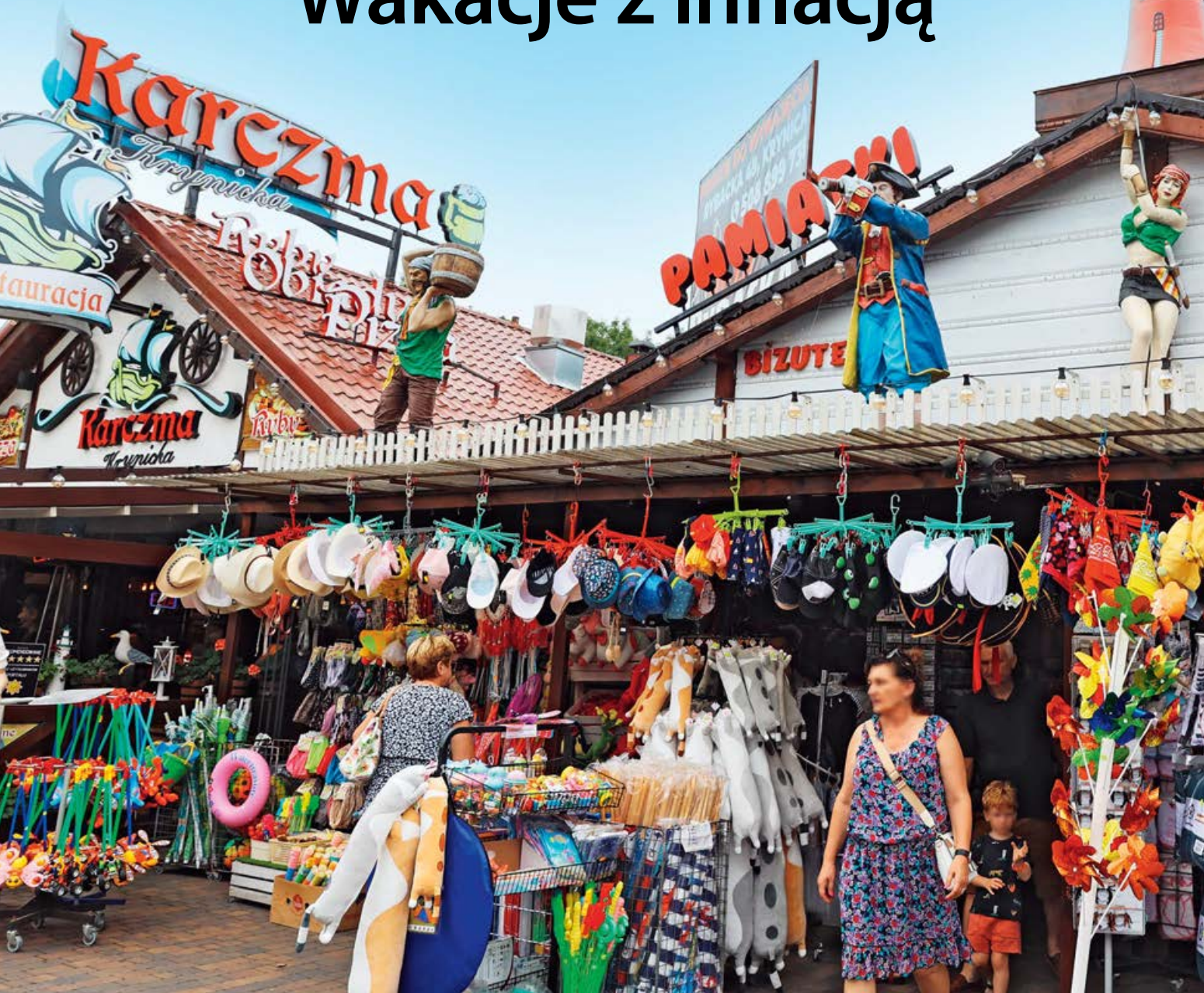
Zaginął **Quin Guang**, chiński minister spraw zagranicznych. Ostatni raz widziany był publicznie, kiedy uśmiechnięty żegnał rosyjskiego wiceministra Andrieja Rudenkę, który przybył do Pekinu opowiedzieć stronie chińskiej o sytuacji po rebelii Prigożyna. A było to dobre trzy tygodnie temu. Miał być na szczycie ASEAN, ale się nie pojawił, co rzeczniczka ministerstwa tłumaczyła, że to „sprawa zdrowotna”, ale później ten fragment zniknął z oficjalnego stenogramu; odwołane zostało, na dwa dni przed, od dawna planowane spotkanie z szefem unijnej dyplomacji Josepem Borrellem, a także szereg innych; ministra nie było też podczas nieoczekiwanej wizyty stulotka Henry’ego Kissingera, którego na koniec przyjął i komplementował sam przewodniczący Xi.



Wszystko to wywołało powódź spekulacji; Quin jest jedną z najbardziej rozpoznawalnych postaci chińskiego życia publicznego, a czasy w polityce zagranicznej są gorące i wymagają silnego sternika. W sytuacji próżni informacyjnej Pekini obserwatorzy zbudowali wiele teorii. Może to jednak nagła choroba? Choroba na szczytach chińskiej władzy jest czymś prywatnym i wstydliwym, nie było np. informacji podczas pandemii, że ktoś z kierownictwa zachorował na covid. Ale skąd problem, żeby o tym poinformować i uciąć spekulacje? Brany pod uwagę był też wątek romansu z młodą dziennikarką telewizyjną, ona zresztą również znikła, a rzeczniczka komentowała, że „nie ma żadnych informacji do przekazania”, co jeszcze podsyciło plotki. Był także wątek korupcyjny i ocierający się o kwestie bezpieczeństwa państwowego, oba pozostawione bez komentarza.

Kiedy w Chinach znikają ludzie – czołowi politycy, biznesmeni czy celebryci – przeważnie kończy się to dla nich źle. Po jakimś czasie publicznej nieobecności pojawiają się oskarżenia. Ale to nie reguła, ludzie wracają też jak gdyby nigdy nic, bez słowa komentarza. Takie są zasady systemu, który ma obsesję na punkcie tajemnic i sekretów. Tak może również być z ministrem Quinem. Xi Jinping też zresztą raz zniknął (na dwa tygodnie w 2012 r., tuż przed objęciem władzy), do dziś nie wiadomo, z jakiego powodu. I tu dochodzimy do meritum. 57-letni Quin, „stalowa pięść w aksamitnej rękawiczce” – jak o nim mówią – to osobisty wybranek Xi. I jedna z najszybszych karier: ministrem został ledwie w grudniu, po 18 miesiącach w ambasadzie w Waszyngtonie. Xi miał go wypatrzeć, kiedy Quin był szefem protokołu w MSZ i przygotowywał zagraniczne podróże przywódcy. Jednym słowem: wszystko, co dotyczy Quina, uderza także w Xi – czyżby popełnił błąd w castingu? A przecież Xi się nie myli.

Wakacje z inflacją



NORBERT FRĄTCZAK, VIOLETTA KRASNOWSKA

Oszczędzamy cały rok na letni wypoczynek, a starcza na coraz mniej. Urlopowicze, ciśnięci zewsząd drożyzną, starają się ratować swoje wakacje, jak się da. Żeby dobrze wypocząć, trzeba się w tym roku mocno namęczyć.

U

biegły tydzień, środek sezonu, ale w południe w Krynicy Morskiej sennie. W lunaparku pusto, przy straganach cisza, kolejek do lodów i gofrów nie ma. Kobieta stara się odwrócić uwagę dziecka od budki z zakręconymi frytkami z posypką, w tym roku sprzedawanych po 15 zł za patyk, ciągnąc je za rękę na drugą stronę ulicy.

Nieliczni wczasowicze włączają się po Gdańskiej wzdłuż knajp, spoglądając na cenniki, mrużąc oczy z niedowierzaniem. Zestawy (czyli frytki i surówka) z rybą (160 g porcja): najtańszy jest śledź



Stragany w Krynicy Morskiej.

– 49 zł, za sandacza, halibuta czy dorsza trzeba zapłacić od 59 zł w górę.

Ale głównie drepcze się po molo, w tę i z powrotem, starając się trzymać z dala od drogiego, kolorowego kiczu. Choć i tu nie jest się wolnym od ponęt – gokartów na pedały czy rejsów łódki po Zalewie Wiślanym – bo naganiacze zaczepiają. Samochodziki elektryczne, łódeczki, trampolina – każda z tych „atrakcji” to 15–20 zł za 10 minut. Raz po raz da się słyszeć pojękiwania maluchów: Ale dlaczego nie mogę? A i tak wychodzi z tego średnio wydatek rzędu 100 zł dziennie. Dzieci miny mają już skwaszone, ale rodzice też, bo nie po to cały rok odkładali na wakacje, żeby teraz przez tydzień zdzierać klapki po betonowym pasażu.

A oszczędzają na to rok i dłużej. Według „Barometru Providenta” niemal 40 proc. planujących wakacje przyznaje, że aby uzbierać na wakacyjny wypoczynek, potrzebują od 7 do 12 miesięcy. Natomiast 17,5 proc. ponad rok. I to, co wynika ze wszystkich badań dotyczących urlopów – już nie na dwa tygodnie jak kiedyś, ale na 5–7 dni, maksymalnie 10.

A ile trzeba na to odłożyć? Z badań „Barometru Providenta” wynika, że 3200 zł, czyli więcej o 474 zł niż w ubiegłym roku. O większych kwotach mówi analiza Związku Banków Polskich – żeby mieć skromne wakacje, trzeba zebrać 1614 zł na osobę. Na rodzinę wychodzi 4035 zł (wynika to z przeliczenia, ile badany zamierza wydać i na ile osób). Czyli prawie tysiąc złotych więcej niż w ubiegłym roku.

Ale ile potrzeba realnie, to już nieco inna sprawa. Sporo zabierają wydatki, na które zwykle nie patrzy się przy planowaniu. Jak np. koszt biletu na jedyny parking przy plaży w Krynicy Morskiej – 25 zł na minimum dwie godziny. To częsta wakacyjna niespodzianka nie tylko nad morzem. Parking pod zaporą na Solinie – 20 zł czy na Przełęczy Wyżna w Bieszczadach, skąd rusza się na szlak na Połoninę Wetlińską – 30 zł. A gdy ktoś chce coś jeszcze zwiedzić, to koszty idą ostro w górę.

Muzeum na Wawelu zlikwidowało łączony bilet (Wawel od A do Z), który kosztował tylko 151 zł. Tylko, bo gdy rozbito bilety na różne trasy, wyszło, że za zwiedzenie wszystkiego przez dwoje rodziców z dzieckiem trzeba zapłacić 647 zł. Rodzina 2+2 na zwiedzenie tylko Skarbca, komnat królewskich i smoczej jamy musi wydać 216 zł. Do drogiej muzeów w Polsce zalicza się Kopalnia Soli „Wieliczka” oraz Muzeum Zamkowe w Malborku. Ceny biletów rodzinnych wynoszą tam odpowiednio 270 i 260 zł (Minister Gliški zaapelował do muzeów, żeby cofnęły podwyżki, na razie bez powodzenia). Nie wspominając o kosztach lokalnych atrakcji. Przykładowo Oceanarium w Międzyzdrojach – 16 m korytarza, gdzie można oglądać ryby – według relacji turystów można zwiedzić w 20 min, a cena biletu normalnego to 70 zł, ulgowego 60 zł.

Klient wydrenowany

Wiadomo, że największe pieniądze pochłaniają noclegi i koszty życia na wakacjach. Oferty oczywiście są różne w zależności od portfela. Rodzina 2+2 planująca wyjazd na trzy dni nad morze (cztery noce) ma do wyboru glamping, czyli wypasiony kemping z dużym eleganckim namiotem z łazienką, w Łazach 200 m od morza, za 2700 zł. Zdecydowali się jednak na namiot typu „Safari”, już bez łazienki (2 zł za 6 minut pod prysznicem na kempingu) za 300 zł za dobę. Obiad w pobliskiej knajpce (placki ziemniaczane) kosztował ich 120 zł, potem jeszcze smażalnia – 220 zł (porcje oszczędnie podzielili na pół). W sumie – jak wylczyli – za te trzy dni wyszło 1500–1700 zł. Nie licząc kosztów paliwa. Niemało. Z kolei tydzień półkolonii w zoo we Wrocławiu to tysiąc złotych. Gdzie indziej dzień półkolonii kosztuje 200 zł, tydzień – 700 zł. A dzieci mają w tym roku 72 dni wakacji. Koszty rosną. Mimo to 20 mln Polaków zadeklarowało, że wyjedzie w wakacje, z czego 11 mln 200 tys. zostanie w kraju, a 9 mln uda się za granicę. 5 mln nie planuje w ogóle wyjazdu wypoczynkowego w tym roku. 51 proc. (wobec 29 proc. z poprzedniego badania w 2019 r.) odpowiada, że nie ma na to pieniędzy (badanie z maja Ipsos Polska).

Hania i Paweł z Łodzi to weterani bałtyckich plaż. Byli już w Trójmieście, Kołobrzegu, Stegnie, Świnoujściu, Jastarni, Ustce i Łebie. On jest księgowym w miejskim przedsiębiorstwie, ona nauczycielką w publicznej podstawówce. Na wakacje odkładają cały rok. – *To prawda, w ostatnich latach trzeba odkładać nieco więcej, ale daleki jestem od twierdzenia, że nad polskim* ►

► *morzem jest jakoś niewyobrażalnie drogo* – mówi Paweł. I wylicza: pokój w pensjonacie w Krynicy Morskiej dla dwóch osób – 180 zł za dobę. Obiad – zależy, jak trafisz, ale zestaw z rybą, frytkami i surówką dostaniesz już za 50 zł od głowy. A jak odejdziesz trochę od wody, to i schabowego z ziemniakami i zupą można zjeść za 40 zł. Piwo – 15 zł, niewiele więcej niż w barze w mieście. Za goframi i lodami nie przepadają, ale widzą, że drogie (gofr z bitą śmietaną i owocami – 25 zł, gałka lodów – 8 zł). W pensjonacie mają lodówkę, więc kanapki na śniadanie robią sobie sami. I to się opłaca, bo jajecznica albo parówki z pieczywem w barze kosztują 35 zł. – *Mamy jakiś budżet, ale nie trzymamy się go kurczowo. Jak gdzieś jest za drogo, po prostu tam nie kupujemy* – dodaje Hania. Jej zdaniem w tym roku ceny nie są specjalnie wyższe niż rok temu. Wtedy przeżyli szok, ale wytłumaczyli sobie to tym, że branża musiała się jakoś podnieść po pandemii. W tym roku po prostu przywykli.

Wytrzymać ten tydzień

Ci, którzy nie oszczędzili wystarczająco przed wakacjami, oszczędzają na wakacjach. – *Wydać szybko duże pieniądze nie jest tu trudno* – przyznaje Teresa z Podkarpacia, która z rodziną przyjeżdża do Międzyzdrojów co roku. Zwykle wynajmują to samo małe mieszkanie z kuchenką, przywożą ze sobą słoiki z jedzeniem, obiady przygotowują sobie sami, bo najważniejsze jest dla nich morze i plaża. Oczywiście – mówi – można w restauracji zamówić dla dwojga turbotą z kieliszkiem białego wina za 400 zł, ale można też zjeść obiad domowy. To alternatywna oferta w każdej chyba miejscowości turystycznej. W Międzyzdrojach w „obiadach domowych” kotlet mielony z ziemniakami i surówką kosztuje 15 zł, pierogi 12 zł, grochówka z pieczywem – 9,99 zł.

We Władysławowie też kusi się obiadami dnia – 35 zł za zupę i drugie danie. Jest wtorek, w jadłospisie pomidorowa z kluskami oraz bitka wołowa w sosie z ziemniakami i surówką z białej kapusty. Na prostopadłej ulicy smażalnia serwuje dorsza na papierowym talerzu po 14 zł za sto gramów, co może i brzmi kusząco, ale tylko do czasu, gdy na stole ląduje rachunek i okazuje się, że zjedliśmy 300 gramów ryby za ponad 40 zł (do tego dodatki za 19 i piwo za 12). – *Ja tam się obejdę bez dorsza* – mówi mężczyzna do swojej partnerki, po czym oboje skręcają w kierunku „obiadów domowych”.

– *Teraz jest trochę lepiej, ale początek sezonu był słabiutki* – mówi właścicielka smażalni przy plaży. – *Klient uboższy, wydrenowany przez drogi opał na zimę i ogólną drożyznę. Do tego pozbawiony bonów turystycznych (na dzieci), które ożywiły jakoś poprzednie sezony.*

Sytuację ratują babcie lub dziadkowie. Tydzień w Łebie Marcie i jej córce, 5-letniej Alicji, zasponsorowała babcia dziewczynki i to ona zapłaciła 3 tys. zł za pokój dla nich. Marta zapłaciła tylko za bilety kolejowe dla wszystkich, wyszło też niemało – 800 zł w obie strony.

Właściciele nadmorskich hotelików i pensjonatów pocieszają się, że nad morzem to ciągle jeszcze początek sezonu. Bo turyści przyzwyczaili się, że piękna pogoda i gorąc zaczyna się dopiero z połową lipca. Ale przyznają, że jak dotąd wiało pustką. Wszędzie napisy „wolne pokoje”. Jak podaje Izba Turystyczna, obłożenie hoteli w Gdyni i okolicznych miejscowościach wynosi ok. 70 proc. Przed rokiem było to 90 proc. W mniejszych miejscowościach, takich jak Władysławowo, Jurata czy Jastarnia, sięga ono zaledwie 50 proc. Rezerwacje na sierpień mówią, że jednak lepiej nie będzie. Szykuje się 50–60-procentowe obłożenie. Przedsiębiorcy przyznają, że musieli podnieść ceny o co najmniej 15 proc.



Ceny na Wybrzeżu mogą przerazić.

Nie ma się co oszukiwać, mimo że Wybrzeże to pierwszy wybór wakacyjnej Polaków, turystów jest w tym roku mniej. Bo ich nie stać. Według badań zleconych przez Związek Banków Polskich 41 proc. ankietowanych deklaruje ograniczanie wydatków lub w ogóle rezygnację z wypoczynku, „bo ich na niego nie stać”. I jest to wzrost o 9 proc. w stosunku do ubiegłego roku. Na pogorszenie sytuacji finansowej skarżą się wszystkie grupy społeczne, choć najbardziej odczuwają to osoby w przedziale wiekowym 45–54 lata – 73 proc. Co do miejsca zamieszkania to niemal wszyscy mieszkańcy Dolnego Śląska deklarują pogorszenie sytuacji, w województwie lubuskim, łódzkim i świętokrzyskim też większość, bo 76 proc. (w badaniach Providenta przoduje świętokrzyskie). Co ciekawe, najgorzej oceniają swoją sytuację mieszkańcy dużych miast powyżej 500 tys. mieszkańców – 83 proc. wskazań. W mniejszych, do 10 tys. mieszkańców, pogorszenie sytuacji finansowej deklaruje tylko 8 proc. badanych.

Wszyscy odczuwają cięższe czasy. Nawet ci bardziej majątni. Jeszcze co prawda na stronie internetowej hotel Bryza Krzysztofa Niemczyckiego w Jastarni – top of the top luksusu – oferuje „błogi wypoczynek i relaks w wersji premium”, czyli tydzień za jedyne 1910 zł za noc, jednak i on spuścił z ceny. Jak mówi POLITYCE Jacek Stojek, dyrektor ds. handlowych hotelu, zdjęto tę ofertę i każdy dzień jest liczony standardowo za 1820 zł za 2-osobowy pokój z wyżywieniem. Choć w ten weekend wolnego pokoju już nie było, to przyznaje, że obłożenie jest mniejsze niż dotąd: – *Obserwuję nieznaczny, ale regres.* Tłumaczy to sobie ogólną niepewną sytuacją, wojną za wschodnią granicą, inflacją, poczuciem niepewności co do przyszłości, a dla biznesmenów – a ci są najczęściej klientami hotelu – to jest ważne.

Zamiast drogich hoteli często wybierane są apartamenty, koniecznie z dostępem do kuchni, tak by samemu przygotować sobie posiłki. Dlatego Biedronka w Jastarni jest stale oblegana. Coraz częściej widać, jak do wszystkich ośmiu stanowisk kasowych ustawiają się kilkumetrowe kolejki.

Patrycję i Grzegorza spotykamy w markecie w Gdańsku. Na wakacje przyjechali z siedmioletnią córką. – *Wiedzieliśmy, że będzie drogo, ale takich cen jak te na mieście, się nie spodziewaliśmy* – opowiada Grzegorz. Ale co zrobić, jak już się przyjechało, to trzeba jakoś wytrzymać ten tydzień i spróbować nie



Rośnie zainteresowanie tańszymi Bieszczadami. Na fot. schronisko Chatka Puchatka na Połoninie Wetlińskiej.

zbankrutować. Dlatego wspólnie z Patrycją narzucili sobie rygor. – Na rybę do smażalni pójdziemy raz, pewnie pod koniec wyjazdu. Poza tym jemy w barach z domowym jedzeniem. Piwo do obiadu bierzemy na spółkę, z dwiema słómkami. Śniadania i kolacje na kwaterze, z tego, co kupimy w sklepie. Mała też ma limit – jeden lód dziennie. Wszelkie stragany z zabawkami omijamy szerokim łukiem – tłumaczy para. A za rok – jak mówią – albo znajdą jakieś tańsze miejsce nad polskim morzem, albo pojedą gdzieś indziej. Może nawet za granicę, bo znajomi piszą, że jak się dobrze poszuka, to można w miarę niedrogo wypocząć i jeszcze zobaczyć coś nowego.

Sopot to kompletnie inna bajka. Tutaj lokalny biznes celuje w klienta o głębszych kieszeniach, który nie zawaha się zapłacić 30 zł za zapiekankę z okienka na Monciaku, 20 zł za frytki i 16 za dużego loda. Noc spędzi w hotelu za 800 zł za dobę, z wydzieloną plażą, bez parawanów. W Sopocie praktycznie nie ma już klienta piwnego – przegoniły go zakazy picia alkoholu na plażach, sprzedaży napojów wysokoprocentowych między drugą a szóstą rano i mała liczba sklepów z koncesją. Władze miasta nie ukrywają, że chcą uczynić z Sopotu ekskluzywny nadmorski kurort, taki, po którym nie paraduje się bez koszulki albo w samych slipkach. Efekty widać gołym okiem: dobrze odziani turyści, nierzadko zagraniczni, przemierzają deptak pewnym krokiem, a dzieci marudzą głównie ze zmęczenia, a nie z braku atrakcji.

Polowanie na okazję

Po internecie krążą memy, że Bałtyk to w tym roku opcja dla bogatych. Turystom o płytszych kieszeniach zostają wakacje za granicą. – Coś w tym jest – mówi Mariola, która właśnie wróciła z urlopu w Trójmieście. – Na początku sezonu byłam w Wenecji i za wszystko – począwszy od hotelu, przez restauracje i zakupy w markecie – zapłaciłam mniej – tłumaczy. Właściwie tylko podróż pociągiem do Gdyni wyszła ją taniej niż samolot do Włoch. – Ale jak umiesz szukać biletów, to i tam doleć za 250 zł.

Mistrzami wyławiania lotniczych okazji zdecydowanie jest pokolenie Zet – urodzeni po 1995 r. 15 proc. z nich decyduje o kierunku urlopu podejmując pod wpływem okazjnych cen biletów. Pomaga dobre obeznanie z internetem i wyszukiwarkami, a także poczta pantoflowa. – Mój znajomy spędził w Grecji

10 dni z rodziną – żoną i dwójką dzieci – i wyszło im po 2,5 tys. zł na osobę, licząc z wynajęciem samochodu na miejscu. To taniej niż w Polsce. Jak na to trafił? Po prostu kolega polecił mu kontakt na miejsce, poza znanymi szlakami i bookingiem. Żeby zrobić rezerwację, musiał dzwonić tam na telefon stacjonarny – opowiada Mariola.

Choć i w biurach turystycznych można znaleźć niedrogie, bardzo konkurencyjne dla polskiego morza oferty w Bułgarii, Albanii czy Turcji. Potwierdzają to też badania – Polacy chętniej niż rok temu planują wakacje za granicą. W tym roku to 22 proc. I ma to związek z cenami właśnie.

Jest jeszcze inna opcja. Szukanie mniej oczywistych, mniej znanych, a przez to tańszych kierunków. Tak zaczęła kombinować Marta, project menedżer, choć nie zarabia mało, w ogóle postanowiła zrezygnować w tym roku z wyjazdu nad Bałtyk. Planowała przedłużony weekend w Sopocie, od czwartku do niedzieli, ale ceny ją odstraszyły. Choć myślała, że jest zaprawiona w boju, bo nad polskie morze jeździ w miarę regularnie. – Tydzień przed wyjazdem szukałam hotelu ze śniadaniem na Bookingu. Cena za dobę: 800 zł. Najtańszą ofertę znalazłam za prawie 600 zł – wyjaśnia. Postanowiła więc zmienić plan i dojechać do rodziny do Jastarni. – A tam małe domki albo pokoje dla jednej osoby, dodam, że dość obskurne, kosztują od 270 zł za dobę. Postanowiłam więc, że odpuszczę sobie Bałtyk i zamiast tego pojedę na Mazury.

Według badań nad wyborami wakacyjnymi Polaków – w poszukiwaniu tańszych ofert – rośnie zainteresowanie dotąd mniej popularnymi terenami, jak Podlasie, Roztocze, Bieszczady. Mirosław Piela, przewodnik bieszczadzki, który ma na swoim profilu na Facebooku 90 tys. obserwujących, przyznaje, że coraz więcej jest zapytań o urlop w Bieszczadach i o ceny. – Jak w telewizji usłyszałem o cenach 140 zł za dobę nad morzem, to za głowę się złapałem – mówi. W Bieszczadach można wynająć pokój za 70 zł za osobę. Choć, patrząc na oferty, trzeba uważać, bo pojawiają się zastrzeżenia, że z własnym jedzeniem nie można.

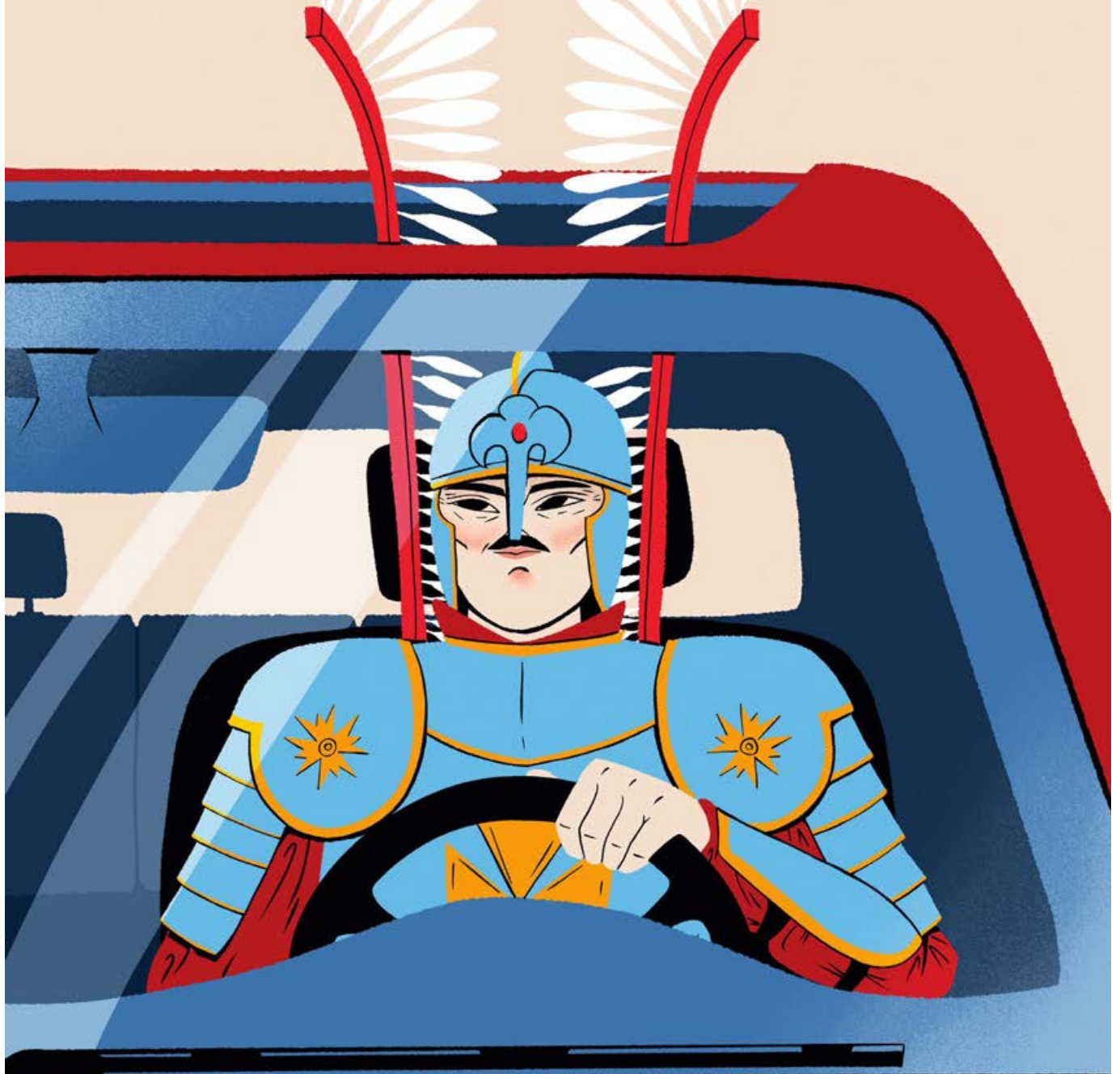
Renesans powodzenia w Wetlinie przeżywa pensjonat Rumcajs z czasów Gierka. Łazienki na korytarzu, ale cena za noc tylko 40 zł. Duże zainteresowanie.

NORBERT FRĄTCZAK, VIOLETTA KRASNOWSKA

Pojechali

Sobota 15 lipca była najgorętszym dniem w roku, również na drogach. Opowieść o tym, jak zginęło 12 osób, to opowieść o tym, jak Polacy jeżdżą i dlaczego tak często giną.

JULIUSZ CŹWIELUCH



ILUSTRACJA BASIA POSPISCHIL

Zaczęło się kilka minut po północy. Na numer alarmowy przyszło zgłoszenie o samochodzie, który uderzył w drzewo na trasie Węgry–Gościszewo w gminie Sztum. Zgłoszenie zarejestrowano 47 minut po północy. Droga jest na uboczu, prowadzi do małego osiedla po byłym PGR. Wieczorem ruch tam w zasadzie zamiera. Przynajmniej ten lokalny. Dlatego trudno powiedzieć, o której dokładnie doszło do tragedii. To, że to tragedia, było jasne już w momencie zgłoszenia. Auto było tak rozbite, że dzwoniący na numer alarmowy nie był w stanie rozpoznać jego marki. Zresztą strażacy, którzy 14 minut później przyjechali na miejsce zdarzenia, też mieli z tym problem. Podobnie jak z samymi działaniami, bo to, co zastali na miejscu, wstrząsnęło nawet weteranami akcji ratunkowych.

Szybko, ale bezpiecznie

Z lakonicznej karty wypadku wynika, że nie podejmowano działań z zakresu kwalifikowanej pierwszej pomocy. Mówiąc wprost – nie było sensu. Strażacy skupili się na rozcięciu wraku i wydobywaniu dwóch zakleszczonych tam ciał. Trzecia ofiara, 22-letni chłopak, leżał 20 m od wraku. Siła, z jaką auto uderzyło w przydrożne drzewo, była tak wielka, że z auta wyleciał jak z katapulty. Wskazówka prędkościomierza zatrzymała się na 140. Przy takiej prędkości na wyremontowanej, ale wąskiej drodze, obsadzonej szpalerem drzew, trzeba mieć wyjątkowe umiejętności, żeby się nie zabić. Kierowca MINI Coopera miał 16 lat. Nie tylko nie miał umiejętności. Nie miał nawet prawa kierować samochodem, który zabrał pod nieobecność rodziców. Julian, Szymon i Wojtek mieli od 16 do 22 lat. Jeden z nich zgłosił wstępny akces do miejscowej Ochotniczej Straży Pożarnej. Przyszli koledzy, którzy przyjechali na miejsce wypadku, nie potrafili jednak go rozpoznać.

Sprawa jest z kategorii tragicznych, ale banalnych. Przynajmniej dla organów ścigania. Prędkość, brawura, brak uprawnień. Może coś jeszcze, bo chłopcy wyszli z imprezy. Dla mieszkańców jednak jest bardziej skomplikowana. Droga jest kręta, wąska, nawet w dzień wymagająca. A co dopiero w nocy i z taką prędkością. – *Na stronie gminy pożegnaliśmy chłopców, ale też przestrzegamy przed nadmierną prędkością i tragediami, które za sobą pociąga* – mówi Leszek Tabor, burmistrz Sztumu. Zapytany, czy to zadziała, długo nie odpowiada. – *Jakiś czas temu mieliśmy imprezę dla graczy komputerowych. Mnie też wsadzili do bolida z ekranem. Szło mi*

tak sobie. Ale po rozbiciu auta można było grać dalej. W życiu tak nie ma, tylko czy młodzi to rozumieją? – pyta Tabor.

Trzymając się statystyki – nie rozumieją: były takie lata, kiedy kierowcy pomiędzy 18. a 24. rokiem życia powodowali jedną czwartą wszystkich wypadków na polskich drogach. Ostatnio mniej – 15 proc. Ale to i tak najgorszy wynik spośród wszystkich grup wiekowych. – *Ze względu na chemię mózgu są bardziej podatni na zachowania ryzykowne i ekstremalne związane z satysfakcją przy wydzielaniu się adrenaliny. Jednocześnie są przekonani o swoich wysokich umiejętnościach, co stanowi kiepskie połączenie* – mówi Magdalena Witt-Wesołowska, psycholog transportu.

Witt-Wesołowska psychologią transportu zajmuje się od 10 lat. Prawo jazdy posiada od lat 15. Zapytana, jak postrzega swoje umiejętności za kółkiem w skali od 1 do 10 – daje sobie 6. – *Nie chodzi mi o to, że jeżdżę ryzykownie. Znam realia wypadków i wiem, że są sytuacje, w których trzeba właściwie zareagować w ułamku sekundy. Nie jestem pewna, czy miałabym takie zdolności* – mówi. Z badań Polskiej Izby Ubezpieczeń wynika, że trzy czwarte kierowców w wieku 18–24 lat uważa, że są doświadczeni i świetnie sobie radzą na drodze. 60 proc. z nich twierdzi, że „można jeździć szybko i bezpiecznie” – *Tak zresztą twierdzi większość kierowców w Polsce, to od kogo młodzi mają uczyć się dobrych wzorców?* – retorycznie pyta Witt-Wesołowska. Tragedia pod Sztumem nie zdążyła się nawet medialnie rozpędzić, bo szybko przykryła ją kolejna. Jeszcze bardziej spektakularna. No i medialna, bo z udziałem celebryty, a nie anonimowych chłopców z Gościszewa.

Dominator

W tę samą sobotę 15 lipca, kilka minut po trzeciej nad ranem ulicami Krakowa przemknęła żółta plama. Tyle mniej więcej widać na nagraniach z miejskiego monitoringu. Tylko sprawne oko miłośnika samochodów mogło w niej rozpoznać Renault Megane w wersji RS, czyli sportowej. Siedzący głębiej w temacie umieliby stwierdzić, że nie było żółte, tylko w kolorze żółty sirius. A nawet podać dokładną specyfikację, bo samochód był bohaterem materiału na jednym z portali dla miłośników szybkich samochodów. Jego właściciel Patryk Peretti drobniawo opisywał, jak z meganki RS, która na fabrycznych podzespołach rozpędzała się w 6 sekund do setki, zrobił prawdziwego dominatora, jak o nim mówił.

Dominator zyskał kute podzespoły silnika, tytanowe zawory, zbudowany

na zamówienie kolektor dolotowy, wydajniejszą pompę paliwa z regulatorem ciśnienia, torowe sprzęgło, wzmocnione półosie, poliuretanowe tuleje w zawieszaniu czy skuteczniejszy układ hamulcowy i kolejne 140 koni mechanicznych. Docelowo auto miało ich mieć 600. Co i tak nie pozwalało na przebicie auta matki Patryka – Sylwii Peretti, która swoje BMW M8 stuningowała do 825 KM. Dzięki czemu chętnie przedstawiała się jako „najszybsza kobieta w Polsce”.

Syn „najszybszej kobiety w Polsce” sławny był już na długo przed spektakularnym rajdem po ulicach Krakowa. Zakończonym nie mniej spektakularnym poślizgiem, dachowaniem i uderzeniem w betonowe barierki nad brzegiem Wisły, co zabiło jego i trzech pasażerów. Tydzień po zdarzeniu podano wyniki sekcji zwłok i badań toksykologicznych. Kierowca miał 2,3 promila alkoholu we krwi. Możliwe też, że zażywał inne substancje psychoaktywne. Na wynik tych badań jeszcze trzeba poczekać.

Na stronie, na której kierowcy komentują zachowania innych użytkowników dróg, jest wiele komentarzy pod numerem rejestracyjnym jego meganki. Nie wszystkie nadają się do cytowania. W niektórych zdziwienie miesza się z podziwem: „w deszczu po wielickiej bawić się między autami, trzeba mieć jaja ze stali”. Autor komentarza nie precyzuje, kto musiał mieć jaja ze stali. Kierujący czy ci, których wymijał. Na stronie nie brakuje również komentarzy życzeniowych: „Imbecylny, żeby ci tak prawo jazdy zabrali na dożywocie”. Jak również ostatecznie proroczych: „jak chcesz się zabić idioto, to się zabij nie narażając innych”.

Celebryka

Zaledwie siedem godzin po wypadku nagranie z kamer krakowskiego monitoringu stało się sieciowym wiralem. Publikowały je niemal wszystkie portale. – *Nie robimy tego często, ale tym razem zdecydowaliśmy się ujawnić materiał, żeby pokazać innym kierowcom, czym kończy się taka brawurowa jazda* – mówi Maciej Grzyb z krakowskiego magistratu. Pewnie przez skromność nie dodaje, że tym samym ucięło to pierwszą falę komentarzy próbujących winić za wypadek miasto, które dwa tygodnie temu rozpoczęło remont newralgicznej trasy, gdzie doszło do tragedii. Nagranie pozwoliło również na szereg analiz tego, co się wydarzyło. „Biorąc pod uwagę, ile sekund zajął im przejazd tego odcinka, to jakby tego nie liczył zap... 160 na godzinę w centrum miasta. Gdyby jakimś cudem kierowca przeżył, to ja bym go sądził za próbę ▶

► zabójstwa, a nie przekroczenie prędkości” – napisał jeden z internetowych komentatorów. Tyle że to niemożliwe. – *W polskich realiach maksymalna kara to osiem lat więzienia. Na tyle sąd skazał chłopaka, który podczas nocnych wyścigów w centrum miasta śmiertelnie potrącił dwie osoby* – mówi Bartosz Józefiak, autor książki „Wszyscy tak jeżdżą”. Józefiak na prawie 400 stronach opisuje patologiczne realia polskiej rzeczywistości drogowej. Co coś bez ogródek określa – „kulturą zapierdalania”. Spotkał się z rodzinami ofiar. Rozmawiał również ze sprawcami. – *Wyparcie swoich czynów i lekceważenie dla ofiar, które u nich widziałem, bardzo mnie zaskoczyło. Część z nich miała wręcz poczucie krzywdy, że ktoś zmarnował im życie. Tego odebranego życia było im chyba mniej szkoda* – dodaje.

O krakowskim wypadku mówi w kategoriach kroniki zapowiedzianej śmierci. – *Ci ludzie czuli się bezkarni i ponad prawem, skoro nawet krótko przed śmiercią wrzucali do sieci nagrania z nocnego rajdu z totalnie przekreśloną prędkością i nie bali się konsekwencji* – tłumaczy Józefiak. Jego zdaniem miękkie metody walki z piratami drogowymi już od dawna się nie sprawdzają. – *W każdym polskim mieście odbywają się wyścigi samochodowe. To jest duża i prężna subkultura, do której policja podchodzi z czymś, co należy nazwać wycuczoną bezradnością, a może wręcz pobłażaniem. Wrogiem publicznym ministra Ziobry zostali pijani kierowcy. A oni odpowiadają za mniej niż 10 proc. wypadków na polskich drogach. Zamiast zabierać auta kierowcom po alkoholu rekwirujemy je piratom* – rzuca pomysł autor książki „Wszyscy tak jeżdżą”.

Stracić hamulce

Pijana i pod wpływem marihuany była 22-latką, która w sobotę o godz. 7 nad ranem potrąciła 26-letniego mężczyznę w Bobrownikach niedaleko Łowicza. Za tym jednym standardowym zdaniem kryje się jednak bardzo niestandardowa sytuacja, bo potrąconym był chłopak sprawcy. Emocje, które łączyły tych dwoje, musiały być bardzo silne. Zawrowanie w związku nie mniejsze. Kilka godzin wcześniej imprezowała z trzema innymi chłopakami. Później pojawił się on. Były sceny miłości, zazdrości. On w nerwach wyszedł z jej domu. Ona w większych nerwach ruszyła za nim swoim BMW. Najpierw zajeżdżała mu drogę. On podobno nie reagował. – *Wtedy wycofała i rozpędzona ruszyła w jego kierunku. Twierdzi, że chciała go tylko nastraszyc* – mówi Krzysztof Kopia, rzecznik



Prokuratury Okręgowej w Łodzi. Okazało się, że wystraszyła go śmiertelnie. Akcja reanimacyjna trwała godzinę. Zaczęła ją ukochana i zabójczyni jednocześnie. Zabójczyni, bo prokurator postawił jej zarzut jak za zabójstwo, a nie zdarzenie drogowe. A to może oznaczać nawet dożywocie.

Jakkolwiek brzmi ta historia, w pewnym sensie jest jedną z wielu. Na portalach, gdzie kierowcy wrzucają nagrania ze swoich kamer samochodowych, jest mnóstwo zachowań, które wydają się nie tylko pozbawione sensu, ale wręcz nierealne. W czerwcu zeszłego roku sprzeczka pomiędzy kierowcami zamieniła się w celowe staranowanie auta. Następnie w trwający pół godziny pościg i wzajemne spychanie samochodów z jezdni. Do pościgu włączył się syn jednego z mężczyzn. Kierowcy, którzy mieli pecha znaleźć się wówczas na drodze, w popłochu zjeżdżali na pobocze. Po 15 km ostrej jazdy wszystkie trzy auta nadawały się do kasacji. Policja nawet nie próbowała oszacować liczby punktów karnych, po prostu odebrała prawa jazdy całej trójce.

Zapalnikami do agresywnych i groźnych zachowań potrafią być drobiazgi. Na profilu FB „Bandyta z kamerką” można obejrzeć nagranie, w którym nieprawidłowo włączający się do ruchu mężczyzna wpada w furję po tym, jak zatrąbił na niego drugi kierowca. Najpierw zatarasował mu drogę. Później wyszedł ze swojego auta i ubliział temu, który ośmielił się zatrąbić. Wraca do auta, ale do niego nie wsiada, tylko z wściekłości kopie swój pojazd. Wszystko to na oczach dzieci w fotelikach na tylnym siedzeniu. Na innym nagraniu, z kwietnia tego roku widać mężczyznę, który zajeżdża drogę, a następnie goni na piechotę po dwupasmowej drodze krajowej kierowcę, który jego zdaniem nieprawidłowo zachował się na drodze. Podobnych sytuacji i filmików są dziesiątki. Agresja na polskich drogach to chleb powszedni.

Czara społecznej goryczy przelała się rok temu, kiedy na trasie S7 kierowca niebieskiego Volkswagena Arteona specjalnie gwałtownie zahamował przed maską Seata. Kierowca Seata stracił panowanie nad autem i doszczętnie rozbił je na barierkach

energochłonnych. Według policji miała to być „kara za to, że podróżujący z rodziną kierowca Seata nie jechał lewym pasem tak szybko, jak sobie tego życzył sprawca”. Kierowcy niebieskiego Arteona szukała cała Polska. Sprawa była trudna, bo jak szybko ustalono, auto było w leasingu. Ostatecznie policja ustaliła, że Arteonem kierował 33-letni Jarosław W. z Olsztyna. Mężczyzna nie przyznawał się do winy i nie czuł się winny. Od wyroku skazującego go na 15 tys. grzywny i pozbawienia prawa jazdy na rok i dwa miesiące natychmiast się odwołał. – *Co jest zresztą nagminne. Beata Kozidrak, która siadła za kierownicę z 2 promilami we krwi, też się odwołała od wyroku. Co oznacza, że również nie czuła się winna* – mówi Józefiak. O ile Kozidrak sąd drugiej instancji potraktował ulgowo, o tyle z Jarosławem W. sędzia poszedł na maksa. W uzasadnieniu do wyroku stwierdził, że skoro sprawca leciał na maksa, to sąd też tak zrobi i zabrał mu prawo jazdy na 3 lata.

Październik ściga sierpień

W 2012 r. na polskich drogach statystycznie dzień w dzień ginęło 11 osób. W sumie ponad 4 tys. rok w rok. W zeszłym roku statystycznie dochodziło do pięciu śmiertelnych wypadków dziennie. Przez lata chłopcem do bicia była infrastruktura drogowa. I nie bez powodu. Według raportu Krajowej Rady Bezpieczeństwa Drogowego w 2011 r. zdecydowana większość wypadków miała miejsce na drogach jednojezdniowych dwukierunkowych – 82,9 proc. wszystkich wypadków. Zginęło w nich 3740 osób, czyli 89,3 proc. ogółu zabitych. Dla porównania na autostradach doszło wówczas do 232 wypadków, w których zginęło 37 osób. Na jednojezdniowych, dwukierunkowych drogach dochodziło do największej liczby zderzeń czołowych i uderzeń w drzewa, które w większości kończyły się śmiercią.

Im więcej oddawano do użytku autostrad, tym mniej Polaków ginęło na drogach. Jednak premia za poprawę infrastruktury drogowej skończyła się w 2015 r., kiedy liczba śmiertelnych wypadków na polskich drogach spadła do średniego poziomu 2800 zgonów rocznie



i przez kolejne lata nieznacznie rosła albo spadała. Dopiero w 2020 r. nastąpiła lekka poprawa. 2491 ofiar śmiertelnych odtrąbiono jako sukces. Wątpliwy, bo wypadków było mniej, za to były bardziej spektakularne. Polską specjalnością była śmierć na przejściu dla pieszych, gdzie paradoksalnie ludzie powinni się czuć najbardziej bezpieczni. Tyle że piesi w Polsce nigdy nie mieli lekko. Do 2017 r. ginęło ich więcej niż kierujących pojazdami – ponad 800 osób rocznie. Później mniej.

– *Moim zdaniem przelotem było potrącenie pieszego na pasach przy ulicy Sokratesa w Warszawie* – mówi autor książki „Wszyscy tak jeżdżą”. Do wypadku doszło w niedzielę 20 października 2019 r. – *Sprawca, kierowca tuningowanego BMW, jechał prawie 140 na godzinę. Niemal trzy razy szybciej niż dopuszczalny w tym miejscu limit. Zabity na pasach 33-letni Adam szedł z żoną i dzieckiem do parku. Była słoneczna niedziela, dobra widoczność. Zdażyli dojeść do połowy przejazdu* – opowiada reporter, który rozmawiał z żoną zabitego.

W pierwszej instancji sąd skazał kierowcę BMW na 7 lat i 10 miesięcy pozbawienia wolności, ale apelację wniosły wszystkie strony. Prokurator i rodzina ofiary żądali najwyższego możliwego wymiaru kary za tzw. zabójstwo drogowe. Obrońcy kierowcy domagali się obniżenia wyroku. Ostateczny wyrok sądu apelacyjnego jest co najmniej zaskakujący. Sędziowie pod przewodnictwem sędziego Sławomira Machnio zdecydowali o obniżeniu kary o 4 miesiące. „Oskarżony podjął manewr hamowania, towarzyszył temu gwałtowny pisk opon. Tym zmanifestował, że nie chce spowodowania śmierci w zamiarze ewentualnym” – uzasadniał przewodniczący składu. Sąd uznał również, że „potrącony mężczyzna mógł zauważyć nadjeżdżające z prędkością prawie 140 km na godz. auto ze względu na jego jaskrawy kolor oraz ryk jego silnika, i wycofać się na chodnik”.

Z niewyjaśnionych przyczyn

Abstrahując od wyroku sądu, po tragedii na Sokratesa wiele się na polskich drogach zmieniło. Przede wszystkim przepisy

W zmienionych to piesi, którzy chcą wejść na pasy, mają pierwszeństwo. Kierowcy nie zostawiają na nowych przepisach suchej nitki. Ale na drogach ginie mniej pieszych. W tym roku było 187 takich przypadków. W analogicznym okresie poprzedniego roku – 243.

Po drugie, podniesiono niezmienną od lat stawki mandatów. I to spektakularnie. 31 grudnia 2021 r. za wyprzedzanie na pasach można było dostać mandat od 50 do 500 zł. Kilka godzin później 1500 zł. Od września, po wprowadzeniu tzw. recydywy drogowej – podwójną stawkę, czyli 3 tys. zł, i to na sztywno, bez możliwości stosowania pouczenia. – *Formalnie zausze można tylko pouczyć, ale stary zapowiedział nam, że osobiście dojedzie każdego, kto nie wystawi mandatu za wyprzedzanie na pasach* – mówi policjant z 19-letnim stażem z drogowki.

Policjanci dojeżdżali więc kierowców, a kierowcy mniej dojeżdżali silniki w swoich autach. W efekcie w 2022 r. po raz pierwszy udało się pokonać magiczną barierę dwóch tysięcy śmiertelnych wypadków. W zeszłym roku na polskich drogach zginęło 1891 osób. Przy okazji udało się ściągnąć do budżetu 1,35 mld zł. I to w sytuacji, kiedy policjanci wystawili ponad 600 tys. mandatów mniej niż rok wcześniej. Tylko czy ktoś, kto wydał pół miliona na podrasowane auto, może się przejąć mandatem w wysokości 5 tys. zł?

Ostatnim śmiertelnym akordem soboty 15 lipca był wypadek pod Nowcem na trasie S7. Kierujący Volkswagensem 20-latek z niewyjaśnionych przyczyn uderzył w drzewo. Siedząca obok 20-latek była w ciąży. Lekarze do końca walczyli o uratowanie matki i dziecka. Nie udało się. Tyle można dowiedzieć się w prokuraturze, która pewnie niewiele więcej wie, bo z auta zostały dosłownie strzępy. A kierowca ciągle jest w stanie ciężkim. – *To zdanie „z niewyjaśnionych przyczyn” bardzo często pojawia się w komunikatach policji. A ja wiem, co często się za nim kryje* – mówi prof. Mirosław Jarosz, gastroenterolog i autor książki „Kodeks zdrowotny kierowcy”. – *Według WHO*

za 40 proc. wypadków odpowiada brak snu. Zmęczenie, stres, przepracowanie. To są czynniki, które lekceważymy. Myślimy – jakoś dojadę. No właśnie nie zawsze się udaje. Prof. Jarosz wylicza, że powrót do domu samochodem po 12 godzinach intensywnej pracy równa się osłabieniu koncentracji na poziomie osoby mającej od 1 do 1,5 promila alkoholu we krwi. Na agresję też ma nietypowe wytłumaczenie. – *W Polsce 3 mln ludzi mają cukrzycę. Kolejne 5 mln stan przedcukrzycowy. Po spadku poziomu cukru we krwi te osoby stają się bardziej rozdrażnione, mogą być nawet agresywne, mają zaburzone logiczne myślenie. Ich refleks maleje. Łatwo tracą koncentrację* – wylicza prof. Jarosz. A w godzinach za kółkiem Polacy są liderami. Z raportu Ipsos z 2017 r. wynika, że potrafimy bez żadnej przerwy przejechać średnio 3 godziny i 38 minut. To światowy rekord. Ale mało chlubny.

W niedzielę 16 lipca na polskich drogach również zginęło 12 osób. Większość policyjnych komunikatów z tego dnia zaczyna się od zdania „z niewyjaśnionych przyczyn zjechał na przeciwny pas ruchu”. To był najgorętszy weekend roku.

JULIUSZ CWIELUCH

REKLAMA



Prywatna Klinika Rehabilitacyjna
CHOROBY KREGOŚŁUPA,
NARZĄDU RUCHU I GŁOWY
Krojanty - Dwór k. Chojnic
tel. (052) 398-56-56
fax. (052) 398-56-06
www.krojanty.com.pl
klinika@krojanty.com.pl

LECZYMY:

rwę kulszową, wypadnięcia dysków,
chroniczne zespoły bólowe
kregosłupa i głowy, powikłania
choroby zwyrodnieniowej kregosłupa,
następstwa i powikłania urazów
układu kostnego, więzadeł i stawów,
migrenowe bóle głowy.

PROWADZIMY REHABILITACJĘ:

po wylewach, po operacjach
ortopedycznych, po złamaniach



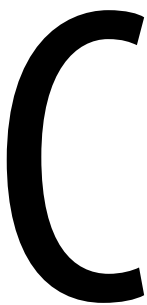
ZRÓB PREZENT
SWOIM RODZICOM



WOJCIECH SZACKI

Piknik z prezesem

Obóz władzy szuka nowego startu kampanii wyborczej. Żadne dotychczasowe chwytły i obietnice nie podniosły poparcia dla PiS, a jeszcze urosła Konfederacja.



Coś się oczywiście dzieje, sztab wyborczy PiS się zbiera, politycy spotykają się z wyborcami na piknikach pod hasłem „Z miłości do Polski”, odbywają się konferencje prasowe i tradycyjne utarczki z opozycją. Ale to wszystko raczej pozory działania. Coś trzeba zrobić, coś trzeba mówić, ale w wakacje PiS gra wyłącznie znane od lat melodie, przemówienia utkane są z cytatów z przemówień dawniejszych, w końcówce prekampanii rzadzi rutyna. Politycy i akolici PiS regularnie zarzucają Platformie brak programu, ale partia rządząca też swojego nie przedstawiła, wedle najnowszych zapewnień ma to zrobić „w okolicach 1 września”.

Na razie jest trochę tak, jakby PiS nie zauważył, że mamy 2023 r., i toczy wojnę według wzorców z lat 2015 i 2019. A więc uchodźcy, straszenie Donaldem Tuskiem, wojenka z Niemcami i Unią oraz trochę socjału – i jakoś to będzie. Ale – co zgodnie pokazują sondaże – stare chwytły nie są już tak skuteczne jak kiedyś, poparcie dla PiS od miesięcy się nie zmienia. Ok. 35 proc. głosów to za mało, by marzyć o samodzielnej większości.

Rzut oka na inne badania pokazuje zaś, że w porównaniu z ostatnią dużą kampanią – wyborami prezydenckimi w połowie 2020 r., gdy w pierwszej turze Andrzej Duda miał 43,5 proc. głosów – sporo się w Polsce zmieniło. Zwolenników rządu ubyło, a przeciwników przybyło. Spadło zaufanie do wszystkich prominentnych polityków obozu władzy, a piątkę budzących największą nieufność tworzą prezes NBP Adam Glapiński, minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro, minister aktywów państwowych Jacek Sasin, prezes PiS Jarosław Kaczyński oraz minister spraw wewnętrznych Mariusz Kamiński (czerwcowy sondaż CBOS). Większość Polaków uważa, że sytuacja w Polsce zmierza w złym kierunku, optymistów jest niecałe 30 proc. W porównaniu z 2020 r. zdecydowanie mniej badanych ocenia, że sytuacja gospodarcza Polski jest dobra. To kiepskie warunki do prowadzenia kampanii pod hasłem kontynuacji, a na razie taki właśnie komunikat wysyłają rządzący. Te wspomniane sondaże tłumaczą też po części, dlaczego nie działają pisowskie postulaty: 800 plus, lex Tusk czy nawet wojna z Unią o migrantów. PiS ma swoich wiernych fanów, ale nie bardzo ma skąd czerpać nowych.

Odgrzewany kotlet

Jak kampania PiS wygląda w terenie? 16 lipca Kaczyński przyjechał na partyjny piknik do Woli Rzędzińskiej. To duża wieś pod Tarnowem (Małopolska), w której w 2019 r. PiS otrzymał 65 proc. głosów. PAP opisał wydarzenie językiem kronik filmowych z PRL: „W niedzielę z nieba lał się żar. Mieszkańcom Woli Rzędzińskiej to nie przeszkadzało. Przyszli posłuchać prezesa PiS. Czekając na Jarosława Kaczyńskiego, mogli skosztować specjalów przygotowanych przez koła gospodyń wiejskich. Był staropolski bigos, kielbaski z grilla, chleb ze smalcem, słodkie ciasta, a dla ochłody lemoniada. Dla najmłodszych animacje, kącik zabaw i dmuchańce. Przygrywała kapela ludowa, a na scenie tańczył zespół folklorystyczny”.

Piknik zaczął się od meczu piłki nożnej, w którym zagrali m.in. minister sportu Kamil Bortniczuk i wiceminister spraw zagranicznych Arkadiusz Mularczyk. Co było w sumie dość zabawne, bo część późniejszego przemówienia Kaczyński poświęcił atakom na Platformę – „chłopców w krótkich majteczkach”, którzy nie dojrżeli do władzy i zajmowali się grą w piłkę, paleniem cygar i pić wina. Najwyraźniej haratanie w gałę Bortniczuka z Mularczykiem stoi moralnie wyżej niż ta sama rozrywka w wykonaniu Tuska i Schetyny.

Co jeszcze miał do powiedzenia lider obozu władzy? Że jego partia spełniła obietnice, może nie wszystkie, ale zdecydowaną większość. Że było 500 plus, a wkrótce będzie 800 plus; że inflacja spada i będzie spadać, bezrobocie jest niskie, a PKB stale rośnie. Że Platforma to dawna komuna, która Moskwę zamieniła na Berlin, ale PiS nie pozwoli, by Polska spod jednego buta weszła pod drugi, bo jest partią propolską. Że nie będzie żadnych nielegalnych imigrantów, bo „jesteśmy twardymi patriotami”. I że PiS obroni polskie rolnictwo, nawet jeśli będzie to oznaczało spór z Ukrainą.

Zniknęły znane z wcześniejszych wystąpień dowcipy o osobach transpłciowych, nie było ani słowa o reparacjach od Niemiec ani o związkach Tuska z Rosją, ale poza tym był to ten sam kotlet co zawsze.

Pytamy sztabowca PiS o najważniejszy przekaz kampanii. – *Nie mamy takiego. Pracujemy nad tym, prawdziwa kampania zacznie się we wrześniu* – odpowiada.

– *To rutyna, ale się sprawdza. Prezes chciał restartu kampanii, miał nadzieję, że to się stanie na czerwcowym wiecu w Bogatyni, ale się nie udało. Teraz chcemy przeczekać wakacje, gdy zainteresowanie polityką jest mniejsze* – dopowiada poseł PiS.

Na poziomie Nowogrodzkiej trwają próby uporządkowania sytuacji, a ściślej – posprzątania bałaganu po czerwcowej dymisji szefa sztabu europosła Tomasza Poręby i gruntownym tegoż sztabu przemeblowaniu. Doszli nowi ludzie, dociera się podział zadań, dochodzi do przykrych zderzeń z rzeczywistością. – *Nie ma mowy, żebyśmy w trzy miesiące nadrobili lata zaniedbań w internecie. Konfederacja jest w tym po prostu lepsza i to się do wyborów nie zmieni* – ocenia jeden ze sztabowców.

Rozmówcy POLITYKI podkreślają, że zmiana w porównaniu z czasami Poręby polega na tym, że Joachim Brudziński naprawdę rzadzi kampanią. Dodają jednak, że w sztabie pojawiły się podziały, a dominować zaczęła grupa polityków związanych z Mateuszem Morawieckim – rzecznik rządu Piotr Müller, szef Centrum Informacyjnego Rządu Tomasz Matynia i współpracujący z nimi szef Partii Republikańskiej Adam Bielan.

Posłowie PiS dostają od partii i rządu wytyczne, co robić w prekampanii. To zbieranie podpisów pod obywatelskim projektem ustawy o „ochronie dzieci”, urządzenie konferencji prasowych, wklejanie grafik z informacjami o działaniach rządu w mediach społecznościowych (posłowie dostają szablon, które mają uzupełniać informacjami ze swoich okręgów). Przed wiecem w Bogatyni mieli zadbać o liczny udział zwolenników, co akurat niespecjalnie się udało, bo tłumy widać było tylko dzięki starannemu kadrowaniu w TVP.

Przegląd sikawek i dzień dzika

Na szczęblu centralnym PiS ma swoje kłopoty, ale jego atutem pozostaje najliczniejszy klub i zakorzenienie posłów w terenie. To ci politycy – zwani czasem powiatowymi, bo mandat zawdzięczają wysokiemu poparciu w jednym lub dwóch powiatach – pomagają podtrzymać popularność partii rządzącej. Niezmordowanie jeżdżą od gminy do gminy i przekonują ludzi, że dobra władza o nich dba i daje pieniądze na drogi, szkoły, oczyszczalnie ścieków, remonty szkół i ochronę zabytków. Zajrzyjmy do okręgu sieradzkiego, gdzie jednym z takich powiatowych posłów jest Piotr Polak.

Okręg sieradzki to część województwa łódzkiego. Mieszka tu prawie milion osób, co przekłada się na 765 tys. wyborców. Nie ma tu metropolii; największe Pabianice liczą nieco ponad 60 tys. mieszkańców. Inne miasta to m.in. Sieradz, Kutno, Wieluń, Łowicz i Zduńska Wola. W 2019 r. PiS zgarnął tu prawie 50 proc. głosów i 7 z 12 mandatów w okręgu. Poseł Polak zasiada w Sejmie od 2007 r. i przez te 16 lat dla szerokiej publiczności pozostał ▶

► człowiekiem całkowicie anonimowym. Niemal całe jego polityczne życie skupia się w okręgu sieradzkim.

Polak szczegółowo dokumentuje swoje aktywności na Facebooku. Dzięki temu wiemy, że tylko w lipcu wziął udział w: pierwszym wojewódzkim przeglądzie sikawek w Bolesławcu, dniach Galewic, imprezie koła gospodyń wiejskich w Felicjanowie, dniu kiernoskiego dzika, żniwach łowickich, festiwalu lawendowych term w Uniejowie, folkowym świętowaniu w gminie Zduny, odpuszczeniu w Turze, festynie strażackim w Rychłocicach, poświęceniu wozu strażackiego w Sędziejowicach i spotkaniu z OSP Kazimierz.

Podobną, niewidoczną w dużych mediach pracę wykonują inni posłowie PiS walczący o reelekcję. Czasem (w towarzystwie wojewody lub marszałka województwa, żeby podnieść rangę wydarzenia) przywożą obietnice rządowych pieniędzy, występują w lokalnych mediach, ściskają dziesiątki dłoni. To procentuje w kampanii. Polak w swym sieradzkim okręgu z wyborów na wybory uzyskuje coraz lepsze wyniki, w 2019 r. zdobył ponad 34 tys. głosów.

Platforma dużo gorzej czuje się w takim niewielkomijskim terenie, a w przypadku mniejszych partii – jak PSL czy Lewicy – kandydaci spoza pierwszego miejsca nie mają specjalnej motywacji do pracy w okręgu, bo ich lista i tak nie ma szans na więcej niż jeden mandat.

– *Atutem PiS przez lata była antyelitarność, byliśmy antyestablishmentem. To już się skończyło, takich wyborców straciliśmy. Ale część tych strat odrobiliśmy, przyciągając ludzi, którzy kiedyś nie chcieli głosować, a dziś widzą, ile się zmieniło w Polsce lokalnej, ile powstało inwestycji w ich okolicy* – przekonuje członek sztabu PiS.

Bratobójcze pojedynki w okręgach

Listy wyborcze PiS nie są jeszcze gotowe. Nasi rozmówcy spodziewają się, że zostaną ogłoszone w sierpniu, i to raczej pod koniec miesiąca (trzeba je zarejestrować najpóźniej na 40 dni przed wyborami). W praktyce potencjalni kandydaci już raczej wiedzą, w którym okręgu wystartują i mniej więcej na jakie miejsce mogą liczyć. – *Ponad rok temu powiedziałem Jarosławowi Kaczyńskiemu, że chciałbym kandydować i z którego okręgu. Zgodził się, więc od tej pory działałem, chociaż z nikim już później o tym poważnie nie rozmawiałem* – opowiada polityk PiS, dziś poza Sejmem.

Nerwowo zrobiło się w wielu regionach, bo z badań wynika, że PiS straci kilkadziesiąt mandatów. W swojej lipcowej prognozie opartej na średniej sondażowej socjolog Marcin Palade przewiduje, że klub skurczy się o 50 osób (do 185), czyli w większości z 41 okręgów PiS miałyby o jednego posła mniej (a w niektórych o dwóch).

Ciekawie może być w okręgu opolskim, gdzie PiS ma pięć mandatów, z których trzy należą do koalicjantów: ministra sportu Kamila Bortniczuka (Partia Republikańska), wiceministra rolnictwa Janusza Kowalskiego (Suwerenna Polska) i wiceministra obrony Marcina Ociepy (szef stowarzyszenia OdNowa). Jedyneką w tym okręgu ma w tym roku zostać Paweł Kukiz. Nawet jeśli okaże się mocną lokomotywą wyborczą i PiS obroni wszystkie mandaty w okręgu, to ktoś z trójki koalicjantów wypadnie z Sejmu (najmniej głosów miał w 2019 r. Ociepa).

Sporo słychać także o rywalizacji w okręgu olsztyńskim, gdzie PiS może stracić jeden z pięciu mandatów. Z trójką lokalnych posłów PiS (dwóch pozostałych było w Porozumieniu i odeszło z koalicji) rywalizuje trójka spadochroniarzy, którzy chcieliby zadebiutować w Sejmie: szef Rządowego Centrum Analiz Norbert Maliszewski, wiceminister rozwoju Olga Semeniuk-Patkowska (oboje związani z Morawieckim) oraz wiceminister spraw wewnętrznych Błażej Poboży. Sytuację dodatkowo komplikuje fakt, że miejscowa posłanka Iwona Arent musiała ograniczyć

aktywność medialną, gdy okazało się, że jej syn pobił byłą partnerkę, a ona go broniła, mówiąc, że ją tylko „opluł i szarpał”.

Do startu przymierzają się też ministrowie konstytucyjni, którzy do tej pory nie byli w Sejmie. Minister zdrowia Adam Niedzielski może być jedynką w Pile (i zabrać mandat wiceministrowi rozwoju z OdNowy Grzegorzowi Piechowiakowi), minister cyfryzacji Janusz Cieszyński chce kandydować z Wrocławia (ale podobno nie liczy na jedynkę), a minister klimatu Anna Moskwa – w Radomiu. Pierwsze miejsce na liście w tym okręgu straci podobno na jej rzecz Marek Suski.

Wyborcza przeprowadzka czeka Sasina (z mniejszego okręgu chełmskiego do większego podlaskiego) oraz szefa klubu Ryszarda Terleckiego. W tym drugim przypadku chodzi o to, że w Krakowie jego mandat był zagrożony (w 2019 r. wszedł do Sejmu dopiero z piątym wynikiem spośród kandydatów PiS, a kandydował z drugiego miejsca). Terlecki chciałby tym razem kandydować z Nowego Sącza, gdzie PiS miał w 2019 r. najwyższe poparcie w całej Polsce (65,8 proc.). Niewykluczona jest też przeprowadzka szefa dyplomacji Zbigniewa Raua, który w 2019 r. z trudem wziął mandat z Łodzi, a teraz miałby wystartować w sąsiednim okręgu sieradzkim, gdzie PiS jest mocniejszy.

Spośród młodszych polityków PiS najbardziej widoczną kampanię robią Michał Moskał, szef gabinetu politycznego wicepremiera Kaczyńskiego i dyrektor biura prezydialnego PiS, który już promuje się na billboardach w okręgu lubelskim, oraz wiceminister aktywów państwowych Andrzej Śliwka, który dostanie miejsce w okręgu elbląskim.

Na listach PiS muszą się jeszcze pomieścić ziobrzyści, którzy liczą na ponad 20 miejsc (a po odejściu Tadeusza Cymańskiego do PiS i Anny Siarkowskiej do Konfederacji mają 18 posłów), Republikanie Bielana, a niewykluczone, że także kilka osób od prezydenta. Cały czas wracają też pogłoski o starcie kilkorga europosłów, ale decyzje w tej sprawie nie zapadły.

PiS wciąż marzy o władzy

Niewielu jest w partii rządzącej hurraoptymistów wierzących w obronę samodzielnej większości, choć i tacy trafiają się wśród naszych rozmówców. Częściej słychać jednak rozważania, że po wyborach uda się wyciągnąć kilkunastu posłów Konfederacji (bo jej klub będzie niespójny) i w ten sposób uratować władzę. Ewentualnie – zawrzeć koalicję z całą Konfederacją. PiS jest przekonany – mimo stanowczych deklaracji Sławomira Mentzena – że będzie to możliwe, choć bardzo kosztowne. – *Czasem trzeba pocałować żabę, żeby pójść do łóżka z księżniczką* – opisuje ten dylemat polityk PiS.

Wiara PiS w przedłużenie władzy ma kilka źródeł. Po pierwsze, w partii rządzącej panuje przekonanie, że Koalicja Obywatelska szczyt poparcia już osiągnęła i nie będzie w stanie dogonić PiS w sondażach. Po drugie, obóz władzy liczy na potknięcie Szymona Hołowni i Władysława Kosiniaka-Kamysza i zmarnowanie części głosów po stronie opozycji (ten sojusz zachwiał się, gdy ludowcy bez zgody Polski 2050 ogłosili ostatnio sojusz z Porozumieniem). Po trzecie, PiS wierzy w poprawę nastrojów społecznych w związku ze spadkiem inflacji, co odebrałoby część paliwa Tuskowi. Po czwarte, jest jeszcze Duda, który po wyborach powoła premiera (zapewne polityka PiS), co da kilka dodatkowych tygodni na zdobycie głosów potrzebnych do wotum zaufania dla rządu.

Ale ta wiara w przedłużenie władzy nie jest tak mocna jak przed czterema laty, gdy PiS spodziewał się 250, a może nawet więcej mandatów, i wynik 43,6 proc. (235 miejsc w Sejmie) przyjął z rozczarowaniem. W lipcowym badaniu podległego rządowi CBOS przewaga PiS nad Platformą stopniała do 1 punktu.

WOJCIECH SZACKI

Akrobacje opozycji

Nieubłaganie zbliża się termin układania wyborczych list. Faza z pozoru „techniczna”, która jednak dla demokratycznej opozycji będzie kluczowa. To ostatnia szansa na okazanie – przez liderów i całe formacje – politycznej mądrości i sprytu.

CEZARY MICHALSKI

W grze są co najmniej trzy scenariusze, które dają opozycji sposobność (nawet jeśli nie dają pewności) zwycięstwa. Jest też czwarty scenariusz zachowania obecnego, wyjątkowo toksycznego status quo, które szanse na zwycięstwo opozycji przekreśla.

Wiadomo już, że wszystkie te scenariusze „będą w grze” aż do momentu ostatecznego ułożenia i zarejestrowania list. Już sama ta okoliczność jest dla opozycji pewnym obciążeniem. Jakikolwiek skuteczny plan – jedna lista partnerskich

podmiotów, listy komplementarne, ale połączone paktem o wspólnym rządzeniu po wyborach, wreszcie jedna lista skupiona wokół niekwestionowanego lidera – byłyby bezpieczniejsze, gdyby zdecydowano się na niego na rok przed wyborami. Każdy nowy ruch na opozycji, realizowany w ostatnim tygodniu układania list, może być przez wyborców zrozumiany nie jako sensowny polityczny plan, ale jako ucieczka przed nożem prognozy wyborczego czy systemem D'Hondta.

Pamiętając o tym zastrzeżeniu, widzimy jednocześnie, że sytuacja w ostatnich tygodniach stała się tak dynamiczna, że może po prostu wymusić na opozycji pewne ruchy i decyzje.

Trzy scenariusze

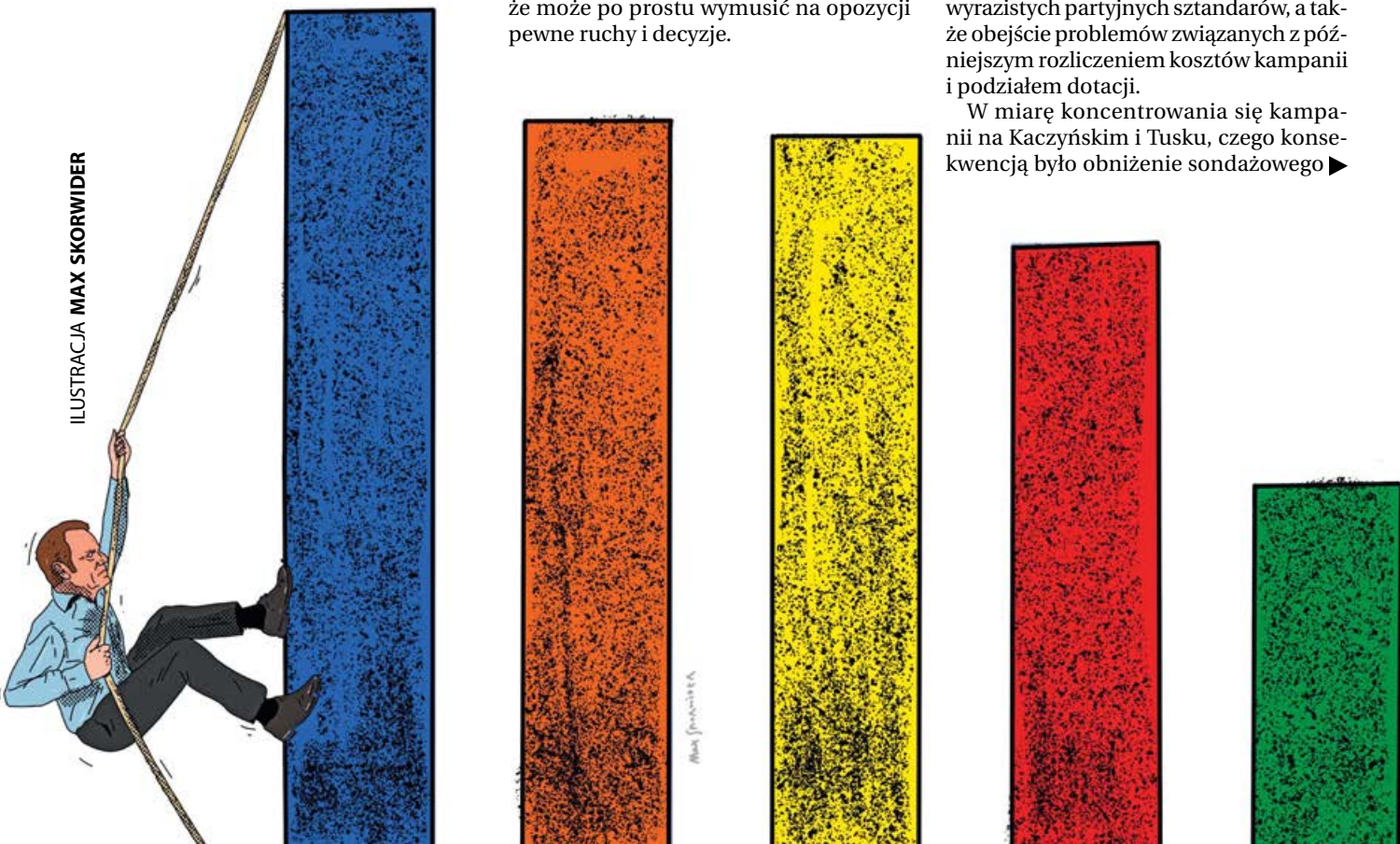
Pierwszy – demokratyczna opozycja idzie w rozproszeniu, ale (w przeciwieństwie do swego dotychczasowego zachowania) nie przeciw sobie. Wcale nie oznacza to zachowania aż do wyborów dotychczasowego status quo, z którym musieliśmy się męczyć przez ostatnie dwa lata. Czyli PO/KO, Hołownia, PSL, Lewica podstawiające sobie wzajemnie nogi, inaczej głosujące w kluczowych sejmowych głosowaniach, bez wzajemnej konsultacji przyjmujące lub odrzucające rozmaite oficjalne i nieoficjalne zaproszenia czy oferty obozu władzy.

Wraz ze zmieniającymi się w jedną lub drugą stronę sondażami Trzeciej Drogi, przy stagnacji notowań Nowej Lewicy i bardzo skutecznym zachowaniu Tuska w kampanii (które jednak wciąż nie doprowadziło do prześcignięcia PiS przez PO) można liczyć na bardzo różne wersje nowego „rozproszonego” szyku opozycji.

Trzecia Droga przeżyła największą huśtawkę. Początkowy sukces (notowania w okolicach 15 proc. połączone z nadziejami na zebranie premii za współpracę, która miała zapewnić Trzeciej Drodze wynik bliski 20 proc.), wywołał u liderów Polski 2050 i PSL optymizm wyrażający się w deklaracji pójścia do wyborów jako koalicja. Oznacza to konieczność przekroczenia prognozy 8, a nie 5 proc., lecz jednocześnie gwarantuje zachowanie dwóch wyrazistych partyjnych sztandarów, a także obejście problemów związanych z późniejszym rozliczeniem kosztów kampanii i podziałem dotacji.

W miarę koncentrowania się kampanii na Kaczyńskim i Tusku, czego konsekwencją było obniżenie sondażowego ►

ILUSTRACJA MAX SKORWIDER



► poparcia Trzeciej Drogi, zniknął optymizm liderów i działaczy obu składających się na nią formacji. Już dziś politycy Polski 2050 i PSL przygotowani są zatem na drugi scenariusz, w którym poparcie dla Trzeciej Drogi trwale spada w okolice albo poniżej progu 8 proc. Wówczas zostanie zarejestrowany komitet PSL z Hołownią i jego ludźmi na wielu jedynekach, ale z bardzo osłabionym logo i wizerunkiem własnym. Hołownia w chwilach godnościowego wzmocnienia odrzuca taki scenariusz, ale w momentach depresyjnego realizmu daje peeselowcom znać, że jest na niego gotowy.

W odpowiedzi na jeszcze głębszy spadek Trzeciej Drogi w sondażach, możliwy jest trzeci scenariusz, przejście Władysława Kosiniaka-Kamysza wraz z grupą peeselowców na jedną listę tworzoną żelazną ręką przez Tuska. A także trafienie tam ostatecznie Hołowni i paru jego ludzi. Wówczas, dosłownie w ostatnich godzinach przed rejestracją list, zostaje ogłoszona „wspólna lista opozycji”, jednak bez lewicy.

Roszady i przejęcia

Ludzie Tuska (i nie tylko oni, choć takie przecieki docierają przede wszystkim z różnych źródeł w PO), twierdzą, że Kosiniak-Kamysz jest już przygotowany na taki plan C. Także Hołownia może się z tym planem pogodzić, rozumiejąc, że w ostateczności lepsze jest przetrwanie w Sejmie i gra o wybory prezydenckie niż polityczna śmierć z odium niszczyciela opozycyjnej jedności.

Na razie Władysław Kosiniak-Kamysz ogłosił, że Koalicja Polska (czyli PSL uzupełnione przez wędrujących pomiędzy różnymi ugrupowaniami konserwatyistów) została „wzmocniona” przez troje posłów Porozumienia, którzy po zdradzie kolegów i koleżanek kupionych przez Bielaną dla Kaczyńskiego, a później po wycofaniu się z bieżącej polityki partyjnej przez Jarosława Gowina, znaleźli się w sytuacji całkiem beznadziejnej. Tę beznadziejność dodatkowo wydobyl ich szybko przerwany flirt z AgroUnią.

Transfer trojga niedobitków Porozumienia do Koalicji Polskiej oznacza, że PSL przeniesie ich dalej na listy wyborcze Trzeciej Drogi, obiecując im tam oczywiście biorące miejsca. Problem z listami wyborczymi Trzeciej Drogi jest jednak taki, że Hołownia i Kosiniak-Kamysz muszą stoczyć heroiczną walkę i wykazać się ogromną polityczną mądrością, aby jakiegokolwiek miejsca na listach Trzeciej Drogi (w konfiguracji koalicyjnej lub jednego partyjnego

komitetu wyborczego) okazały się w dniu wyborów „biorące”.

Na dzisiaj partyjni parytety na listach Trzeciej Drogi przedstawia się tak, że 45 proc. jedynek ma dostać PSL, 45 proc. Hołownia, a pozostałe 10 proc. zarezerwowano właśnie dla ludzi pozyskanych w ostatniej chwili, wśród których może się też jeszcze znaleźć jakiś bardziej konserwatywny polityk PO. Na dalszych miejscach list Trzeciej Drogi mają dominować politycy PSL, co jednak wcale ich nie uspokaja, biorąc pod uwagę zmienność sondaży.

W tym optymistycznym mimo wszystko scenariuszu komplementarnego, nie toksycznego rozproszenia opozycji Nowa Lewica, która pozostałaby poza taką listą, nie byłaby z nią skonfliktowana. Włodzimierz Czarzasty rozmawia o tym z Donaldem Tuskiem w „niezmiennie dobrej atmosferze”. Nawet pojedyncze transfery

**Możliwy jest i taki
scenariusz: przejście
Władysława
Kosiniaka-Kamysza wraz
z grupą peeselowców
na jedną listę tworzoną
żelazną ręką przez Tuska.
A także trafienie tam
ostatecznie Hołowni
i paru jego ludzi.**



z lewicy do KO będą z nim ponoć uzgodnione i nie zostaną przez żadną ze stron przedstawione jako wzajemna wojna, ale raczej jako „racjonalizacja i uporządkowanie list”. Czarzasty chce się pozbyć ze swoich list paru posłanek i polityczek, które nie gwarantowały lojalności, już wcześniej podróżowały między różnymi środowiskami lewicy i nie tylko lewicy, podczas gdy Tuskowi mogą się one przydać do jego suwaka (odpowiednie proporcje i miejsca na listach dla kobiet, młodych i „celebrytów”), który jest tyleż symbolem emancypacji, co narzędnikiem kontroli przyszłego klubu PO.

Za posłanki lewicy „oddane” przez Czarzastego Tuskowi, przewodniczący Platformy miałyby się zrewanżować politykami Zielonych, dla których zabrakło „biorących miejsc” na listach KO. Współprzewodnicząca Zielonych Urszula Zielińska ma otwierać wraz z Tuskiem listę Koalicji

Obywatelskiej w Warszawie, ale niemający szans na podobne namaszczenie działacze jej partii rozmawiają dziś o miejscach na listach lewicy, za wiedzą i bez przeciwdziałania ze strony Donalda Tuska.

Ambicją Włodzimierza Czarzastego jest – przy takiej „czeskiej”, lojalnej współpracy listy lewicy z listą Tuska – stanowisko marszałka Sejmu dla niego i pozwalające realizować różne elementy lewicowego programu stanowiska w ministerstwach zdrowia, edukacji czy polityki społecznej. Nieco mniejszy, lecz całkowicie kontrolowany przez siebie klub lewicy w przyszłym Sejmie jest dla Czarzastego wygodniejszy niż większa i bardziej niesforna gromada zawierająca grupę radykałów uniemożliwiających mu prowadzenie pragmatycznej polityki po wyborach.

W rozmowach o takiej połowicznej wspólnej liście opozycji pojawia się także – jak echo dawno utraconej nadziei – nazwisko Rafała Trzaskowskiego, jako bezpieczniejszego dla wszystkich koalicjantów kandydata na premiera. Przy obecnej pozycji Tuska jest to jednak scenariusz mało prawdopodobny, nawet jeśli przewodniczący PO w czasie rozmów „na piątym piętrze” (w mieszającej się niedaleko Sejmu siedzibie władz Platformy Obywatelskiej) potrafi ponoć poklepać Trzaskowskiego po plecach, mówiąc mu: „ostateczne decyzje jeszcze nie zapadły, będą zależały od rozwoju sytuacji”.

Nadzieje Tuska

Szef Platformy Donald Tusk jest bezsprzecznie gwiazdą tej fazy kampanii. I zupełnie racjonalnie postanowił całą batalię wyborczą podsumować powtórzeniem marszu czwartego czerwca z jeszcze większym rozmachem. Ten drugi marsz, 1 października, przypuszczalnie na dwa tygodnie przed wyborami, może być dla PiS prawdziwym problemem.

Każde pokazanie obok siebie Kaczyńskiego i Tuska czy Tuska i Morawieckiego wypada świetnie dla przewodniczącego PO, a kiepsko, wręcz kompromitująco dla dwóch kampanijnych twarzy PiS. Im częściej Kaczyński próbuje być obecny na spotkaniach wyborczych blisko Tuska (w przestrzeni lub w czasie), z wkładanymi mu na głowę przez piarowców idiotycznymi czapczkami w stylu Donalda Trumpa, z jego własnymi opowieściami o „ubekach, komunistach czy transgenerach z opozycji”, przyjmowanymi z coraz większą apatią przez regionalnych działaczy i zwolenników PiS, tym bardziej przepaść pomiędzy nim i Tuskiem staje się widoczna.

Nie pomagają Morawiecki, który chcąc się przypodobać Kaczyńskiemu, próbuje na przedwyborczych spotkaniach odgrywać polityczne namiętności, których nie posiada. Daje to w jego przypadku malowniczy efekt zepsutego androida, któremu jakiś początkujący informatyk napisał usiany błędami program „okazywania silnych i autentycznych emocji”.

Ciekawe są tu dwa niedawne sondaże. Ciekawe właśnie dlatego, że nie dotyczą klasycznych sympatii partyjnych czy nawet antypartyjnych. W pierwszym z nich pracownia United Surveys dla RMF FM i „Dziennika Gazety Prawnej” zapytała Polaków, który z politycznych liderów najlepiej radzi sobie w kampanii wyborczej. W tej konkurencji wygrywa Donald Tusk wskazany aż przez 47,9 proc. respondentów, co zdecydowanie przebija betonowy sufit poparcia dla kierowanej przez niego PO. Na drugim i trzecim miejscu są odpowiednio Rafał Trzaskowski i Sławomir Mentzen. Jarosław Kaczyński zbiera zaledwie 22,2 proc. wskazań, a Mateusz Morawiecki kompromitujące 13,8.

W drugim sondażu przeprowadzonym przez IBRiS dla „Rzeczpospolitej” 80 proc. Polaków uważa, że powinno dojść do debaty Kaczyńskiego i Tuska. Mimo wielomiesięcznych wysiłków propagandy PiS wbijającej do głowy sympatykom Kaczyńskiego, że ich przywódca nie powinien brudzić sobie rąk spotkaniem z „pozbawionym zdolności honorowej niemiecko-rosyjskim Tuskiem”, na takie widowisko czeka nawet spora część twardego elektoratu rządzącej prawicy. Kaczyński nie może sobie na tę debatę pozwolić, w ostateczności gotów jest w niej poświęcić Mateusza Morawieckiego. Donald Tusk zdecyduje się jednak na sparring z Morawieckim tylko w sytuacji, gdy dojdzie do wniosku, że zaoranie figuranta Kaczyńskiego pomoże w wyprzedzeniu PiS przez PO na ostatniej kampanijnej prostej; średnia różnica notowań z kilku sondaży musi być więc minimalna.

Przywołane tu badanie opinii pokazuje najlepiej, że ucieczka Kaczyńskiego przed debatą z Tuskiem będzie niosła dla prezesa PiS bardzo wymierne koszty. Część sympatyków jego własnej partii uzna go za tchórza, co nie musi w ich przypadku oznaczać poparcia Platformy, ale znów – może wspomóc Konfederację, gdyż akurat Mentzena problem debaty Tusk-Kaczyński nie tylko nie dotyka, ale mu pomaga.

Kaczyński boi się dzisiaj nie tylko dobrego wyniku opozycji, ale także zbyt dobrego wyniku Konfederacji. 200 posłów PiS i 30 posłów Konfederacji, nawet jeśli

nie zagwarantuje prawicy większości już na pierwszym po wyborach posiedzeniu Sejmu, jest dla Kaczyńskiego mniejszym złem. Długie tygodnie, jakie Andrzej Duda zaofiaruje PiS-owi na próby tworzenia rządu, pozwoli zarówno kupić lub/i zastraszyć nowych „Mejzów” w szeregach demokratycznej opozycji, jak też pruć skłócony i niestabilny klub Konfederacji, znajdując tam sporą liczbę uległych „Kukizów”.

Koszmarem Kaczyńskiego byłby wynik 180 posłów PiS i 60 Konfederatów, nawet jeśli z marszu daje to sejmową większość. Jest to bowiem większość prawicy, ale nie większość Kaczyńskiego. Jeśli dodać do konfederatów sporą grupę posłów Ziobry wybranych z list Zjednoczonej Prawicy, czyni to prezesa PiS zakładnikiem nie jego ambicji i nie jego języka. A on takiej sytuacji po prostu nie potrafi znieść, co podobnie jak po 2006 r. spowodowałoby długie polityczne konwulsje

Kaczyński boi się dzisiaj nie tylko dobrego wyniku opozycji, ale także zbyt dobrego wyniku Konfederacji. Tusk jest w sytuacji pozornie wygodniejszej. Mówiąc językiem kolarskim, siedzi Kaczyńskiemu na kole.



prowadzące do przedterminowych wyborów. Tak więc Kaczyński znalazł się w cęgach Tuska i Konfederacji, czyli w sytuacji, której zawsze próbował uniknąć.

Test list

Tusk jest w sytuacji pozornie wygodniejszej. Mówiąc językiem kolarskim, siedzi Kaczyńskiemu na kole, co daje niezłą pozycję do wyprowadzenia ataku na ostatnich metrach.

Tusk, będąc znakiem siły opozycji, jest jednocześnie czynnikiem ryzyka. O jego klasie jako politycznego lidera przekonały się ostatecznie przy „suwerennym” pisananiu przez niego list samej PO. Do tej pory nie zawsze wyglądało to dobrze. Sławomir Nitras zaczynał od jedynki w Szczecinie, dziś nie jest pewny jedynki w Koszalinie. Jacek Karnowski osuwa się powoli na liście w Gdańsku. Schetyna i jego ludzie siedzą na tej samej karuzeli.

To są oczywiście zupełnie zrozumiałe działania dyscyplinujące, jednak Tusk ma do rozwiązania twarde polityczne równanie, w którym jedną ze zmiennych jest jego własna kontrola nad partią i przyszłym klubem parlamentarnym, a drugą zmienną jest wynik wyborczy jego partii. Jeśli Tusk przesadzi z upokarzaniem rozpoznawalnych polityków własnej formacji, którzy mają doświadczenie w prowadzeniu kampanii i potrafią wypracować głosy, może sparaliżować pracę przed wyborami. Dostanie wygodny dla siebie klub „ludzi z suwaka” („celebrytów”, zależne od siebie kobiety i młodzież), ale przegra wybory.

Dziś Tusk ma prawo czuć się uskrzydłony tym, że w kampanii radzi sobie najlepiej w Polsce. Jednak betonowy sufit wciąż wisi nad jego partią, a komisja antytuskowa (na razie wciąż nie parlamentarna, ale ta po starym obradująca na Woronicza i w TVP Info) nie powiedziała jeszcze ostatniego słowa w temacie „danke” i „spasiba”. Twarde negatywne ustawianie przez propagandę obozu władzy całego prawicowego elektoratu przeciwko Tusкови będzie znakiem tej kampanii. Tusk może na tym wygrać, ale może się na tym wyłożyć. Jeśli „ludzie z suwaka”, wybierani według kryterium braku samodzielności, nie będą potrafili zbierać głosów w terenie, nie pomoże nawet niekwestionowana osobista charyzma Tuska.

Drugie stojące przed opozycją ryzyko to przeciągnięcie aż do wyborów obecnego status quo. Jak to może wyglądać? Trzecia Droga słabnie, ale jej liderom brak decyzyjności, żeby w ostatnim możliwym momencie albo zarejestrować jeden partyjny komitet wyborczy zamiast koalicji, albo żeby – w najgorszym dla siebie, ale niekoniecznie dla całej opozycji scenariuszu – przejść do Tuska, ogłaszając „większą jedność na opozycji”.

Tak może się stać. Jeśli Hołowni i PSL refleksu zabraknie, zmarnują się głosy i mandaty. Nawet jeśli przejmujący część tych głosów Tusk minimalnie wyprzedzi Kaczyńskiego, przy znaczącym wyniku Konfederacji oznacza to tylko większy kłopot Kaczyńskiego z tworzeniem nowego rządu, ale nie utratę władzy.

Jeszcze gorzej będzie, gdy Trzecia Droga i Lewica spadną w pobliże progów wyborczych albo poniżej, a Tusk zbliży się do Kaczyńskiego, lecz go nie wyprzedzi. Wówczas wszystko jest „pozamiatane”. Tak więc układanie wyborczych list staje się dla całej opozycji ostatecznym testem. Mądre wykorzystanie tej szansy da jej zwycięstwo nad Jarosławem Kaczyńskim.

CEZARY MICHALSKI



Mówienie z niezrozumieniem

Rozmowa z pisarzem Michałem Rusinkiem śledzącym zmiany w języku, jakim posługują się politycy w pozyskiwaniu jednych i zwalczaniu innych wyborców.

ILUSTRACJA SYLWIA MARKIETA

JOANNA PODGÓRSKA: – „Ptak Dodo” to pana kolejna książka o języku polityki. Ogląda pan wiadomości z notesem w ręku?
MICHAŁ RUSINEK: – Nie. Robiłem to, gdy z prof. Katarzyną Kłosińską pisaliśmy książkę o języku „dobrej zmiany”. Wymagało to bardzo precyzyjnych przypisów, by nikt nie zarzucił nam, że coś wmawiamy telewizji publicznej. Felietony z „Ptaka Dodo” pisałem dzięki social mediom, bo co jakiś czas ktoś znajduje jakąś soczystą frazę czy nowatorskie słowo w języku polityków i dzieli się nimi na Facebooku czy Twitterze. Mam też zaprzyjaźnione researcherki i researcherów, którzy prowadzą nasłuch i co jakiś czas podrzucają mi jakieś perełki. Niewyzerpane źródło inspiracji stanowią dla mnie również internetowe wersje prasy prawicowej oraz strona facebookowa „Wiersze Mateusza Morawieckiego pisane w Excelu”.

Co pana urzeka w poetyce premiera?

Zderzenie jego wizerunku bankstera-technokrata z kimś, kto próbuje mówić językiem zrozumiałym dla wszystkich. Oczekujemy, że będzie precyzyjny, a on mówi np.: „zrobimy to jutro albo w przyszłym tygodniu, to znaczy w najbliższym czasie”. Albo: „w marcu odbyłem kilkanaście, dwadzieścia kilka rozmów”. Nie o brak precyzji tu chodzi, ale o to, by być postrzeganym jako zwykły człowiek, swój chłop. Myli się, ale zaraz się poprawia. To sztuczka retoryczna nazywana metanoią, mająca zmniejszyć dystans między mówcą a odbiorcą.

Kampania wyborcza to czas, kiedy szczególnie trzeba zwracać uwagę na język, bo on kreuje rzeczywistość polityczną, antagonizuje ludzi, konsoliduje własną „bańkę” przeciw tym wrogim. Pisze pan, że w polityce język nawiązujący do sportowej konkurencji bywa wówczas zamieniany na język militarny. Mam wrażenie, że to się u nas przyjęło na stałe.

Zobaczymy. Jeśli zmieni się władza i wróci demokracja, to być może wróci także metaforyka sportowa. Ale dziś dyskursem politycznym rządzi metafora wojny, i to nie tylko w Polsce. Wiadomo także, że każda kampania wyborcza polega na zaostrzeniu języka i wzmożeniu metaforyki militarnej; czego się zresztą trochę obawiam, bo poziom tego wzmożenia już teraz jest bardzo wysoki. Przymiotnika nie da się stopniować w nieskończoność. A gdy kończą się językowe stopnie, zostaje już tylko przemoc.

Już dziś mamy „krucjaty antypolskie”, „brukselskich okupantów” czy Komisję Europejską „przystawiającą Polsce pistolet do głowy”. Da się mocniej?

Pewnie politycy będą coś jeszcze wzmacniać w swoim języku, bo taka retoryka budzi poczucie zagrożenia, jest podszyta lękiem, a to dobre narzędzie do prowadzenia kampanii. Ale nawet najmocniejsze słowa ulegają dewaluacji, gdy powtarza się je zbyt często. Kiedyś najostrzejszym słowem w politycznych sporach była „zdrada”, a dziś ono już nic nie znaczy. Gdy ktoś krzyczy: „zdrada!”, to jakby mówił, że deszcz pada (rym niezamierzony).

Najgroźniejszym narzędziem w języku polityki jest dehumanizacja. Z historii wiemy, jak potworne miewa skutki. U nas mamy „skundloną opozycję”, „elementy animalne” czy „wilcze oczy Tuska”. To się nasila?

Powiedziałbym, że to tylko pomruki, które wydają politycy od czasu do czasu, ale wówczas sam bym ich dehumanizował, bo pomruki kojarzą się ze zwierzętami. Więc może: wątki, bo to bezpieczniejsza metafora. Tak, pojawiają się od czasu do czasu. W dodatku dehumanizacja przeciwników jest zaraźliwa. Strona demokratyczna też przecież mówiła o „szarańczy” czy „dorzynaniu watahy”. Możemy się spodziewać, że te wątki się nasila. I to jest coś, na co powinniśmy zdecydowanie

reagować; nie tylko językoznawcy, ale też dziennikarze, bo to jest bardzo niebezpieczna tendencja.

Czy patos językowy to domena prawicy?

Patos jest stylem, który został przez prawicę zawłaszczony. Są różne rodzaje patosu i czasem bywa on potrzebny, a w każdym razie stosowny, jak czarny garnitur, który nadaje się na niektóre okazje, ale nie powinno się w nim chodzić codziennie. W przypadku prawicy patos jest stylem podstawowym. Związany jest z tradycją, obroną wartości, wywołuje konotacje historyczne. O narodzie – rzadziej o społeczeństwie – myślimy głównie w kategoriach romantycznych, a więc dość archaicznych. Wciąż nie wypracowaliśmy nowoczesnego języka do mówienia o patriotyzmie, który powinien mieć teraz charakter obywatelski. Archaiczny patos wyraźnie słychać w języku prawicy, zresztą nie tylko rodzimej. Pierwszy felieton polityczno-językowy napisałem po debacie prezydenckiej między Andrzejem Dudą a Bronisławem Komorowskim. Zauważyłem, że Komorowski mówił „nasza ojczyzna”, a Duda „ojczyzna nasza”. To niby tylko przestawka, ale też odwołanie do frazy „ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie” i do składni łacińskiej, która pobrzmiwała jeszcze w XIX-wiecznej polszczyźnie. Magazynem tych archaicznych, patetycznych fraz jest oczywiście język Kościoła.

No właśnie. Czy to język kościelny wpływa na język prawicowej polityki, czy język polityki na język Kościoła?

Mam wrażenie, że nastąpiła pewna osmoza i trudno czasem odróżnić, czy mówi ksiądz, czy prawicowy polityk. Księża mówią jak politycy, używając tych samych zwrotów i posługując się ostrymi politycznymi sądami, a politycy nawet sposobem mówienia upodabniają się do księży – ustawieniem głosu, kaznodziejską intonacją; mówią o „ubogacaniu” czy „cnotach niewieścich”, trwa wieczna „obrona chrześcijaństwa”. Można powiedzieć, że te języki stały się kompatybilne. W obu pojawia się też tendencja do apoteozy – gdy się kogoś wychwala, to jakby się beatyfikowało lub wręcz kanonizowało. W czasie pandemii jeden z biskupów na Jasnej Górze porównał Mateusza Morawieckiego i ówczesnego ministra zdrowia Łukasza Szumowskiego do ewangelistów: św. Mateusza i św. Łukasza. I zdaje się, nie miał poczucia śmieszności tego porównania.

Ci, którzy pamiętają PRL, mogą mieć poczucie déjà vu. Drugą silną inspiracją dla przekazów prawicy wydaje się język dawnej propagandy.

On wrócił w sposób wręcz dosłowny i zupełnie bezwstydy. Jarosław Kaczyński ochronę granicy nazywa „bojem o pokój”, naród znów „rośnie w siłę”, a Polska „dynamicznie się rozwija”, choć – jak wówczas – jest bezustannie „szkalowana”. To zdumiewające, ale wrócił także wątek antyniemiecki: Niemcy znów są synonimem zła. I to według wzorców czerpanych z peerelowskiej propagandy prasowej lub z Przymanowskiego. Z dzieciństwa pamiętam, że najgorszym wrogiem Polaków były ziomkostwa niemieckie, straszono nas Hupką i Czają. Ale chciałbym zastrzec, że jednak jestem wrogiem myślenia *per analogiam*, że mamy teraz drugi PRL. Takie myślenie upraszcza sprawę, etykietuje i zaciera dzisiejszy kontekst. Oczywiście zadziwiające jest, że prawicowi politycy odwołują się do języka komunistów, tak jakby sądzili, że my tamtego języka nie pamiętamy, że nie ma dla nas negatywnych konotacji. Albo przynajmniej komicznych. Robią to, bo może myślą, że skoro te strategie językowe wówczas były skuteczne, to będą skuteczne także dziś. A poza tym, starsi pisowcy nasiąkli językiem tamtej propagandy. Pozostaje pytanie, dlaczego tym językiem posługują się także młodzi, którzy czasów PRL nie pamiętają? Cóż, albo zostali nim zarażeni przez starszych, albo ten język pojawia się niejako samoczynnie, ►

▶ jeśli ma się pewną wizję rzeczywistości. PRL i IV RP łączy przecież sporo. Zastanawiałem się niedawno, jaka figura retoryczna rządziła dyskursem peerelowskim.

Jaka?

W PRL dyskursem zarówno władzy, jak i opozycji rządziła figura antytezy: my i oni, świat podzielony bez reszty. To była figura wygodna dla obu stron. Rok 1989 nie spowodował, że zamieniliśmy się miejscami. Zaproponowano nam inną figurę. Telewizyjne programy wyborcze strony solidarnościowej zaczynały się wierszykiem Ernesta Brylla: „Jesteśmy wreszcie we własnym domu/ Nie stój, nie czekaj/ Co robić? Pomóż”. Mamy tu metaforę Polski jako własnego domu, w którym jesteśmy razem i razem musimy próbować go naprawić. Opiera się ona na figurze enumeracji afirmującej różnorodność – jesteśmy różni, ale spróbujmy się dogadać, znaleźć konsens. Nawiasem mówiąc, to dziś zapomniane słowo. Tyle że figura antytezy nie przestała istnieć, funkcjonowała zwłaszcza wśród ludzi sfrustrowanych – często słusznie – przemianami ekonomicznymi. W latach 90. o. Rydzyk mówił o tych, którzy zamienili czerwone książeczki na czekowe książeczki. Czyli to dalej byli jacyś „oni”. Psychologowie twierdzą, że dzielenie świata bez reszty na swoich i nie swoich jest mechanizmem, który się włącza nam wszystkim, bez względu na światopogląd, gdy mamy poczucie zagrożenia.

I PiS świetnie wykorzystuje te mechanizmy.

Tak. PiS przywrócił figurę antytezy. Prześledziliśmy to z prof. Kłosińską w książce o języku „dobrej zmiany”. Mamy teraz przecież znów podział na bohaterów i zdrajców, lepszy i gorszy sort, czyli tych, którzy stoją tam, gdzie stało ZOMO. Myślę, że Kaczyński ma tę antytezę we krwi, a w każdym razie wie, że można nam o niej przypomnieć. Tam nie ma miejsca dla żadnej reszty, dla możliwości nieprzynależenia. Żeby wywołać w nas potrzebę myślenia w kategoriach my–oni, trzeba podtrzymywać poczucie zagrożenia. No i mamy zagrożenie zewnętrzne, ze strony Rosji, to jasne, ale zwłaszcza w postaci Niemców. Co ciekawe, prawica posługuje się peerelowską stylistyką i nie mówi „Niemcy”, ale „Berlin”; nie „Unia”, ale „Bruksela”. To brzmi konkretniej, a oni wiedzą, że abstrakcji lepiej unikać. PiS buduje i podtrzymuje lęk przed różnorodnością. Prof. Michał Głowiński, wybitny znawca języka propagandy PRL, zwrócił uwagę na jeszcze jedno podobieństwo – interpretacje zastępują fakty. W mediach narodowych nie ma czegoś takiego jak czysta informacja. Nigdy. Nawet jak wyleje szambo, to z winy Tuska.

Nie, od szamba jest Trzaskowski.

Racja. Tusk jest od większych win. W każdym razie zostaje wskazany konkretny winny, wróg. W tym języku nie ma po prostu opozycji, jest totalna opozycja, czyli opozycja ze znakiem minus, opozycja zinterpretowana i oceniona. To ciekawe, bo tym językiem zostali zainfekowani także ludzie, którzy bynajmniej nie mają poglądów prawicowych. Mówią o np. „totalsach”.

Władza ustawiła sobie przeciwnika jeszcze wygodniej: PiS = Polska, a zatem krytyka PiS = zdrada ojczyzny. Niepisowskie jest antypolskie.

Prawica zawaśzczyła nie tylko patos, ale także patriotyzm. Zmienia znaczenia słów. Na przykład słowo „życie”. Być „za życiem” nie oznacza dziś, że chcemy żyć, ale że chronimy życie poczęte.

To pokazuje siłę słów. Paradoksalnie, tak rozumiane słowo „życie” zaczęło zabijać młode kobiety.

Tak, bo w tym kontekście „życie” liczy się tylko do narodzenia, potem nie ma już większego znaczenia.



Michał Rusinek, literaturoznawca, pisarz, tłumacz, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego. Był sekretarzem Wisławy Szymborskiej, a od 2012 r. kieruje fundacją jej imienia. W latach 2015–22 był członkiem Rady Języka Polskiego.

Przez ostatnie lata powinniśmy odzwyczaić się od mówienia, że coś jest niemożliwe. Możliwa jest „tak zwana praworządność”, poseł Piotrowicz krzyczący z sejmowej trybuny: „Precz z komuną!” czy nazywanie wycinki pomników przyrody ochroną lasów. Ale przyznam, że przykład orwellowskiej zmiany znaczeń, który pan podaje, jednak wprowił mnie w osłupienie. Chodzi o nazwanie w TVP marszów równości „bojówkami specyficznego rodzaju, które nie biją, ale chcą być bite”.

To rzeczywiście niebywałe. Nie wiem, czy oni nas mają za idiotów, czy może myślą, że ci, którzy ich słuchają lub czytają, są idiotami. Ale w gruncie rzeczy chodzi o to, by zapamiętać nad językiem. Jeżeli są słowa, które dobrze się kojarzą, ale akurat nie pasują do prawicowego obrazka, to trzeba je – tak jak „tak zwaną praworządność” – podważyć. Jest też całe mnóstwo pojęć, które zostają wprowadzone do debaty, tak jak np. „seksualizacja dzieci”. To też jest trochę orwellowskie

– co innego znaczy w ich języku i w języku w ogóle. Smutne, że „Polska” także znaczy coś innego. Dla mnie przykładem emblematycznym był marsz białych róż, podczas smoleńskich kontrybucyj. Kaczyński stwierdził wówczas, że biała róża to symbol skrajnej głupoty i nienawiści. Przejrzałem wszystkie dostępne mi słowniki symboli i nigdzie nie znalazłem nic takiego na temat białych róż. Oni są chyba przeświadczeni, że skoro mają władzę, to nie tylko mogą pędzić limuzynami na sygnale, ale też wpływać na język. Przypomnijmy słynne stwierdzenie prof. Krystyny Pawłowicz, według której forma „wziąć” jest poprawna, a „wziąc” to forma lewacka.

Podaje pan też przykłady słów, które są neutralne, a nadano im czarną barwę, tak jak „ideologia”, która ma brzmieć złowrogo, czy „rodzić”, który niepokoi ministra Czarnka, bo sugeruje, że to – nie daj Boże – nie jest ojciec i matka.

Dla mnie najbardziej wstrząsającym przykładem słowa, które zmieniło znaczenie, jest „uchodźca”. Do niedawna wzbudzało współczucie i empatię, w katolickim społeczeństwie powinno mieć także konotacje biblijne, a tymczasem zostało kompletnie zohydzone. I w takim znaczeniu przeniknęło nawet do języka dzieci. Ktoś mi opowiadał, że „ty uchodźco” to teraz najgorsze przekleństwo wśród przedszkolaków. Jarosław Mikołajewski napisał piękną książkę dla dzieci „Wędrownka Nabu” o dziewczynce, która przez morze ucieka ze swojego ogarniętego pożąga kraju i dociera na ten lepszy, nasz brzeg. Wokół tej książki organizowane były warsztaty dla dzieci. Pod koniec pytało, czy ta dziewczynka może z nami zostać, czy powinno się ją odesłać. I odpowiedzi rozkładały się pół na pół. Prowadzący warsztaty prosili, by dzieci, które chcą odesłać Nabu, wytłumaczyły, dlaczego. „Bo jest uchodźcą” – odpowiadały. Uchodźcą, czyli przenosi choroby, jest kulturowo inna, obca, stanowi dla nas zagrożenie. Ksenofobia przeniknęła bardzo głęboko. Po inwazji Rosji na Ukrainę znaczenie słowa „uchodźca” oczywiście się zmieniło, ale przecież mamy „dobrych” uchodźców z Ukrainy i „złych”, dla których budujemy płoty na granicy z Białorusią.

Pisze pan, że „politycy toczą nierówną walkę z gramatyką i składnią”. Śledzenie tych zmagania może być niezłą rozrywką. Szczególnie na metaforach łatwo się wyłożyć. Ma pan swój ulubiony przykład?

Ciekawy pod tym względem jest Janusz Kowalski. Gdyby go nie było, życie felietonisty byłoby jałowe. Przy czym on akurat nie tyle wyklada się na metaforach, ile ich nie rozumie lub udaje, że nie rozumie. Wypowiedź rozmówcy, że „nóż mu się w kieszeni otwiera”, odczytał jako groźbę karalną.

Mnie urzekła przytoczona przez pana wypowiedź Patryka Jakiego o tym, że „Jesteśmy za dużym narodem, z pięknymi tradycjami, aby był tylko małym, zgwałconym wagonikiem w niemieckiej lokomotywie”.

Tak, „zgwałcone wagoniki” są z pewnością na medalowej pozycji. Lubię też, gdy politycy wzorują się na Ptaku Dodo z „Alicji w krainie czarów”, który nawet o rzeczach prostych mówi w bardzo skomplikowany, a zarazem bełkotliwy sposób. I tu emblematycznym przykładem jest wypowiedź wiceministra zdrowia Macieja Miłkowskiego, której nie pamiętam, bo nie da się czegoś takiego zapamiętać...

Czy chodzi o wypowiedź, której częścią jest zdanie: „Planujemy niewykonanie planu wydatków”?

Oczywiście. Taka logiczna ekwilibrystyka zdarzała się co najwyżej w poezji.

Słownik języka „dobrej zmiany”, który napisaliście z prof. Kłosińską, obejmuje pierwszą kadencję PiS.

Teraz kończy się druga. Coś powinno się do niego dodać?

Wydawnictwo nawet pytało, czy planujemy drugi tom, ale wydaje mi się, że raczej powinno się ukazać wydanie drugie poszerzone. W tym języku nie pojawiło się zbyt wiele nowych haseł; raczej nowe warianty w obrębie starych, zwłaszcza jeśli chodzi o wątki antyniemieckie czy antyimigranckie. Najbliższa kampania wyborcza będzie prawdopodobnie jeszcze bardziej ksenofobiczna niż poprzednie. Widać, jakiego propagandowego paliwa dostarczają władzy wydarzenia paryskie czy śmierć Polki na wyspie Kos.

Część haseł, jak np. „biała róża”, została zapomniana.

Tak, ale np. „bez żadnego trybu” weszło do języka jako skrzydlate słowa.

Rzadziej z ust polityków prawicy padają dziś takie hasła, jak „afery”, „układ” czy „imposybilizm”, bo stały się one nieco obosieczne. O „biało-czerwonej drużynie” też już nie słyszymy.

Bo to było hasło wyborcze. Podejrzewam, że było ono dziełem jakiejś firmy PR, która przygotowywała PiS-owi kampanię. Warto zwrócić uwagę, że nawiązywano w nim do metaforyki sportowej, która się jeszcze wówczas dobrze kojarzyła. Ale też widać w nim zawłaszczanie: Polska to PiS.

Czy to już koniec kariery słowa „plus”? Opozycja gra motywem „plusów ujemnych”, np. koryto+ czy wpierdol+.

Moim zdaniem te „plusy ujemne” i plusy ironiczne są przeciwskuteczne, bo tylko pokazują, że to był świetny pomysł. Wolałbym, żeby zamiast wyśmiewać się z plusów, opozycja wymyśliła coś równie nośnego. Śmierć plusów ewentualnie może nastąpić przez ich inflację, bo zaczęło ich być już za dużo. Od ogromnych kwantyfikatorów, takich jak Polska+, aż po rozczulające, jak program Locha+; skądinąd słuszny, bo wyrównujący straty, jakie ponieśli hodowcy trzody, ale nazwa brzmi, jak brźmi. Skądinąd ciekawe, dlaczego właśnie „locha”?

Będziemy jeszcze wstawać z kolan, czy ta metafora zrobiła się zbyt wywrotna?

Faktycznie, dawno nie wstawaliśmy. Ale ojkofobia wraca do dziś.

Czy język władzy staje się dziś bardziej defensywny?

PiS posługiwało się do niedawna językiem ofensywnym, opozycja przyjmowała wobec niego strategię defensywną, prawie wyłącznie prześmiewczo-ironiczną. Jednym z niewielu momentów, gdy opozycja przejęła narrację i to PiS musiało przejść do defensywy, był wtedy, kiedy dwa miliardy złotych, które mogły zostać przeznaczone na leczenie onkologiczne, zostały przyznane TVP. Ten przekaz, bardzo obrazowy, dotarł, jak sądzę, dość szeroko i wówczas to PiS musiało się tłumaczyć. Ale generalnie opozycja mówiła i niestety nadal mówi, językiem PiS. Dlatego żyzmam się na formy prześmiewcze, takie jak te nieszczęsne „plusy”, bo to cały czas jest gra na ich szachownicy. Mam niestety wrażenie, że nieco wypaliła się też inwencja języka ulicy. Hasła Strajku Kobiet były nie tylko wulgarne – o czym najchętniej mówiła władza – ale też niezwykle błyskotliwe, inteligentne, dowcipne, celne i erudycyjne. Marsz 4 czerwca był wydarzeniem fenomenalnym, ale moim zdaniem, językowo słabszym. Dobrze by było, żeby to był już ostatni marsz tego typu, bo wyprztykaliśmy się z pomysłów na transparenty.

Tu raczej zagrały flagi, a nie słowa.

Tak, bo ten marsz pokazał, że można, a nawet należy, odzyskać symbole narodowe, które nie należą wyłącznie do jednej frakcji politycznej. Podobnie trzeba też przywrócić zawłaszczonym słowom oryginalne znaczenie, posługując się nimi we właściwych kontekstach.

ROZMAWIAŁA JOANNA PODGÓRSKA



Kardynał Franciszka

Za rok skończy 60 lat. Dwa tygodnie temu jego nazwisko znalazło się na ogłoszonej przez papieża Franciszka liście 21 nowych kardynałów. Arcybiskup Grzegorz Ryś to drugi Polak nominowany do tej funkcji w czasie trwającego już 10 lat pontyfikatu.

KATARZYNA KACZOROWSKA

Jest cenionym historykiem Kościoła. Jak mówi nie tylko zaangażowani katolicy, przede wszystkim uczciwym badaczem. Taka była jego praca habilitacyjna o Janie Husie, książka o inkwizycji, taka jest wydana niedawno „Chrześcijananie wobec Żydów”. Na okładce polecają ją dwie osoby – ks. prof. Andrzej

Perzyński i Marian Turski. Ten pierwszy pisze, że „książka zawiera zwięzłe i rzetelne omówienia, mało znanych polskiemu czytelnikowi, dokumentów Kościoła. Niektóre z nich, choćby te dotyczące stanowiska papieża wobec tzw. mordu rytualnego, można uznać za przebłyski światła w pełnej mroku historii chrześcijańskiego antyjudajizmu”. Ten drugi, były więzień KL Auschwitz, nie kryje, że nie mógł

nie zadawać pytania: „Jaką rolę odegrali przywódcy Kościoła w procesie alienacji Żydów?”. I podkreśla, że abp Ryś nie upraszcza, ale odważnie ułatwia zrozumienie procesów społecznych i nurtów ideowych, które kształtowały myślenie i postawy europejskie od Konstantyna po reformację.

Z Krakowa do Łodzi

Ale historia Kościoła ze wszystkimi jej odcieniami to tylko część aktywności nowego kardynała, któremu w 2016 r. wielu wróżyło objęcie rządów w archidiecezji krakowskiej. To w Krakowie się urodził. Tutaj został ochrzczony w bazylice Mariackiej przez ks. Ferdynanda Machaya (senatora II Rzeczypospolitej i działacza niepodległościowego na Orawie). Tutaj skończył studia, przyjął święcenia z rąk kardynała Franciszka Macharskiego i tutaj zdobywał kolejne szczeble kościelnej hierarchii – był rektorem seminarium, potem biskupem pomocniczym i wielu było pewnych, że zastąpi kardynała Stanisława Dziwisza. Nie zastąpił. Decyzją papieża Franciszka trafił do Łodzi, najmłodszej polskiej archidiecezji, liczącej sobie zaledwie 100 lat, o której już przed drugą wojną światową księża pisali, że jest trudna, komunizująca, laicyzująca się i pełna zbuntowanych robotników. A stojący na czele tej archidiecezji abp Marek Jędraszewski z Łodzi pojechał do Krakowa.

– *Po Świątowych Dniach Młodzieży papież uznał, że Kraków potrzebuje „człowieka z zewnątrz”, który zmieni niektóre utrwalone, rzucające się w oczy praktyki i przyzwyczajenia, jak choćby zbyt przywiązanie do przepychu... Ale jednocześnie zmienił się nuncjusz – wytrawnego dyplomata Celestino Migliore zastąpił mało wówczas zorientowany w sprawach polskich Salvatore Penacchio. No i abp Marek Jędraszewski miał koneksje w Watykanie, dokąd jeździł z wykładami. Krótco przed nominacją wrocławskie wydawnictwo opublikowało też materiały zorganizowanego przez niego w Łodzi kongresu „Być i stać się odpowiedzialnymi za życie”* – mówi katolicki publicysta i prawnik Krzysztof Bramorski, nie kryjąc, że zmiana dobrze Kościołowi w Krakowie nie zrobiła, ale za to przysłużyła się Łodzi, a teraz jest szansą dla Kościoła w Polsce, który zbyt długo tkwi w syndromie obłożonej twierdzy, jest zamknięty na doświadczenia nowej ewangelizacji, a każdą krytykę, nawet uzasadnioną, przyjmuje jako personalny atak na biskupów.

Konrad Stanowicz, koordynator Klubu „Tygodnika Powszechnego” we Wrocławiu: – *Nominacja kardynalska abp. Rysia była kwestią czasu i na pewno jest dobrą wiadomością dla ludzi zmęczonych Kościołem w Polsce, dla tych, którzy chcą Kościoła Dobrej Nowiny, a nie Kościoła dobrej zmiany.*

A Ignacy Dudkiewicz, redaktor naczelny „Magazynu Kontakt”, publicysta, filozof i katolik, mówi wprost, że po nowym kardynale widać, że jest człowiekiem wierzącym, czego nie powiedziałaby o wszystkich hierarchach w Polsce na podstawie ich zachowania.

– *Ryś to zaangażowany religijnie ksiądz z powołaniem. Bardzo dobry kaznodzieja. Naprawdę świetnie się go słucha. Jego misją była i jest odpowiedzialność za Kościół diecezjalny i konsekwentnie się tego trzyma. A więc ewangelizuje, zajmuje się Łodzią, choć zmienia, chociaż nie wychodzi przed szereg* – wylicza Dudkiewicz, od razu wyjaśniając, że tą nieprzekraczalną linią dla metropolity łódzkiego jak do tej pory jest krytyka, czy też raczej jej brak, jeśli ma ona dotyczyć innych biskupów.

– *Nawet dociśnięty do ściany będzie mówił rzeczy, w które jestem przekonany – sam nie wierzy. Tak było, kiedy pytany o słowa abp. Jędraszewskiego o tęczowej zaradzie, twierdził, że nie ma powodu, by nie wierzyć arcybiskupowi, że mówił tylko*

o ideologii, a nie o ludziach. O Marku Jędraszewskim można dużo powiedzieć, ale na pewno nie to, że jest człowiekiem, który nie wie, co mówi i po co mówi – nie kryje Dudkiewicz, któremu rację przyznaje Bramorski.

Jednocześnie dodając, że nowy kardynał, w przeciwieństwie do swojego krakowskiego kolegi, stara się łączyć wiernych, a nie dzielić, stawia na różnorodność i nie „zbiskupiał”. – *Co zdarza się wielu otwartym, fajnym księżom, którym fioletowa czapeczka przykrywa inteligencję* – mówi z przekąsem Bramorski. On sam już w 2019 r. przewidywał w jednym z artykułów, że jeśli Franciszek powoła w Polsce nowych kardynałów, to będą to albo abp Grzegorz Ryś, albo abp Wojciech Polak.

– *Skończył się czas kardynalskich stolic, które dostawały swoich kardynałów, bo tak mówiła tradycja. Nie ma więc nominacji nie tylko Marek Jędraszewski, ale też Józef Kupny z Wrocławia, który choć ma możliwości i narzędzia w episkopacie, niczym się nie wyróżnia. A papież działa niekonwencjonalnie* – mówi Bramorski. Stanowicz dodaje: – *Franciszek stawia na peryferie. Faworyzuje Globalne Południe, nie zważając w nominacjach na zwyczajowość – Mediolan wciąż nie ma kardynała. A Łódź jest wyzwaniem, nie tam bije serce polskiego katolicyzmu.*

Ks. Rafał Kowalski, rzecznik archidiecezji wrocławskiej, która po 1945 r. miała dwóch kardynałów – Bolesława Kominka, twórcę listu do biskupów niemieckich „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie”, i Henryka Gulbinowicza, ukaranego przez Watykan, ale który w stanie wojennym bez wahania poparł opozycję solidarnościową i przechował słynne 80 mln zł – wyjaśnia: – *Kapelusz kardynalski otrzymuje się nie za to, gdzie jesteś, ale za to, jaki jesteś. Dla Franciszka istnieją konkretne osoby, które mogą być kardynałami, to znaczy jego najbliższymi współpracownikami. Od wielu lat czytam wszystko, co wyszło spod ręki najpierw księdza, później biskupa, a ostatnio abp. Rysia i jeśli mogę na tej podstawie opierać jego ocenę, nie mam wątpliwości, że jest potwierdzeniem tej zasady...*

Dobre zmiany

Konrad Stanowicz: – *Po przyjściu Rysia do Łodzi w diecezji nastąpiły zmiany, które chwalą sami księża. Dodaje, że jeśli sięgnąć po biblijne „po owocach ich poznać”, to kardynał Ryś tych owoców ma bardzo dużo. Jednym z nich jest Centrum Służby Rodzinie, na którego czele postawił ks. Arkadiusza Lechowskiego.*

– *Pomoc uchodźcom, ludziom w kryzysie bezdomności, po prostu potrzebującym to jest też znak tego, jak Ewangelię rozumie nowy kardynał, choć ja bym chciał jeszcze więcej* – dla Konrada Stanowicza tym więcej byłby mocny głos odnoszący się do kryzysu na granicy polsko-białoruskiej, gdzie umierają ludzie. – *Niezależnie od kontekstu politycznego jest drugi, znacznie ważniejszy – moralny. I tu z perspektywy Ewangelii powinniśmy usłyszeć wyraźne potępienie tego, co się tam dzieje. I chciałbym usłyszeć tu nowego kardynała.*

Motto biskupa Rysia to „Moc w słabości”. Może więc w tych słabościach, jakie dostrzegają katolicy, którzy chcieliby więcej zmian w polskim Kościele, a na pewno pragnęliby, aby dokonały się one szybciej, jest jednak siła, która skupia się nie na majestacie, lecz na ewangelicznym przesłaniu?

– *Polski Kościół rzeczywiście jest skupiony na swoim majestacie, nie chce dostrzec zmian, które są nieuchronne, boi się otworzyć na te zmiany, czego najlepszym przykładem jest ostatni synod i to, co z jego pracami zrobił choćby metropolita krakowski, który oryginalny dokument podsumowujący utajnił, bo był dla niego niekorzystny* – mówi Krzysztof Bramorski i odsyła do swojego wywiadu z 2022 r. z kard. Jeanem-Claude'em Hollerichem, ►

► relatorem synodu i ówczesnym przewodniczącym Komisji Episkopatów Wspólnoty Europejskiej. Powiedział w nim m.in. „Zbyt mocno koncentrujemy się wszyscy na »czubku kościelnego nosa«, na własnym stanie posiadania. Nie potrafimy dostrzec wszystkiego, co dzieje się poza nim”.

A arcybiskup Ryś dostrzega. W latach 90. XX w. pojechał do Tobolska, gdzie polscy robotnicy budowali fabrykę. W miesiąc wypowiedział tysiąc mężczyzn, a w 2017 r. „Tygodnikowi Powszechnemu” powiedział, że dzięki temu doświadczeniu wie, co to znaczy być samemu w święta i mieć puszkę śledzi w lodówce w hotelu robotniczym”. W Krakowie przez 25 lat prowadził pielgrzymkę na Jasną Górę, był zaangażowany we wspólnoty charyzmatyczne – Ruch Światło Życie, Drogę Neokatechumenalną, a już jako metropolita łódzki w 2022 r. podczas modlitewnego spotkania w Atlas Arenie do 10 tys. młodych w większości ludzi mówił: „Jesteście najpiękniejsi!”.

– *To ciekawe, bo nie boi się zarzutów o pentekostalizację Kościoła, czyli jego „uzielonoświątkowanie”. Nie oddziela intelektu od emocji silnej i głębokiej wiary, pokazuje, że można być i intelektualistą, i człowiekiem mistyki* – mówi ksiądz z archidiecezji wrocławskiej, od razu dodając, że imponują mu gesty nowego kardynała, które wykraczają poza biskupie standardy. Jak choćby pójście osobiście z kołędą do starszego człowieka, który nie był w stanie zawiadomić swojego proboszcza przez internet, że go przyjmie. Bo nie miał komputera i nie umiał wysłać e-maila. – *Ryś nie robi takich gestów pod publiczność, pod media, które pokażą takiego ludzkiego biskupa, on jest w tym autentyczny i naprawdę pokazuje, czym jest głoszenie Słowa, co to znaczy widzieć Jezusa w drugim człowieku* – dodaje ksiądz, zastrzegając nazwisko. – *Nie chcę mojego biskupa denerwować* – uśmiecha się.

Rysy na obrazie

– *Ale są też sprawy dyskusyjne czy przykre. Pod Łodzią w Porszewicach mieszkańcy okolicy i ekolodzy protestowali, bo kuria dała zgodę na wycinkę lasów pod kopalnię piasku na gruntach należących do archidiecezji. Zaskoczyło mnie to bardzo, bo abp Ryś bardzo mocno i dobrze odnosił się do encykliki „Laudato si” Franciszka, w której wybrzmiewa silne przesłanie o potrzebie ekologicznego nawrócenia* – mówi Konrad Stanowicz.

Obok tej kopalni piasku kolejną sprawą budzącą bardzo duże emocje stał się ruch „Stop cmentarnemu wyzyskowi”, który doprowadził dwa lata temu do pierwszego procesu przeciwko Kurii Łódzkiej w sprawie nienależnej opłaty na cmentarzu w Brzezinach. Wierni wysłali wtedy do abp. Rysia list, w którym napisali: „Jesteśmy ludźmi wierzącymi, ale czy nasza wiara mówi o odebraniu nam ostatnich groszy, kiedy krwawi nasze serce, gdy tracimy osobę bliską? Koszty, jakie ponosimy w biurze cmentarza, mieszkańcy określają mianem haraczu kościelnego. (...) Wielu z nas musi zaciągać kredyty”.

– *Na pierwszej rozprawie adwokat reprezentująca kurię odrzuciła propozycję ugody. Wtedy prawnicy wystosowali pismo, w którym zwrócili się o ujawnienie dokumentów finansowych. I na kolejnej rozprawie ugoda już była* – mówi Sławomir Pawlik, nie kryjąc, że jego zdaniem kuria nie chciała ujawnić tych dokumentów.

W 2022 r. zawarto kolejne cztery ugody, w których zwrócono skarżącym 80 proc. kosztów pochówku bliskich, jakie wiązały się z pogrzebami na cmentarzach zarządzanych przez łódzką kurię.

– *Dla mnie abp Ryś jest zamknięty, jeśli chodzi o rozmowy dotyczące pieniędzy kurii* – mówi Pawlik i dodaje, że koszty pogrzebu na „kurialnym” cmentarzu w Brzezinach sięgają

nawet 14 tys. zł, z czego opłata za miejsce to 2 tys., wykopanie grobu tyle samo, a grabarza trzeba opłacić dodatkowo, dając mu 2,5 tys. zł.

Jest nadzieja?

Czy nominacja dla abp. Grzegorza Rysia zmieni polski Kościół? Sam nominowany Michałowi Okońskiemu w „Tygodniku Powszechnym” powiedział, że nie bardzo mu się podoba mówienie o Kościele w kategoriach ugrupowań, koterii, a już najbardziej zwalczających się ugrupowań i koterii. „W Kościele musi być przestrzeń do różnicy zdań” – podkreślił.

Ignacy Dudkiewicz: – *Tylko że to jest jakiś sygnał z Watykanu, wzmacnienie opozycji, która jest mniejszością w episkopacie, bo ten ma jednak twarz Jędraszewskiego i nieco bardziej umiarkowanego Gądeckiego. Przypomina, że w 2024 r. kończy się kadencja obecnego prezydium episkopatu i zgodnie z zasadami ani abp Jędraszewski, ani abp Gądecki kandydować już nie będą mogli, a dodatkowo ten pierwszy będzie przechodził na emeryturę.*

Stanowicz: – *Z dużą nadzieją przyjęto nominację na metropolitę w Katowicach abp. Galbasa, więc jakieś powolne ruchy można zauważyć, pytanie tylko, czy kardynał Ryś, który jest bardzo zajęty, zechce powalczyć o wpływ na kształt Kościoła w Polsce z perspektywy władz episkopatu i czy zostanie mu to umożliwione. Konrad Stanowicz przypomina, że metropolita łódzki był już członkiem rady stałej episkopatu. Jedną kadencję, bo drugi raz koleżdy biskupi go nie wybrali. Teraz jako metropolita w randze kardynała wejdzie jednak do tej rady automatycznie.*

– *A papież Franciszek już trzy lata temu powołał go do Kongregacji ds. Biskupów, co być może sugeruje, że będzie miał wpływ na nominacje biskupie w Polsce* – mówi Krzysztof Bramorski.

Ignacy Dudkiewicz: – *Zmiana personalna w instytucji takiej jak Kościół rzymskokatolicki w Polsce to bardzo zawodne narzędzie, bo system się replikuje, a to oznacza, że nie wiadomo, czy następcy Gądeckiego, Jędraszewskiego czy Dzięgi będą od nich lepsi. Może będą, ale równie dobrze mogą być i gorsi. Jednocześnie wiemy, że zmiany są nieuniknione, a niektórzy biskupi widzą i rozumieją więcej ze skomplikowanej rzeczywistości, chociażby obserwując pustoszące seminaria w swoich diecezjach. Dostrzegają też, że powszechny w Polsce sposób myślenia o katolicyzmie nie wpisuje się w wizję papieża Franciszka, który poprzez swoje nominacje kardynalskie robi wszystko, by przyszedł po nim raczej Franciszek II niż Jan Paweł III.*

Dla Dudkiewicza zderzenie ze ścianą, jak mówi, jest w polskim Kościele nieuniknione, nie ma też poczucia, że jakiegokolwiek zmiany personalne czy decyzje biskupów zdołają zahamować nadchodzącą katastrofę.

– *Tak naprawdę pytanie brzmi: co powstanie na ugorze, gdzie odnajdą się wspólnoty wiernych, ile ich będzie? Bo Kościół w Polsce odnowi się od dołu, a nie od góry i w tym sensie to, że abp Ryś teraz będzie tytułowany kardynałem, a nie arcybiskupem i zmieni kolor czapki, ma naprawdę siedmiorzędne znaczenie z punktu widzenia przyszłości chrześcijaństwa w Polsce* – puentuje Dudkiewicz.

Kardynał Grzegorz Ryś w wywiadzie udzielonym Katolickiej Agencji Informacyjnej po ogłoszeniu jego nominacji powiedział: „do czego będę inspirować moich kolegów biskupów? (...) Chodzi mi o Kościół, który istnieje dla ewangelizacji. Po drugie zależy mi na Kościele, który (...) jest »jakby sakramentem, czyli znakiem i instrumentem [budowania] jedności całego rodzaju ludzkiego«. Jest to niezwykle ważna perspektywa. Sakramentem jedności zaś Kościół może być tylko wtedy, kiedy sam jest zjednoczony”. Brzmi to wzniośle, ale co naprawdę znaczy?

KATARZYNA KACZOROWSKA

Jak uwieść wieś

Rozmowa z socjolożką dr Aleksandrą Bilewicz o tym, dlaczego PiS nie radzi sobie ze wsią, a jednak na wsi wygrywa.

JULIUSZ ĆWIELUCH: – Politolodzy wydają się skołowani, to pomyślałem, że może socjolog odpowie na pytania, czy wieś zapewni PiS-owi trzecią kadencję?

ALEKSANDRA BILEWICZ: – Zdaje się, że wszyscy są skołowani, łącznie z ludźmi na wsi. Tak naprawdę to po żniwach dowiemy się, jaką ocenę wieś wystawi rządzącym. Ale mnie osobście takie stawianie sprawy po ludzku irytuje. Dziennikarze przypominają sobie o mieszkańcach wsi raz na kilka lat, kiedy zbliżają się wybory. Wieś staje się interesująca, kiedy w jakiś sposób zagraża interesom społeczno-ekonomicznym innych grup społecznych. A samo pana pytanie w podtekście sprowadza się do tego, co zrobić, żeby ludzie na wsi nie zagłosowali na PiS.

No właśnie, co zrobić?

A nie mówiłam?

Mówiła pani. Ale ja nadal nie rozumiem, dlaczego głosują na PiS, który na wsi rządzi zgodnie z maksymą „nikt ci tyle nie da, ile PiS ci obieca”.

Trzymając się pana toku myślenia, PiS przynajmniej coś obiecuje. PSL ma już tak rozmyty program, że sami chyba nie wiedzą, czy jeszcze walczą o elektorat wiejski. Zatracili swoje korzenie w ruchu ludowym. Czy lewica albo Platforma mają jakiś pomysł na polską wieś? Ale nie chciałabym brnąć w te politologiczne dywagacje, bo nie jestem politolożką. Mnie interesuje to, co się dzieje ze społecznością wiejską. A dzieje się wiele. W zasadzie odbywa się tam wielka społeczna rewolucja, która właściwie nie przebiła się do szerokiej opinii publicznej.

Przy urnach bez zmian.

Niech już pan da spokój z tymi urnami. Pan widzi skutki, a ja bym wolała mówić o przyczynach. Wybory polityczne mieszkańców wsi nie pokrywają się z moimi, ale właściwie mnie nie dziwią. Przez lata w kwestii pomysłu na wieś panował liberalny dogmat modernizacji. Czyli głównie budowy wielkich, przemysłowych gospodarstw rolnych kosztem likwidacji małych.

Cały świat idzie w tym kierunku, to się nazywa poprawa wydajności.

O takiej narracji właśnie mówię. Tymczasem są badania, które wskazują na fakt, że biorąc pod uwagę całkowity plon, to mniejsze gospodarstwa są bardziej wydajne. Są także szansą na produkcję żywności wysokiej jakości. Można prowadzić uprawę ekologiczną, dbać o bioróżnorodność. Nie przyczyniać się w takim stopniu do negatywnych zmian klimatycznych. Jest całe mnóstwo czynników, które przemawiają za takim rolnictwem. Kluczowy w tym wszystkim był nie tylko kierunek zmian, ale retoryka, która im towarzyszyła. W liberalnym dyskursie zaczęto lansować stereotyp mieszkańca wsi jako ▶



ILUSTRACJA BARTEK KIEŁBOWICZ

► niedouczonego i roszczeniowego. Na przykład na łamach „Gazety Wyborczej” Janusz Majcherek opublikował tekst, w którym określił chłopów mianem „hamulcowych modernizacji”. I taka łątka już do nich przylgnęła. Chciałby pan być hamulcowym zmian?

Chętnie zostanę hamulcowym „dobrej zmiany”, bo jestem nią strasznie zmęczony. I dziwię się, że na wsi też nie są.

Biorąc pod uwagę kolejne fale protestów rolników oraz niedawną kolejną dymisję ministra rolnictwa, to trudno mówić, że wieś nie jest zmęczona.

Ale poparcie dla PiS na wsi jest silne.

Silne, ale nie zabetonowane. W 2020 r. PiS miał tam 56 proc. poparcia. A dwa lata później 39 proc. To jest spory spadek. Ostatnie zawirowania wokół ukraińskiego, a przy okazji również polskiego zboża, również nie poprawiają notowań. Co nie znaczy, że PiS na wsi przegra.

Mam wrażenie, że wieś z PiS-em wiele traci.

Poczucie przegranej na wsi jest silne od lat. Tam, gdzie prowadziłam badania terenowe, właściciele mniejszych gospodarstw pragnęli już tylko dotrzeć do emerytury. Nie chcieli, żeby ich dzieci zajmowały się rolnictwem, co oznacza, że uważają to za trwale nieperspektywiczne. Praca jest ciężka, niewdzięczna. Pomimo mechanizacji coraz bardziej czasochłonna. I to właśnie najwięksi posiadacze żalili się, że na nic nie mają czasu. Umówienie się na wywiad z młodym, dobrze prosperującym rolnikiem to było wyzwanie. Ostatecznie miał dla mnie 20 minut, bo już musiał jechać na zbiór kalafiorów.

Jest praca, jest płaca.

Z badań i cyferek wynika, że to nie jest takie proste przełożenie. Z badań wynika, że mieszkańcy wsi latami czuli się gorsi również materialnie. Mieli poczucie, że w mieście żyje się lepiej, łatwiej, ma się więcej czasu, można się rozwijać. Oni ciągle mają poczucie, że jest im gorzej niż innym. Czują, że reszta społeczeństwa wręcz nimi gardzi. Dlatego młodzi wykształceni ze wsi uciekają.

Pani tak mówi, jakby żli i nieczuli liberałowie wrzucili wieś w objęcia PiS, a przecież to zawsze było środowisko konserwatywne, silnie związane z Kościołem, niechętnie zmianom.

Wieś nie zawsze głosowała na PiS. Tamten elektorat po omacku szukał swoich wyrazieli. Negatywna presja, której latami poddawani byli mieszkańcy wsi, powodowała, że z czasem coraz mocniej okopywali się na konserwatywnych pozycjach. Kiedy dawny świat społeczny upada, wtedy poszukuje się autorytetów i stąd moim zdaniem sukces PiS. Jarosław Kaczyński zbudował wizerunek silnego, sprawczego i charyzmatycznego przywódcy. W sferze deklaratywnej szanującego wieś i jej tradycyjne wartości. Wербalnie to PiS najbardziej afirmuje wieś spośród wszystkich partii politycznych.

Deklaratywnie i werbalnie.

PiS miał wiele lat na to, żeby poradzić sobie z problemami wsi i erozją rolnictwa. I widać, że nie ma na tym polu specjalnych sukcesów. Już na samym początku poniósł porażkę w walce z afrykańskim pomorem świń. Później próbował walczyć z wykluczeniem komunikacyjnym, które jest zmorą wsi. Kolejna porażka. Kłapą okazało się również odtworzenie gabinetów dentystycznych w szkołach. Wieś jest obszarem z najgorszym dostępem do usług cyfrowych. Lista porażek jest długa. Rolnicy negatywnie ocenili również tzw. piątkę dla zwierząt.

Za żadną z tych kłap nie zostali rozliczeni. Niektóre pomogli im przykryć covid. Od czasu pandemii ludzie jakoś mniej narzekają na ASF, jakby przywykli, że zarazy się trafiają i co zrobisz.



Dr **Aleksandra Bilewicz**, rocznik 1984. Pracuje w Instytucie Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN. Od początku kariery naukowej bada i opisuje społeczno-ekonomiczne przemiany związane z polską wsią. Zajmowała się m.in. spółdzielczością, alternatywnymi sieciami żywnościowymi. Ostatnio bada przemiany związane z dezagrariacją. Od 2022 r. członkini Akademii Młodych Uczonych Polskiej Akademii Nauk.

Jako badaczka wsi mogę tylko powiedzieć, że ASF w zasadzie całkowicie wyeliminował drobnych hodowców trzody chlewnej. ASF i unijna biurokracja, na której rolnicy nie stawiają suchej nitki. Ilość formalności, które należy spełnić, żeby hodować dwie, trzy świny przy domu jest mniej więcej taka sama, jak przy wielkim stadzie. W efekcie mało kto się na to decyduje. Ludzie rezygnują, ale żal i poczucie, że coś im odebrano, w nich pozostaje.

Na wsi jest wiele takich małych żalów w ludziach?

Wiele. Ale nie da się zrozumieć wsi, jeśli się nie opíše dokonujących się tam żywiolowych przemian społecznych. Moi rodzice mają dom na wsi. W czasie wakacji spędzaliśmy tam wiele czasu. Nasiąkałam wsią. I pamiętam, jaka była. Mówię w czasie przeszłym, bo w ciągu zaledwie 30 lat wieś, jaką znałam, odeszła. Na wsi mamy dziś rewolucję społeczną, której nie dostrzegamy albo nie chcemy dostrzegać. Przede wszystkim dochodzi do dezagrariacji: według ostatniego spisu rolnego od 2010 do 2020 r. utraciliśmy 13 proc. gospodarstw.

To, że nie produkują, nie znaczy, że nie zarabiają na ziemi.

Są przecież unijne dopłaty.

Dopłaty wspierają głównie dużych producentów i przemysłową produkcję – 80 proc. pieniędzy trafia do 20 proc. największych gospodarstw. Podaję te liczby, bo ustawiają jakoś perspektywę. Ale za nimi kryją się potężne napięcia społeczne. Zmiany ekonomiczne przekładają się na zmiany społeczne. W trakcie badań terenowych niemal wszyscy moi rozmówcy dają do zrozumienia, że brakuje im wspólnotowości. Kontakty międzyludzkie zmalały. Ludzie dużo rzadziej się spotykają. Zanika instytucja wzajemnej pomocy. Wieś boryka się w jednym czasie z katastrofą klimatyczną, erozją więzi społecznych i żywiolową przemianą klasową.

Walka klas na wsi?

Rolnicy stanowią dziś margines mieszkańców terenów wiejskich. Z danych za 2022 r. wynika, że jedynie 17 proc. gospodarstw pozyskuje główne dochody z gospodarstwa rolnego. Pozostali wykonują jeszcze inną działalność, żeby związać koniec z końcem. Część z nich to tzw. wielozawodowcy. Ludzie, którzy muszą mieć różne źródła zarobku, żeby utrzymać się z mniejszego gospodarstwa. Trzeba przyznać, że dochody rolników znacznie wzrosły. Pomiędzy 2010 a 2020 r. podniosły się o 80 proc. Jednocześnie jednak ogromnie wzrosły koszty produkcji, a ceny są niestabilne. Na wsi pojawiła się również klasa średnia, którą w 2015 r. prof. Maria Hałamska obliczała na 28,5 proc., więc teraz z pewnością jest to już powyżej 30 proc. Dzisiejsza wieś jest jednak przede wszystkim robotnicza.

Chłoprobotnicza?

Właściwie to już ani chłopci, ani robotnicy. Ludzie zatrudnieni w drobnych usługach, na przykład na budowach. Albo w takich zawodach, jak salowe, ochroniarze i portierzy. Raczej mało prestiżowych i słabo płatnych. 45 proc. mieszkańców wsi zalicza się dziś do grupy robotniczej. Z wsią wiąże ich miejsce zamieszkania, mentalność, pewne rytuały. Żyją zawieszonymi pomiędzy miastem a wsią. Są bardzo czuli na transfery publicznych pieniędzy, bez których ich status materialny uległby

dramatycznemu pogorszeniu. Są też czuli na punkcie własnej godności, bo w ich wypadku etos pracy na roli nie został zastąpiony etosem robotniczym. Ci ludzie czują się wykarczowani ze wsi. Do miasta też nie przynależą.

To ci, którzy mówią państwowym telewizorem?

Z pewnością są podatni na zabiegi propagandowe, które stosuje PiS. Ale też za tej władzy realnie doświadczają poprawy jakości życia. Ogólnie na wsi bardzo poprawił się poziom życia. Standardem jest już nie tylko łazienka, których kiedyś powszechnie brakowało. Dziś w wielu domach jest już zmywarka. Poziom życia się podnosi, mieszkańcy wsi się bogacą. Dochody gospodarstw domowych rolników wynoszą już 97 proc. dochodów ogółu gospodarstw domowych. Ekonomicznie wieś niemal dogoniła miasto.

Za jaką cenę?

Wysoką. Wieś zatracza swoje więzi i rytuały. Dla mnie takim negatywnym symbolem tych zmian jest zanikanie ławki jako ważnego elementu wiejskiego krajobrazu. Ławka pełniła wiele funkcji, od towarzyskiej, przez nadzorczą, po informacyjną. Ławka była instytucją społeczną spajającą wieś. Tych więzi nie zastąpi komunikacja na Messengerze, przynajmniej nie całkiem. Głód tych spotkań i rytuałów jest tak duży, że w jednej z wsi, które badałam, sołtyska doprowadziła do przywrócenia śpiewów majowych przy kapliczkach. To była kobieta wierząca, ale jej gest był bardziej z kategorii społecznych niż religijnych. Chodziło o stworzenie pretekstu do spotkania.

Już się bałam, że nie zahaczmy o Kościół.

Wieś się laicyzuje?

Tak. Ale dużo wolniej niż reszta Polski. Liczba niepraktykujących rośnie od lat. Obecnie to 28 proc. mieszkańców. Ostatnie skandale z pedofilią w Kościele wpływają również na mieszkańców wsi. Byłabym jednak ostrożna w mówieniu, że wieś odchodzi od Kościoła. Symbioza wsi i Kościoła jest bardzo silna, że wsi rekrutuje się większość księży. Od wieków parafia była tam centrum życia społecznego. Na wsi nie ma dużej konkurencji dla parafii, która zaspokajała nie tylko potrzeby duchowe, ale również towarzyskie i kulturalne. Kryzys wiary dotyka i wieś, ale ma inną dynamikę i inne podłoże niż w mieście.

Ich religijność jest bardziej rytualna, przez co mniej podatna na kryzys?

Nie badałam tego aspektu. Nie mam do tego narzędzi. W badaniu CBOS z 2022 r. bezpłatną pracę na rzecz parafii zadeklarowało 37 proc. ogółu respondentów. Z czego 78 proc. rolników i 52 proc. mieszkańców wsi. W polskich parafiach rolnicy są więc grupą najaktywniej udzielającą się społecznie. To może się przekładać także na aktywność polityczną, bo polski Kościół jest upolityczniony i zabiera głos w sprawach politycznych.

Ślucham i mam wrażenie, że to wszystko jest bardzo zagmatwane. Wieś chciała zostać miastem, a jak się nie udało, to chociaż zaczęła się tak zmieniać, żeby odróżnić się od dawnej wsi.

Wieś zatracza swoją tożsamość. Nie zyskując przy tym tej miejskiej. Wieś upodabnia się wizualnie do miasta. Domy są wyremontowane, obejścia zadbane. A jednocześnie pomiędzy miastem i wsią jest silne napięcie. Moim zdaniem zresztą dodatkowo podsycane przez rządzących. To zresztą ciekawie wychodzi w trakcie badań nad nowymi mieszkańcami wsi, których Przemysław Sadura obrazowo nazywa *kolonizatorami*,

a dr Zwęglińska-Gałecka *gentryfierami*, bo niejako wypierają rdzenną ludność.

Przecież wieś się wyludnia.

We wsiach peryferyjnych mamy do czynienia z depopulacją. We wsiach obwarzankowych, tych wokół większych metropolii, jest dodatnie saldo migracji. To tam najczęściej napływa nowa klasa średnia. W jednej z badanych przez nas wsi był duży napływ ludzi z pobliskiego miasteczka. Okazało się, że tym nowym mieszkańcom rolnictwo po prostu przeszkadza. Pracująca w nocy deszczownia była problemem. Nie chcieli, żeby był nocny oprysk, bo za głośno. Z drugiej strony sami rolnicy czuli się nieswojo we własnej wsi. Powstał tam dom weselny i rolnik mówił, że czuł się głupio, kiedy w roboczych ubraniach przejeżdżał traktorem koło wystrojonych w garnitury weselników.

Kończy się na tym, że ci ze wsi chodzą kupować jajka od gentryfierów.

W jednej z wsi, którą badałam, działa napływowe stowarzyszenie, którego nazwy nie chciałabym wymieniać ze względu na anonimowy charakter badań. To prężna organizacja, która bardzo zaangażowała się w pomoc Ukraińcom. Ale jednocześnie odnawiają zapomniane lokalne obrzędy i zwyczaje, na przykład zwyczaj kołędowania, który zdążył już tam zaniknąć. Lokalna społeczność mówi, że lider tego stowarzyszenia uratował ich wieś.

A czy jest jakaś siła, która uratuje polską wieś?

Paradoksalnie Unia Europejska próbuje wdrożyć mechanizmy, które mogłyby powstrzymać negatywne trendy zmian, jakie zostały zapoczątkowane lata temu i już widać, że nie wszystko poszło jak trzeba. Z badań wynika, że rolnictwo wielkoobszarowe przyspiesza negatywne zmiany klimatyczne. Monokultury powodują erozję ziemi, pogłębiają susze, prowadzą do degradacji ekosystemów, a ostatecznie do obniżenia jakości produkowanego jedzenia. Ujemne skutki tego rodzaju rolnictwa można długo wymieniać. Europejski Zielony Ład, strategia „Od pola do stołu”, która ma wspierać bezpośrednie relacje pomiędzy konsumentami a producentami, to są jakieś próby znalezienia balansu pomiędzy rolnictwem przemysłowym a tym bardziej eko. Polska ma w tym zakresie ogromny potencjał. Nadal 50 proc. gospodarstw ma poniżej 5 ha. Umiejętnie wspierane byłyby ekonomicznie rentowne.

W zamian do miast trafiałoby więcej zdrowej i wysokiej jakości żywności. To jest obszar, w którym pomiędzy wsią a miastem mogłaby zapanować jakaś równowaga. Jednak na to się nie zanosi, bo proekologiczna polityka UE jest często postrzegana jako zagrożenie, także przez rolników.

Sama była pani członkinią kooperatywy, której celem było pozyskiwanie zdrowej żywności ze wsi.

Warszawska Kooperatywa Spożywcza, której byłam członkinią, już nie istnieje. To była organizacja o bardzo luźnej, niehierarchicznej strukturze. Każdy chciał mieć tańsze i zdrowe warzywa, ale nie każdy chciał się w to na tyle mocno zaangażować, żeby się udało. Z rolnikami też nie było nam łatwo się dogadać. Najpierw długo błędziliśmy, poszukując dróg dojścia do odpowiednich kontrahentów. Okazało się, że pomimo całego naszego wykształcenia i dobrej woli nie byliśmy zorientowani w tym rynku. My też bardzo mało wiedzieliśmy o wsi i rolnikach.

ROZMAWIAŁ JULIUSZ CŹWIELUCH

Ona kontra oni

Poznańska historia z ulicy Święty Marcin to żadna love story. Za to hejt jest prawdziwy.

MARTYNA BUNDA



Zdjęcia z ulicy Święty Marcin w Poznaniu przedrukowały gazety od Japonii po Meksyk. Julia w białych spodniach, załamująca ręce, u jej stóp umierający Konrad, postrzelony w twarz, kawałek dalej Mikołaj, tuż przed tym, jak strzelił sobie w głowę – kadry powielano w wersji papierowej, w internecie, na filmach, blogach. W końcu w memach. Pisano: Tragiczna LOVE Story. Ale to nieprawda.

Ten, który zabił, poprzedniego wieczoru bawił się w mieście ze znajomymi. Nikt nie dostrzegł niczego niepokojącego. Choć na zdjęciach w sieci już parę dni wcześniej zobaczył pierścionek na serdecznym palcu swojej byłej dziewczyny. Zapewne przejrzał też na Instagramie serię wspólnych fotografii zakochanych. Widział ich czułość. Warszawa, Łódź, Barcelona. Tamtego dnia rano dostrzegł na zdjęciach w internecie, że przyjechali do jego rodzinnego Poznania.

Ten, który zabił, przez znajomych uważany był za złote dziecko. Skończył prawo na UAM, a wcześniej dobre, legendarne poznańskie liceum. Choć trafiali się i tacy, którzy dodawali, że nie był tak zdolny jak brat – wymieniony przez „Forbesa” jako jedno z objawień młodego pokolenia, z sukcesami, którymi można by wypełnić więcej niż jedno CV. Niektórzy mówili, że Mikołaj zadziera nosa. Miał powody. Dobre poznańskie nazwisko, dom w doskonałej dzielnicy, gdzie co drugi mieszkaniec jest

dyrektorem albo profesorem. Ojciec na ważnym stanowisku w dużej firmie obsługującej polską zbrojeniówkę. Rodzice wspierający w pomysłach na to, jak się usamodzielnic, i używający adresu kolejnym firmom potomków, zarówno gdy latorośle próbowały zarabiać na kupowaniu maseczek w pandemii, jak i procesować się z największymi sieciami handlowymi o skradzione projekty.

Już po zbrodni niektórzy przypominają sobie jednak, że Mikołaj był chwiejny. Na nastoletnich zdjęciach pozował z atrapami broni, ostentacyjnie męski i wystylizowany na szeryfa, ale w realu jakby zapadał się w siebie. Obsesyjny. Także gdy szło o broń. Wystarał się o zgodę na jej posiadanie do celów sportowych – pistolety i karabiny, ale gdy 2022 r., po epizodzie depresji zakończonym w szpitalu psychiatrycznym, na kilka miesięcy mu ją odebrano, odwołał się i dostarczył szereg papierów potwierdzających, że jest emocjonalnie stabilny – jakby ta broń naprawdę miała go ochronić przed kimś konkretnym. Chociaż wiódł powtarzalne i spokojne życie: praca w urzędzie miasta, posada i etat. Kiedy zwrócono mu pozwolenie, zaraz dokupił jeszcze pistolet.

W chwili, gdy strzelała na Świętym Marcynie, wyglądał, jakby grał w westernie: szeroki, nonszalancki chód, uniesiony podbródek, mocne spojrzenia rzucane dziewczynie... Padł pierwszy strzał. Odczekał, chodząc wokół na rozstawionych nogach jak kogut. Dał sobie dużo czasu, żeby dobrze się przyjrzeć jej bezradności i przerażeniu. Nim strzelił sobie w głowę, zdjął czapkę i raz jeszcze zawiesił na niej spojrzenie.

Ale w życiu częściej wybierał inną stylizację: niedosłego bohatera skazanego na zawód i niepowodzenie, którego – jak Kordiana – *życie nie zdążyłaskawić*. Jako alter ego wrzucał w sieć „Wędrowca nad morzem mgły” Caspara Davida Friedricha. I zarazem okładkę popularnego wydania „Kordiana”.

Ten, który został zastrzelony, lubił imię Kordian. Przedstawiał się nim w internecie. Opatrzył nim swój blog o polityce i finansach (choć w tym czasie na prywatnych kontach był Stańczykiem – królewskim błaznem). Żył siecią, w której był rozpoznawalny, nie mniej niż światem poza nią.

Był niemal równolatkiem mordercy. Ale jego dorobkiem można by obdzielić kilka osób. W łódzkiej filharmonii, gdzie pracował, piął się od posady biletera aż po człowieka od promocji i organizacji najważniejszych wydarzeń. Ale pracował też w sieci – na swoich blogach rozmawiał z tuzami historii i nowymi postaciami polityki, od Balcerowicza po dwójkę szefów Zielonych. Miał tam fanów.

Robił internetowe filmy dla równolatków i dzieci, dla ludzi z prawicy i lewicy. Na temat muzyki albo historycznych łódzkich budynków. Brał się za wspólne projekty z posłem PSL, chciał *uwalniać konopie* i obniżyć podatki. Tuż przed śmiercią Konrad zdążył jeszcze zorganizować w Łodzi festiwal muzyki z gier komputerowych – wydarzenie, nad którym pracował kilka lat; spotkanie dla niemal 5 tys. osób.

Broń też lubił. Przynajmniej w deklaracjach. Czasem chodził na strzelnicę, ale coraz rzadziej. W sieci przekonywał, że każdy powinien mieć do niej dostęp, i że sam kiedyś też postara się o pozwolenie, ale jakoś nie było mu po drodze. Bo nigdy nie było powodu. Nie sądził, że ma wrogów.

Znał tego, który strzelał. Kiedyś, wcześniej, natykali się na siebie, w podobnym czasie dokonywali podobnych wyborów. Przeszli jednakową fascynację partią Korwina; każdy z nich próbował z tej listy zdobyć mandat w wyborach, ale bezskutecznie. Ale Konrad/Kordian, wychowany pod Koszalinem, zamieszkały w łódzkim blokowisku, nie miał tego ciśnienia, żeby być najlepszy. Robił swoje.

Ta, która to wszystko przeżyła, jest o dekadę młodsza od każdego z nich. Kiedy natrafiła na siebie z Mikołajem, była bardzo młoda, myślała głównie o maturze. Niebawem zdała sobie sprawę, że ta relacja się nie uda. Zerwali ze sobą dwa lata temu, zanim poznała Konrada. Jedną z najlepszych uczennic w historii niewielkiego miasteczka w północnej Wielkopolsce, poszła na prawo, do Łodzi.

Tak jak Konrad od zawsze angażowała się w różne społeczne sprawy. Reprezentowanie szkoły, potem internetowe społeczności, ale przenoszące się poza sieć grupy zajmujące się wolnością, wyborem. Wśród nich LOLA – Ladies of Liberty Alliance – polska frakcja międzynarodowej organizacji kobiet, wspierającej potencjalne liderki, do której wprowadziła ją przyjaciółka z dzieciństwa.

Z Konradem poznali się przez internet. Szybko się okazało, że znajduje przy nim to, czego zawsze szukała: oparcie, stabilność, pogodę. Spotykając się przez ponad rok, zdążyli razem zwiedzić kawałek Europy i zrobić wspólne plany na przyszłość. Na kilka dni przed przyjazdem do Poznania zaręczyli się.

Poznań miał być dla rozrywki, odprężenia. To prawie że rodzinne strony Julii, z rodzinnego miasteczka dojeżdża się tam pociągami w kilkanaście minut. Pojechali do muzeum Enigmy, a Konrad wrzucił na swój profil relację. Potem poszli na kawę, spacer. Nie wiedzieli, że morderca już ich szuka na Świętym Marcynie. Wziął z domu ten najnowszy pistolet, glocka, który dokupił po tym, jak policja zwróciła mu broń.

Gdy ich znalazł, strzelił Konradowi w twarz. Potem patrzył, jak dziewczyna krzyczy, miota się i płacze. Jak próbuje ratować narzeczonego. Jak pierścionek na jej palcu chowa się pod warstwę krwi. Zawołał ją. Nie wiedziała, czego chce jeszcze. Zdjął czapkę. Strzelił sobie w skroń i upadł.

Ktoś wezwał policję, pogotowie. Nim zagrodzono wszystko niebieskim płotkiem, było już wiadomo, że ofiara nie żyje. Morderca został przewieziony do szpitala. Tam zmarł.

Dziewczynę zabrano jeszcze na policję. Płakała, składając zeznania. Kazali jej odpocząć. Wziąć leki. Ale w takiej chwili cisza jest chyba najgorsza. Już w domu, w Łodzi, żeby zrobić cokolwiek, usiadła do komputera.

Informacje o strzelaniu, które wrzucono do mediów, początkowo były lakoniczne – że w centrum Poznania, dwa trupy i dziewczyna, ale na portalach społecznościowych już pojawiały się szczegóły. Najpierw post radnego podpoznańskiej miejscowości, pełen niedowierzania, bo przecież znał obu – i mordercę, i ofiarę – i lubił. Trochę ich wspólnej historii. Potem posty organizacji społecznych, z którymi współpracował Konrad – najbardziej pozytywny człowiek świata. Oświadczenie policji – że morderca niestety posiadał broń legalnie, bo jako prawnik skutecznie odwołał się od jej konfiskaty i nic nie można było zrobić.

A na forach już krążyło nagranie z zabójstwa. Ktoś, czyje okna wychodziły na Świętego Marcina, wyjął telefon, gdy rozległ się pierwszy strzał, i podzielił się ze znajomymi, ktoś inny wrzucił to do sieci. Widać całą trójkę: strzelający mężczyzna w czerwonym T-shircie, bezradna dziewczyna w białych spodniach, biegająca wokół ciała narzeczonego, na przemian to klękająca przy nim, to podnosząca umazane krwią ręce w górę, w bezradnym geście, i leżący na chodniku Konrad. Film wyświetlał się już na Twitterze, Instagramie, Facebooku, TikToku.

Komentarze skręciły w stronę polityczną. Ktoś wysledził polityczne historie zabitego i mordercy; ktoś inny wyciągnął z sieci nakładkę facebookową drugiego z nich z Trzaskowskim. „Korwinista zabił” zaczęto zamieniać na „Koalicjant zabił”. Wątek rozgrzał trochę emocji i zgasł. Do sieci wlewało się coraz więcej szczegółów z życia zabitego i zabójcy. ▶

► A niebawem wpadły do niej również nazwiska całej trójki. Zagraniczne media coraz liczniej podchwytowały temat, ale nie kryły bohaterów zdarzenia za inicjałami. Imienniczka Julii o tym samym nazwisku na swoim Facebooku wywiesiła anons, żeby już dać jej spokój, bo w kilka godzin dostała od obcych, ciekawskich ludzi kilkaset zaproszeń do znajomych. Poprosiła też, żeby już nie zalewać jej pomjami.

Ta właściwa Julia skasowała tymczasem profil Konrada i zamknęła swój. Rodzina, przyjaciele, zabronili jej otwierać laptop. Ale tylko tam, za szklanym ekranem, były jeszcze ślady ich wspólnego życia. Zdjęcia pełne czułości, objęcia. Natrafiła zaraz na film z miejsca zabójstwa. Zaczęła czytać komentarze.

Stopniowo hejt, gniew, zaczęła obracać się przeciw niej.

Kadry z filmu wrzuconego do sieci zamieniały się w memy. Dziewczyna w białych spodniach, z rękami bezradnie uniesionymi ponad głowę w geście rozpaczony, i podpis: „Kiedy dwa najbliższe bankomaty w okolicy się popsują”. I dziesiątki podobnych. Komentarze, że „trzeba było nie dawać na prawo i prawo”. Albo prościej – że to ona powinna była zginąć. Nie warto było tego czytać. Wszyscy wokół niej odradzali. Ale można wyłączyć prąd, wygasic ekran, ale jak wygasic nagle całe życie?

Powinna była zginąć zamiast nich – lekko rzucane hasło odbijało się w jej głowie jak lejtmotyw. Typowa myśl ocalańca. Brzemie, które dźwiga się latami. Nawet jeśli jest irracjonalne. Julia jest w proszku, w rozsypce – mówili tymczasem jej przyjaciele. Jest z nią kontakt, ale na poziomie słów. Bo na głębszym poziomie – jakby nie było. Przegląda dawne zdjęcia. Jeszcze nie uwierzyła.

Gdy odpowiadała – lub nie – na wyłuskane z zalewu hejtu wiadomości, przyjaciele założyli w sieci zbiórkę na pomoc psychologiczną. Nikt nie uniesie takiego doświadczenia w pojedynkę; śmierci, niedowierzania, odtwarzania swojej historii w internecie. Odpowiedz na szczęście był duży. Ludzie już znali sprawę – z sieci – współczuli ocalałej dziewczynie. W jeden dzień zebrało się 50 tys. zł.

Na pierwszą pomoc i leczenie psychiatryczne – napisali przyjaciele Julii. Ale nie ma lepszej pożywki dla nowej fali hejtu niż pieniądze. „Dla niej? A dlaczego nie na pomnik dla zabitego chłopaka?”, „Ma wszystko gdzieś, ma ich obu gdzieś, przecież widać. Tę kasę przehuła na Malediwach”. Albo dla kontrastu printscreeny zbiórek na leczenie chorych dzieci. I jeszcze więcej memów. Koło raz jeszcze zaczęło się rozpędzać.

To prawda, nie powinna otwierać komputera. Ale tam jest i nieważność, i pomoc. Relacje od dziewczyn prowadzących zbiórkę, słowa wsparcia od wspólnych – jej i Konrada – znajomych, i dowody na to, że dawne szczęśliwe życie jej się nie przysniło. Tak oddzielić jedno od drugiego?

Najbardziej ją boli, gdy czyta, że mordercy chodziło o miłość – obsesyjną, zawiedzioną. Miłość do niej. To jej miłość została zabita, ale mordercy nie chodziło o nią. Została przypadkową ofiarą. Ukaraną za cudze sprawy, pociągniętą do odpowiedzialności za zranienia, których źródła pewnie nigdy nie odkryje. Dla mordercy nie była żadną obsesją – jak chętnie tłumaczą media. Pewnie nigdy nikt nie odkryje prawdziwych źródeł tego dramatu.

Za to teraz strzelają do niej tysiące internetowych hejterów. Raz jeszcze staje się przypadkową ofiarą. Bohaterką okrutnych komentarzy i zjadliwych memów. Znow ktoś obsesyjnie przeszukuje jej Facebook.

Przyjaciele przekonują, że fala z czasem minie. Film odtworzy się setki, może tysiące razy, po czym znudzi się, zejdzie z afisza. Wtedy ona będzie mogła w spokoju otworzyć się. Raz jeszcze odnaleźć dowody na to, że jej dawne, piękne życie istniało.

MARTYNA BUNDA

W sklepie za maliny płacimy kilka razy więcej, niż rolnicy dostają w skupie, więc rząd podejrzewa zмовę cenową zagranicznych koncernów. Do jej wytropienia wysłał już CBA, UOKiK i wszystkie inne możliwe służby. A plantatorzy uważają, że to rząd ich wyprowadził w pole.

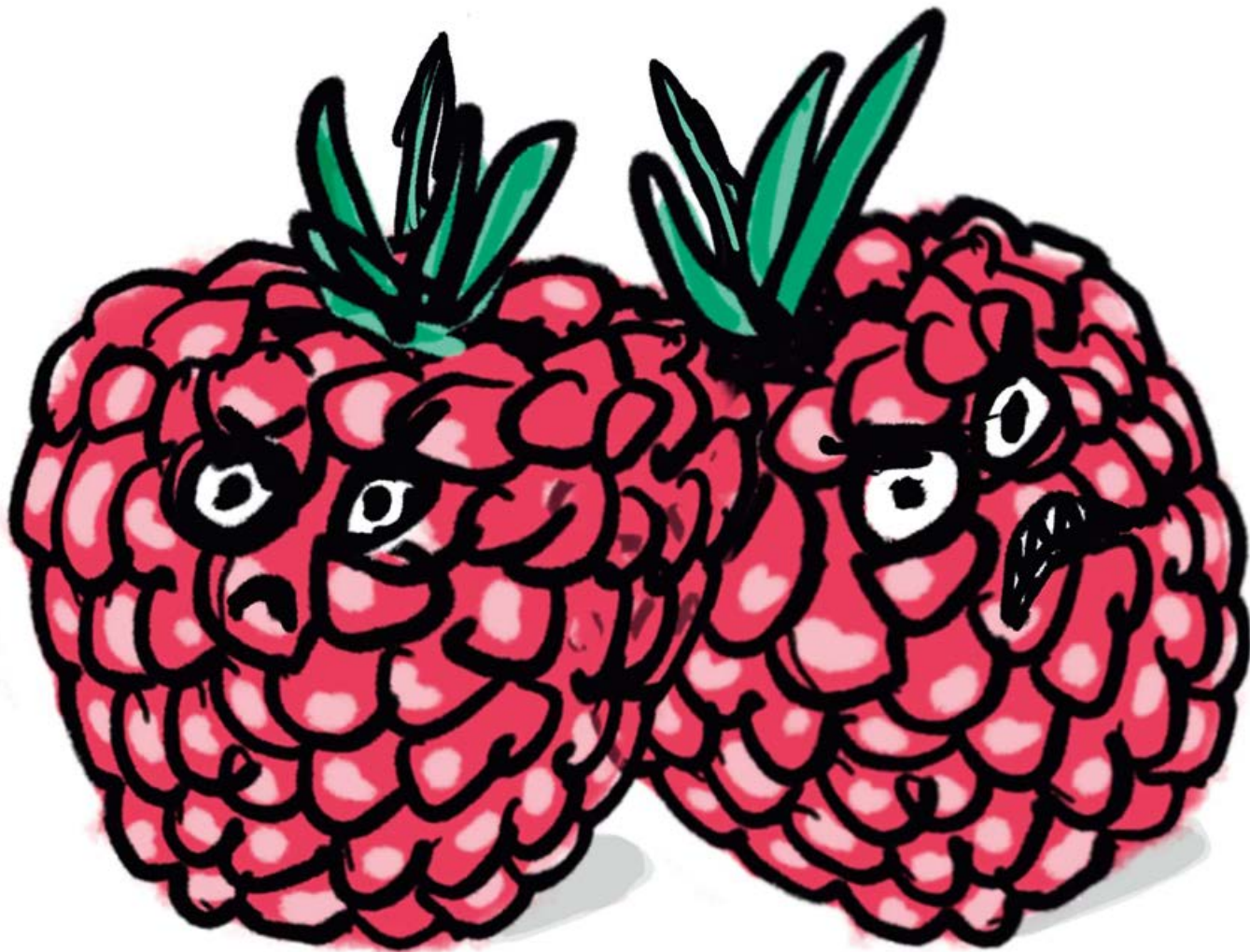
Wpuszczeni w maliny

JOANNA SOLSKA

Protesty wściekłych na niskie ceny producentów malin są najgorętsze w okolicach Kraśnika i Opolu Lubelskiego. To nasze malinowe zagłębie. Jarosław Kaczyński na Jasnej Górze obiecał protestującym, że osobiście dopilnuje sprawy i problem zostanie rozwiązany. Skupem malin zajęło się więc Ministerstwo Rolnictwa. Jego szef Robert Telus zapewniał, że wytypowane punkty skupu zapłacą rolnikom więcej niż prywatne firmy. Zagraniczne koncerny, którym poprzednie rządy sprzedały nasz przemysł spożywczy, zostaną zaś ukarane za zмовę cenową i wykorzystywanie przewagi kontraktowej. Nic z tego nie wyszło.

Po ogłoszeniu rządowego skupu owoce na rynku nie tylko staniały, ale też coraz trudniej je sprzedać. Kiedy jednak Michał Kołodziejczak, lider AgroUnii, zapytał Rafała Romanowskiego, organizatora rządowego skupu, gdzie prosty chłop może znaleźć punkty, które płacą więcej, wiceminister stwierdził, że nie jest upoważniony do udzielania takich informacji. Więc AgroUnia przywiozła owoce do Warszawy i pod gmachem Ministerstwa Rolnictwa rozłożyła stragany. Ot, taki Targ Wkurzonych. Sprzedają wszystko po 10 zł za kilogram, jak leci: maliny, porzeczki, wiśnie. Ustawiają się kolejki, bo owoce są nie tylko sporo tańsze niż w sklepach, ale także dużo świeższe. Widać, że zrywane niedawno. Więc skąd te wysokie ceny w sklepach? Zmowa?

Bartosz Urbaniak, szef Bankowości Agro w banku BNP Paribas, już raz zмовę cenową w malinach tropił, w czasie pierwszego rządu PiS. Wspólnie z ówczesnym, mianowanym przez tę partię prezesem Urzędu Ochrony Konsumentów i Konkurencji. Po dokładnych analizach doszli jednak do wniosku, że zмова nie ma. Zauważyli natomiast, że wielkie sieci handlowe



ILUSTRACJA PATRYK SROCYŃSKI

w naszym kraju mają marną logistykę i nie są w stanie dostarczyć malin do sklepów w 24 godziny po zerwaniu. Maliny są na upływ czasu wrażliwe, nie mogą leżeć. Im więcej go upłynie, tym więcej owoców trzeba wyrzucić. Dlatego marże u nas są dwa razy wyższe niż w Belgii czy Holandii, a ceny detaliczne dużo wyższe od tych, które otrzymują plantatorzy. Gorycz rolników jest więc uzasadniona, ale o zмовie mowy nie ma.

Kupują od swoich

Sołtyśka Irena Kręcisz, właścicielka plantacji w Starej Chruslinie koło Opol Lubelskiego, stara się panować nad nerwami, co jednak nie zawsze się udaje. Znalazła w okolicy rządowe skup, ale w żadnym nie zdołała sprzedać malin. – *Płacę wprawdzie nieco więcej, ale biorą owoce tylko od swoich dostawców. Tłumaczą, że mogą skupić tylko tyle, ile związane z nimi zakłady przetwórcze są w stanie przerobić* – mówi. Więc Irena Kręcisz pytała, dlaczego rząd wytypował do państwowego skupu tylko takich, którzy mogą przerobić mało, eliminując sprawne i lepiej płacące firmy z dużym doświadczeniem, jak choćby spółka Real SA?

Na drugi dzień do drzwi tej dużej rodzinnej firmy z polskim kapitałem zapukały aż cztery kontrole. – *Z urzędu skarbowego, UOKiK, sanepidu oraz Inspekcji Jakości Handlowej Artykułów Rolno-Spożywczych* – przyznaje prezes i właściciel Andrzej Gajowniczek. Spodziewać się należy także CBA. Przepisy mówią, że w tym samym czasie przedsiębiorstwo może kontrolować tylko jedna inspekcja, żeby nie paraliżować pracy. Zmowa cenowa to jednak zarzut poważny, przepisy są nieważne.

W malinowym zagłębiu, czyli w powiatach krańcickim i opolskim, owoce skupuje Owocmix, niewielka firma, która nie ma w branży poważniejszego znaczenia. Z małymi możliwościami

zamrożenia owoców. Nie zna jej nawet prezes Krajowego Stowarzyszenia Przetwórców Owoców i Warzyw. Zastanawia się więc, co mała firma zrobi ze skupionymi drożej owocami, jeśli nie będzie w stanie ich zamrozić? Ani potem sprzedać, bo kto kupi drożej, jeśli może taniej? Owocmix ma jednak dobre kontakty z partią rządzącą, jej właściciel jest lokalnym działaczem PiS i najwyraźniej martwić się nie musi. Rolnicy są pewni, że Owocmixowi rząd straty wyrówna. Ale co będzie z nimi?

Krzysztof Cybulak, wiceprezes Związku Sadowników RP, bierze udział we wszystkich protestach rolników i słyszał, że dwie małe firmy, w tym Owocmix, wybrane przez ministra według tajemniczych kryteriów, mają skupować maliny dla dwóch spółek Skarbu Państwa. Żeby to nie budżet wprost płacił za droższe owoce. Oficjalnie jednak nie mógł się dowiedzieć, których spółek.

Dorota Niedziela z sejmowej komisji rolnictwa twierdzi, że chodzi m.in. o spółkę Inwestycje, którą niedawno za 200 mln zł zakupił państwowy Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa. Od wiceministra Romanowskiego usłyszała jednak, że zatrudnia ona tylko osiem osób, więc sama skupu nie ogarnie. Za co albo może na co KOWR przekazał te 200 mln? Do czyjej kieszeni trafią te pieniądze? Spółka Inwestycje musi zatrudnić koordynatora, który do współpracy dobierze sobie partnerów z rynku. Przybywa więc pośredników, a każdy z nich na rządowym skupie spodziewa się nieźle zarobić.

Biznes rządowy

Protestujący plantatorzy pytają, co robi Krajowa Grupa Spożywcza (KGS), państwowy holding, niedawno wyposażony przez rząd w 850 mln zł? Przecież PiS zapewniał, że powołuje państwowego molocha właśnie po to, by interweniował ►

► na rynku rolnym, gdy ceny będą niższe od kosztów produkcji. Ale tak, żeby konsumenci w sklepach nie płacili więcej. KGS podlega ministrowi Sasinowi, który najwyraźniej od interwencji w malinach woli trzymać się z daleka. Twarzą rządowego skupu malin jest minister rolnictwa Robert Telus.

Według Cybulaka wygląda to na celowe zacieranie śladów. Rząd chce udawać przed Unią, że nie prowadzi skupu interwencyjnego malin, bo poszczególni członkowie UE nie mogą tego robić na własną rękę, to zakłóca wewnątrzunijną konkurencję. Zatem rządowy skup ma wyglądać na akcję czysto biznesową. Po prostu część punktów skupu postanowiła za owoce płacić więcej niż inne. Kto biznesowi zabroni?

Obecnie sytuacja w biznesie malinowym wygląda tak: gdy rząd ogłosił skup, cena w Owocmixie wynosiła 5–5,30 zł, a rynkowa 4–4,50 zł. Mazowiecki Ośrodek Doradztwa Rolniczego wyliczył, że koszty produkcji 1 kg wynoszą obecnie ok. 7 zł. Malin nie opłaca się więc z krzaka zrywać, stąd protesty. Zdaniem lidera AgroUnii co najmniej tyle powinni dostawać rolnicy. Po kilku dniach funkcjonowania państwowego skupu Kołodziejczak nie ma wątpliwości, że rząd kolejny raz pokazał swoją słabość, to jego wina, że ceny skupu zamiast wzrosnąć – jak obiecywał Telus – ciągle spadają. Żeby bowiem interwencja rządu naprawę mogła wpłynąć na ceny rynkowe, musiałaby mieć o wiele większy zasięg. Tymczasem rządowe skupy są w stanie zagospodarować nawet nie 10 czy 15 proc. zbiorów, ale mniej niż 5 proc.

Sami nie zjemy

W ubiegłych dwóch latach na malinach plantatorzy zarobili świetnie. Średnia cena skupu malin wynosiła aż 15 zł za kilogram, a były dni, gdy dochodziła do 20 zł. To dużo więcej, niż wynosiły w tym czasie koszty produkcji, tym bardziej że wtedy nie szalała jeszcze drożyzna. Plantatorzy są więc na huśtawkę cenową na rynku wściekli, uważają, że to przez zalew malin ukraińskich. Jeszcze bardziej wściekli są jednak na rząd, który nic z tym nie robi. Ale w polskich sklepach świeżych malin ukraińskich raczej nie znajdziemy, załatą malin mrożone.

Z tego, że w tym roku z owocami miękkimi będzie problem, rolnicy zdawali sobie sprawę już zimą. Mirosław Maliszewski, szef Sadowników RP, twierdzi, że chłodnie są pełne zamrożonych malin ukraińskich, kupionych jeszcze w ubiegłym sezonie. Bartosz Urbaniak, szef Bankowości Agro w BNP Paribas, widzi przyczynę w sporym imporcie mrożonych owoców z Afryki Północnej, skąd kilkanaście tysięcy ton malin sprowadziliśmy w grudniu ub.r. – *Są o wiele gorszej jakości niż nasze, ale były wyjątkowo tanie. Firmy je sprowadzały, żeby zrekompenzować sobie zbyt wysokie ceny malin krajowych. W nowy sezon weszliśmy ze sporymi zapasami, nie ma miejsca na tegoroczne zbiory, więc coraz więcej przetwórców nie chce kupować malin za żadną cenę. Porzeczki i wiśnie też trudno będzie sprzedać* – mówi.

Roczne zbiory malin w kraju wynoszą 105–110 tys. ton. Jesteśmy drugim po Serbii, a może nawet już pierwszym producentem malin w Europie. Polscy plantatorzy zwiększali uprawy owoców, ponieważ po naszym wejściu do Unii otworzył się dla nich wielki, europejski rynek Wspólnoty. Mieliśmy towar dobry, po bardzo konkurencyjnych cenach. Tańszy, niż mogli zaferować np. niemieccy farmerzy, którzy z malin zrezygnowali najszybciej, a potem likwidowali też plantacje truskawek. Teraz najtańszy towar mają Ukraińcy. Stąd problem. Zanim Rosja zaatakowała ten kraj, rynek Wspólnoty chronił kontyngenty.

Wojna spowodowała, że je zniesiono. To wtedy zaczęły się problemy naszych plantatorów, ale też producentów zboża. Europejski rynek, na który trafiało 80 proc. polskiego eksportu żywności, zaczął się dla nas kurczyć. Nasz rząd nie wie, jak się z tym zmierzyć. Straszy, że znów samowolnie zamknie granice, co dla polskich eksporterów żywności skończy się tragicznie. Sami tego problemu nie rozwiążemy, ale rząd z Brukselą rozmawiać nie chce. Woli się obrażać i grozić.

W obecnym sezonie zbiory są spore, ponieważ atrakcyjne ceny ubiegłych dwóch lat zachęciły plantatorów do powiększenia upraw, odmiany dają coraz wyższe plony. Takiej ilości owoców sami nie zdołamy zjeść. Według Barbary Groele, sekretarz generalnej Krajowej Unii Producentów Soków (KUPS), handel detaliczny zagospodaruje nie więcej jak 10, góra 20 proc. zbiorów krajowych. Resztę musimy zamrozić lub przerobić na pulpę i sprzedać za granicę. A tu już zderzamy się z konkurencją ukraińską.

Zacier z malin

Plantatorzy, którzy domagają się zakazu wpuszczania ukraińskich owoców do Polski, niezupełnie zdają sobie sprawę z tego, gdzie leży problem. Zamknięcie granic przed ukraińskimi owocami niewiele załatwi, magazyny już są pełne, a popyt krajowy i zagraniczny mały. Organizowanie państwowego skupu malin jest może okazją do zarobku dla zaprzyjaźnionych z partią rządzącą firm, ale problemu nadmiaru owoców oraz ich niskich cen też nie rozwiąże. Bartosz Urbaniak wręcz uważa, że skupione przez państwo owoce najprawdopodobniej się zmarnują. W 2018 r. rząd wykonał podobny manewr ze skupem jabłek. Ich przerobienie na koncentrat zlecono prywatnym firmom. Z najdroższego koncentratu Orlen zrobił potem... płyn odkażający.

Z perspektywy polskiego eksportera, jakim jest m.in. Real SA, w którym z umowy cenowej szukają aż cztery służby kontrolne, wygląda to tak. – *W ubiegłym sezonie za litr koncentratu malinowego mogłem dostać 50 euro, obecnie nawet za 11 euro ciężko go sprzedać* – twierdzi Andrzej Gajowniczek. Więc ceny skupu malin musiały gwałtownie spaść. Ubiegłoroczne wyniki z wielkich nadziei europejskich przetwórców, że konsumenci po pandemii zaczną się zdrowiej odżywiać, będą jedli więcej owoców, zwłaszcza malin. Dużo malin kupili w Europie Amerykanie i wydawało się, że eksport do USA w kolejnych latach będzie rósł błyskawicznie. Tymczasem nawet w Stanach konsumenci zbiednieli. Gdyby polscy ministrowie wiedzieli, co się dzieje w malinowym świecie, nie szczuliby wyborców na zagraniczne koncerty i nie tropiliby z umowy. Próbowałiby za pomocą pieniędzy unijnych rolnikom jednak pomóc.

Irena Kręcisz wyobraża sobie, że pomoc państwa na rynku owoców miękkich można było poprowadzić prosto. Skupem po cenach rynkowych zajmować się powinny te same wyspecjalizowane firmy, które robiły to do tej pory. Tylko one są w stanie zagospodarować owoce najszybciej. Rząd zaś plantatorom do każdego sprzedanego kilograma powinien dopłacić. Taka pomoc byłaby też zgodna z zasadami unijnymi, sfinansować można by ją było ze środków unijnych. Ale rząd zrobił po swojemu, bo idą wybory i narastającą złość rolników trzeba stłumić natychmiast. Oraz dać zarobić swoim, bo okazja może się nie powtórzyć.

Więc na pytanie, co zrobić z malin z rządowego skupu, żeby się nie zmarnowały, analitycy rynku żywności odpowiadają: zacier.

JOANNA SOLSKA

POSZERZAMY HORYZONTY



Naukowe miesięczniki **POLITYKI**



Sierpniowe numery już w kioskach i na sklep.polityka.pl

Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projektspulsar.pl



Duch gaśnie

Przedsiębiorczość przez lata wyróżniała polskie społeczeństwo i gospodarkę. Ten silnik rozwoju jednak się zaciera. Dziś Polacy wolą iść na etat niż „na swoje”. Co się z nami stało?

EDWIN BENDYK

Dynamika wzrostu gospodarczego w Polsce pozwala snuć fantazje, że już w najbliższych latach nasz kraj nie tylko dogoni, ale i przegoni najbardziej dziś rozwinięte kraje. Ba, jak mówił prezes Kaczyński w Bogatyni, już nawet Niemcy mają powody do obaw przed naszą gospodarką, tylko patrzeć, kiedy to oni będą przyjeżdżać do Polski zbierać szparagi i zatrudniać się na budowach.

Źródłem dumy podkreślanym przez wielu ekonomistów jest polski eksport. W 2022 r. sprzedaliśmy za granicę towary i usługi wartości 404 mld euro, co dawało 61,5 proc. PKB. Co ważniejsze, bilans eksportu i importu był dodatni. W 1992 r. uważaliśmy za sukces, gdy udało się zarobić na eksporcie 13,2 mld dol. Ciesząc się z aktualnych wyników, warto jednak przyjrzeć się szczegółom.

Ekonomiści z firmy konsultingowej EY postanowili sprawdzić, co ma największy wpływ na wzrost polskiego PKB: konsumpcja, czyli silnik wewnętrzny, czy też eksport, czyli popyt zewnętrzny. Okazało się, że w latach 2009–19 wzrost eksportu odpowiadał za blisko dwie trzecie wzrostu polskiego PKB. Innymi słowy siła naszej gospodarki jest też oznaką jej słabości, bo oznacza jej uzależnienie od koniunktury zewnętrznej, zwłaszcza w Niemczech. Bo przypomnijmy: największym odbiorcą polskiego eksportu są Niemcy – 27,8 proc., dalej Czechy – 6,6 proc., dopiero potem Francja i inni.

Jeszcze mniej radosny obraz ujawnia struktura eksportu, bo pokazuje, że polskie firmy obsługują głównie łańcuchy produkcji zarządzane przez kapitał zewnętrzny; nam pozostaje rola podwykonawcy. Tę smutną rzeczywistość Polski jako montowni ilustrują dane z najszybciej rozwijających się sektorów, jak produkcja akumulatorów i elektroniki, gdzie wzrost wartości dodanej, czyli rzeczywistego wkładu polskich firm, jest mniejszy niż wzrost produkcji.

Ujawnia to strukturalne zacofanie polskiej gospodarki, bo oznacza konieczność importowania komponentów, których u nas nie wytwarzamy oryginalnie. Nie wytwarzamy, bo pod względem innowacyjności polska gospodarka jest niezmiennie na szarym końcu europejskich rankingów.

ILUSTRACJA OBYWATEL JANEK



W 2020 r. wydaliśmy w Polsce 120,7 euro na badania i rozwój w przeliczeniu na jednego mieszkańca, gdy średnia dla Unii Europejskiej osiągała 457,9 euro. Jeśli chodzi o przemysł, to najbardziej aktywny pod względem wydatków na innowacje w latach 2018–20 okazał się sektor węgla kamiennego i brunatnego, produkcji koksu i rafinacji ropy naftowej, dopiero potem farmaceutyczny (za raportem Polskiej Agencji Przedsiębiorczości). Warto dodać, że sprzedaż produktów innowacyjnych, czyli będących wynikiem wdrożenia oryginalnego rozwiązania, przyniosła zaledwie 4,6 proc. ogólnych przychodów firmom działającym w przemyśle.

Dalej nie jest lepiej. W eksporcie produktów uczestniczy w Polsce zaledwie 4,3 proc. firm, usług tylko 0,9 proc. Dla porównania w Niemczech eksportuje 34 proc. firm. Ekspert w Polsce to domena przedsiębiorstw największych, niemal obca małym i średnim przedsiębiorstwom. A to słynne MŚP, zwane także misiami, są solą gospodarki.

Edmund Phelps, ekonomiczny noblista, pisał, że istotą rzeczywistości gospodarczej nie są statystyki, tylko duch przedsiębiorczości, który wymaga ludzi gotowych do podejmowania ryzyka i zakładania firm, społeczeństwa otwartego na taką aktywność i instytucji tworzących odpowiednie warunki dla efektywnego funkcjonowania przedsiębiorców.

Polska po 1989 r. wydawała się wręcz ojczyzną przedsiębiorczości, zwłaszcza na tle innych pokomunistycznych społeczeństw. Jeśli spojrzeć na statystyki, to ciągle można mieć wrażenie, że niewiele się zmieniło. Liczba firm systematycznie rośnie. W 2009 r. było ich 1 mln 674 tys., a w roku 2020 już 2 mln 262 tys. Nastroje popsują pandemia, ale też okazuje się, że polski sektor małych i średnich przedsiębiorstw (MŚP) poradził sobie najlepiej w Unii, nie odnotowując praktycznie zmniejszenia wytworzonej wartości dodanej. Mimo dramatycznych doniesień o bankrutujących restauracjach i firmach turystycznych sektor MŚP jako całość wykazał się niezwykłą odpornością. Po części dzięki podaży łatwego pieniądza z programów pomocowych rządu, po części dzięki dojrzałości firm.

Statystyki pokazują, że w Polsce najtrudniej przetrwać pierwszy rok w biznesie, próbę przechodzi 67 proc. Kto przejdzie ten próg, potem staje się coraz mocniejszy. A tak się składa, że Polska

wyróżnia się jednym z najwyższych odsetków firm dojrzałych, działających na rynku ponad 3,5 roku. Co ważniejsze, zmalała niemal do zera różnica między przedsiębiorczością Polek i Polaków (zazwyczaj bardziej skłonni do zakładania firm są mężczyźni).

Nie wszystkie dane ze statystyk należy przyjmować z entuzjazmem. Bo istotną częścią polskiej przedsiębiorczości jest zjawisko samozatrudnienia – zgodnie z „Raportem o stanie sektora małych i średnich przedsiębiorstw w Polsce 2022” opublikowanym przez PAR, w IV kwartale 2021 r. liczba samozatrudnionych osiągnęła 1,4 mln. Ilu z nich to przedsiębiorcy z konieczności, zmuszeni do zgłoszenia działalności gospodarczej przez pracodawcę szukającego oszczędności w redukcji etatów? Ilu w jednoosobowej działalności gospodarczej widzi sposób na optymalizację podatkową? A ilu to rzeczywiście ludzie szukający spełnienia przez pracę „na swoim”?

Dla oceny kondycji przedsiębiorczości ważniejsza jest jednak inna proporcja – między liczbą zakładanych mikroprzedsiębiorstw (czyli zatrudniających do 9 osób) a małymi (10–49 pracowników) i średnimi (50–249 pracowników) przedsiębiorstwami. Okazuje się, że o ile liczba mikrofirm od 2013 r. dynamicznie rośnie, o tyle liczba nowych małych firm spada: z 59,2 tys. w 2014 r. do 49,5 tys. aktywnych w 2020 r.

Jeszcze bardziej niepokojące trendy ujawnia raport Global Entrepreneurship Monitor 2022/23 (GEM) ankietujący z rozbudowanych badań ankietowych oraz wywiadów z ekspertami. Polska uczestniczy w tym programie od 2011 r. I wtedy na pytanie o gotowość do założenia firmy aż 23 proc. ankietowanych deklarowało, że uczyni to w ciągu najbliższych trzech lat. Podobny odsetek utrzymywał się do 2016 r., by w kolejnym spaść do 10 proc. i maleć w kolejnych latach aż do poziomu 2,5 proc. w 2022 r. To najgorsza wartość dla 49 badanych państw, średnia europejska to 13 proc.

Niepokojących jest także wiele innych wskaźników badania GEM. Deklaracja wykorzystania technologii cyfrowych do sprzedaży usług i produktów daje nam 46. miejsce (65 proc. ankietowanych twierdzi, że nie potrzebuje technologii cyfrowych w swojej aktywności biznesowej). Jeszcze gorzej, bo znowu ostatnie miejsce dają deklaracje chęci zatrudnienia sześcioro lub więcej pracowników w ciągu pięciu lat.

Najwyraźniej sektor MŚP w Polsce starzeje się równie szybko jak polskie społeczeństwo. Jednocześnie jednak gdzieś zniknął duch polskiej przedsiębiorczości. Z badań GEM nie wynika, żeby gwałtownie pogorszyły się formalne warunki do prowadzenia działalności gospodarczej. Pod względem oceny łatwości założenia biznesu Polska zajmuje 5. miejsce, pod względem oceny szans na powodzenie miejsce 9., gorzej oceniamy swoje umiejętności biznesowe (40. miejsce). Co się stało?

Istotną część odpowiedzi dostarcza porównanie tempa wzrostu wynagrodzeń w różnych segmentach gospodarki. Średnie wynagrodzenie w mikroprzedsiębiorstwach wzrosło z 2437 zł w 2015 r. do 3533 zł w 2020 r. W tym samym czasie pensja w firmie zatrudniającej powyżej 250 osób wzrosła z 4832 zł do 6309 zł. Cóż, przedsiębiorczość w Polsce nie jest najlepszą receptą nie tylko na fortunę, ale nawet na przyzwoite życie. A rynek pracy się zmienił i coraz łatwiej o etat.

Pytanie o polską przedsiębiorczość, a raczej jej zanik podjęli politycy opozycji podczas konwencji Nowoczesnej, zwracając uwagę, że załamanie nastąpiło w okresie rządów PiS. Pod hashtakiem #piszabija w mediach społecznościowych rozgorzała dyskusja o tym, jak to PiS niszczy polską przedsiębiorczość. Wśród argumentów pojawiły się rosnące i niestabilne podatki, rosnące koszty prowadzenia biznesu z ZUS na czele, horrendalne ceny energii, klientelizm decydujący nie tylko o zleceniach państwowych, ale także ze strony spółek kontrolowanych przez państwo.

Niestety załamuje się nie tylko mit polskiej przedsiębiorczości, ale także otwartości. Badanie Eurobarometru sprawdzające stosunek społeczeństw państw UE do nauki i nowych technologii przeprowadzone w 2021 r. pokazało, że tylko 14 proc. Polek i Polaków interesuje się odkryciami naukowymi i rozwojem nowych technologii. Średnia UE to 33 proc.

Innowacyjność, rozwój nowych technologii, przedsiębiorczość, dobrze wykształcone i liczne kadry to podstawy konkurencyjności gospodarek we współczesnym świecie, a tym samym dalszego rozwoju i możliwości doganiania czołówki peletonu. Niestety, dziś żaden z tych czynników polskiej gospodarce nie pomaga. Przeciwnie, wbrew oficjalnej propagandzie, na wszystkich polach zaczynamy tracić dystans. ■



Noc muzeów

Rozmowa z Małgorzatą Ławrowską-von o tym, dlaczego Rosjanie je niszczą. I po co

PAWEŁ RESZKA: – **Kradną?**

MAŁGORZATA ŁAWROWSKA-VON THADDEN: – Kradną. Rosjanie z muzeów na terenach okupowanych wywożą wszystko, co cenne. To, co ważne dla kultury ukraińskiej, czasami nie jest rabowane, tylko niszczone na miejscu. To celowe działania obliczone na unicestwienie narodu i jego kultury.

Mówi pani o rabunku zorganizowanym odgórnie?

Owszem. Gdy Chersoń był pod okupacją, przed budynek Muzeum Sztuki zajęchały nieoznakowane ciężarówki. Kolekcję ładowano pod nadzorem kilkunastu uzbrojonych mężczyzn w cywilu. Operacja trwała kilka dni. Tak skradziono jedną z najcenniejszych kolekcji w Ukrainie.

Co zostało?

Niewiele, portret Lenina na przykład. Chersońska kolekcja jest rozproszona. Niektóre eksponaty wywieźli na okupowany Krym. Inne pojawiły się podobno w Ermitażu.

Obok kradzieży zorganizowanej była też grabież zwykła, żołnierska. W jednym z muzeów cała kolekcja broni została zapakowana do prywatnych samochodów i wywieziona.

Z Muzeum Sztuki w Chersoniu ok. 10 tys. eksponatów zgrabiono w sposób zorganizowany i przewieziono do innych muzeów. 2 tys. ukradziono tak po prostu. Rozpłynęły się.

I co dalej?

Mszczą się lata zaniedbań. Wiele zabytków, nawet tych bardzo cennych, nie było w Ukrainie dobrze chronionych. Prawdę mówiąc, nie były nawet porządnie zewidencjonowane i opisane. Najcenniejsze obiekty mogą być już za granicą.

Można je będzie odzyskać? Rozmawiałem z Anastasią Bondar, ukraińską wiceminister kultury, która mówi o konieczności szybkiej digitalizacji zbiorów. Rozumiem, że także tych zagrabionych.

Tak. Ministerstwo już zaczęło prace. W sumie do digitalizacji jest 12 mln obiektów. Ale odzyskanie tych ukradzionych nie będzie łatwe i może potrwać latami. Digitalizacja ma w tym pomóc. Do różnych instytucji, np. Interpolu, trafi spis skradzionych dzieł sztuki. Złodziejowi będzie trudniej sprzedać łup. Dlatego w ramach naszej fundacji dostarczamy muzeom komputery, drukarki. Ma to ułatwić katalogowanie.

Niektórych muzeów już nie ma. Albo muzealnicy musieli je porzucić i uciekać. Co oni robią bez muzeów?

Obserwuję z dystansu, co się dzieje z ich placówkami. Szukają eksponatów w sieci, w mediach społecznościowych. Sprawdzają, czy ktoś chce je sprzedać, czy gdzieś nie wypływają. Oprócz tego tworzą nowe kolekcje, dotyczące obecnej wojny. Szukają eksponatów, świadków. Spisują relacje. Dokumentują historię, która właśnie się dzieje. Tworzą z nich tzw. wystawy wędrowne.

Rozmawiałem z pracownicą muzeum w Ługańsku. Ta placówka ewakuowała się dwa razy. Najpierw w 2015 r. z Ługańska do Starobilśka. Potem, w 2022 r., ze Starobilśka do Lwowa. Nie ocalały żadne eksponaty, zostali tylko pracownicy.

Mówię czasem o tych muzeach, że są „umowne”. Pracownicy porzuceni – ktoś we Lwowie, ktoś w Odessie. Mimo wszystko trzymają się razem. Spotykają w sieci. Próbuje działać. To ludzie, którzy potracili nie tylko swoje muzea, ale domy, dorobek życia, a nierzadko i bliskie im osoby. Gdy zaprosiliśmy przedstawicieli ponad 40 muzeów na konferencję do Warszawy, niektórzy dzwonili do nas z pytaniem, jak powinni się ubrać: „Przepraszam, ale nie mam jakichś supereleganckich rzeczy”. Z domu udało mi się zabrać tylko trochę podstawowej odzieży”. ▶



Thadden, której fundacja pomaga ukraińskim muzeom, ukraińskim muzealnikom pojemniki na jedzenie.

Z Obwodowego Muzeum Sztuki w Chersoniu Rosjanie ukradli prawie wszystko, zachowało się kilka rzeźb i nieliczne obrazy.



Filharmonia w Zaporozżu i pomnik kompozytora Michaiła Glinki, obłożony workami z piachem, żeby chronić go w czasie nalotów.



Po tym jak Rosjanie zbombardowali Narodowe Muzeum Hryhorija Skoworody we wsi Skoworodyniwka, pracownicy przenoszą uratowany pomnik tego ukraińskiego filozofa i poety.

► **Przyjechali do Warszawy wieczorem, wymęczeni wielogodzinną podróżą autobusem. I zaraz poszli na spacer nad Wisłę.**

Bo nie ma godziny policyjnej. Nie trzeba bać się nalotów. Można normalnie chodzić, bez strachu. Byli zachwyceni, że do kolacji można wypić lampkę wina: „Wino! W Ukrainie nie piję. Mam małe dzieci. Muszę być czujna. Jak zaczną wyć syreny, to biegniemy do schronu”. W zimie dostarczaliśmy im piecyki, ciepłe ubrania i komputery, dzięki którym mogą pracować i czuć się częścią ich „umownego” muzeum. Ale na pewno będzie im też potrzebna pomoc psychologiczna – przeżyli ogromną traumę.

Mówią o tym?

Mówią: „Możemy zbierać eksponaty dotyczące najnowszej odsłony wojny, świadectwa, relacje. Możemy to pokazywać. Ale nie chcemy analizować. Muszą to zrobić inni naukowcy. W nas jest za dużo emocji”. Proszą też o organizowanie warsztatów. Chcą się nauczyć, jak pracować ze strauumatyzowaną publicznością. I jak radzić sobie z własnymi traumami.

Muzeum regionalne w Rubiżnem w obwodzie ługańskim – dziś pod rosyjską okupacją – nie miało jakichś superzabytków, ale chyba dla miejscowych było ważnym miejscem. Centrum kulturalnym, wokół którego sporo się działo.

Tam było muzeum jeszcze w czasach ZSRR. Państwowe, utrzymywane przez obecny w mieście zakład przemysłowy. Upadł komunizm, zbankrutował kombinat, zamknięto muzeum. Ale w 2006 r. w mieście znów powstało muzeum – inne, bo regionalne. W jakimś sensie należało do mieszkańców, bo opowiadało ich

historię. W czasie pokoju nie zwracało się wielkiej uwagi na takie miejsca. Tak samo jest przecież w Polsce.

Jest miasto, to i miejskie muzeum. Normalka, idziemy dalej, proszę wycieczki...

Właśnie. Ot, taki miejscowy folklor. Tymczasem wojna pokazała, że małe muzea są bardzo ważne. Stroje ludowe, zdjęcia górników z początku XX w., historia jakiejś rodziny. Eksponaty, które mówią: „to jest nasze miasto, nasza ziemia”. Gdy zaczęła się wojna, te małe, często prywatne muzea miały najgorzej. Duże mogły przynajmniej liczyć na jakąś pomoc od władz centralnych. Dlatego chcemy pomóc tym małym. Ostatnio nawiązaliśmy kontakt z miejskim muzeum w Nowomoskowsku pod Dnipro. Okazało się, że od początku wojny w ramach pomocy dostali dwa kanistry na benzynę. Prosilili o kulki absorbujące wilgoć, chcieli je rozkładać w gablotach, żeby chronić zbiory.

Podobno ktoś was prosił o pojemniki na żywność.

Muzeum w Basztanki koło Mikołajowa: „Poślijcie tyle plastikowych pojemników, ile dacie radę”. Okazało się, że miasto jest pod ciągłym ostrzałem, a oni zdecydowali, że zakopią eksponaty – głównie zdjęcia i dokumenty. Uznali, że w takich pojemnikach zbiory przetrwają. Ale większe placówki też mają kłopoty. Muzeum Narodowe we Lwowie ma 11 budynków. W zimie dostarczyliśmy im trzy generatory. Sytuacja tam była dramatyczna. Dzwonili do nas z informacją, że pękają stare, liczące kilkaset lat ikony.

Mówiła pani, że Rosjanie chcą wymazywać ukraińskość.

Jeden z ukraińskich muzealników opowiadał o bibliotece w mieście pod rosyjską okupacją. Książki były podzielone na dwie



Małgorzata Ławrowska-von Thadden

– historyczka, założycielka i szefowa fundacji Obmin. Wcześniej pracowała w zarządzie Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej i Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie.

Fundacja Obmin współpracuje z kilkudziesięcioma ukraińskimi muzeami, w tym

z placówkami ewakuowanymi z terenów okupowanych przez Rosjan. Pomaga muzeom i ich pracownikom w modernizacji i rozpowszechnianiu kultury ukraińskiej w świecie. Współpracuje z instytucjami kultury za granicą i dostarcza najpotrzebniejszy sprzęt: generatory, komputery, skanery. Na lipcową konferencję, zorganizowaną w Warszawie przez Fundację Obmin, przyjechali przedstawiciele 43 placówek muzealnych z Ukrainy.

części. Te w języku rosyjskim miały wrócić na półki. Te w ukraińskim miały być spalone.

Muzea, galerie, obiekty kultury były bombardowane, płonęły. Na Charkowszczyźnie podobno zniszczony lub uszkodzony jest co trzeci budynek muzealny.

Skala zniszczeń jest ogromna. Symboliczne było zbombardowanie 25 lutego 2022 r. Muzeum Historyczno-Krajoznawczego w małym Iwańkowie niedaleko Kijowa. Dlaczego akurat Iwańkowo? W muzeum znajdowały się prace Marii Prymaczenko, jednej z najbardziej znanych malarek, niezwykle ważnej dla Ukrainy i jej tożsamości. Spłonęło 70 proc. kolekcji.

Rosjanie, gdy zajmą jakąś miejscowość, zaczynają szukać nauczycieli, pracowników domów kultury czy muzeów.

Chcą ich zachęcić do kolaboracji. Ci, którzy odmawiają, muszą się liczyć z aresztowaniem albo nawet ze śmiercią. Rozmawialiśmy niedawno z pracownikami fundacji opiekującej się domem-muzeum malarki Poliny Rajko, który zresztą został zatopiony po zniszczeniu tamy w Nowej Kachowce. Powiedzieli nam, że ich dyrektor został porwany i najprawdopodobniej zamordowany przez Rosjan.

Jak tłumaczyć to zainteresowanie agresorów ludźmi kultury?

Szukają tych, poprzez których można prowadzić prorosyjską propagandę. Nauczyciele mogą to robić w szkołach. Do starszych będzie trafiała sztuka. Kultura i sztuka w tej wojnie stały się bronią. Ukraińcy argumentują, że kultura jest kolebką ukraińskości – jak powiedział jeden z naszych gości: klejem spajającym społeczeństwo.

Praca w muzeum może być niebezpieczna.

Pani Swietłana z Zaporozża mówi, że w miejscu, gdzie mieszka i pracuje, co kilka sekund słysząc wybuch. Narodowy Rezerwat Chortycy leży w prostej linii 50 km od Elektrowni Zaporoskiej, a pani Swietłana od razu po zakończeniu konferencji wróciła do siebie, mimo niebezpieczeństwa. Oni nie potrafią inaczej. Wydaje się, że koledzy z zachodniej Ukrainy są bardziej bezpieczni, ale też nie zawsze. Wielu z nich zgłaszało się do pomocy przy ewakuacji muzeów z miast, do których zbliżał się front. Kilku nie wróciło z tych misji.

Nie mogą po prostu wyjechać?

Ze wszystkich ludzi kultury to właśnie muzealnicy stają przed najtrudniejszym wyborem. Śpiewak, malarz, aktor mogą zawsze powiedzieć: „Nie chcę pracować dla okupantów. Wyjeżdżam. Do widzenia”. Wyjechać może również muzealnik, ale on najpierw myśli o kolekcji, o eksponatach. Żeby to jakoś zabezpieczyć, wywieźć, ukryć. A jeśli się nie uda, pojawia się problem: „Mam wyjechać i zostawić to wszystko?”.

W Chersoniu kilka osób miesiącami oszukiwało Rosjan, że w związku z remontem kolekcja została wywieziona przed ich przybyciem.

Kolekcja tymczasem była schowana w pomieszczeniach na parterze. W mistyfikacji brała udział dyrektor Alina Docenko i jej zaufani pracownicy. Udało się przez pół roku. Docenko wyjechała skrycie z miasta w maju 2022 r. Wcześniej została wezwana na przesłuchanie do rosyjskiej komendantury. Czuła, że jak tam pójdzie, to już nie wróci. Ukryła dokumenty. Wyznaczyła zadania pracownikom, którzy mieli dalej zwodzić Rosjan.

Zwodzili, ale w końcu ktoś zdradził...

Zdradził i dostarczył nawet księgę inwentarzową. Przykre, że zrobili to sami, członkowie zespołu.

Mieszczące się naprzeciw Muzeum Krajoznawcze od pierwszego dnia witało „nową władzę” kwiatami.

Wojna powoduje, że z ludzi wychodzi to, co najgorsze i co najlepsze. Jedni witali okupantów kwiatami. A inni w tym czasie przychodzili do pracy, żeby ukrywać eksponaty. Rzykowali życie.



Pomnik taczanki przed Lokalnym Muzeum w Hulajpolu, które wiosną uszkodziły rosyjskie naloty.

A potem infamię.

Tak, bo po wyzwoleniu trudno było wyjaśnić, że działali tajnie na rzecz Ukrainy, mając na to ciche przyzwolenie zwierzchników. Sąsiedzi widzieli tylko, że chodzili do pracy: „znaczy kolaborowali”. Dramatyczne historie.

Przysłuchiwałem się dyskusji gości konferencji Obminu.

Zastanawiali się, jak na nowo opowiadać Ukrainę. Ludzie rwali się do głosu.

Wiceminister Bondar apelowała na przykład: „Nie mówcie o nas jak o ofiarach, jesteśmy wojownikami”. W Ukraińcach czuć ogromną siłę, ale też widać, że mają wiele do wyrzucenia z siebie. Mówią tak, jakby chcieli wyrzyczyć wszystko to, co widzieli, przeżyli.

Usłyszałem np. pretensję do Europy, że ciągle traktuje Ukrainę jak coś, co oddzieliło się od Rosji.

Mimo wojny i pocisków lecących na głowę mają zdolność do szerszego spojrzenia, refleksji. Gratulowałam tego Bogdanowi Tychołozowi, dyrektorowi Muzeum Iwana Franka we Lwowie. A on na to: „Wiesz co, oddałbym te refleksje za to, żeby moje dzieci mogły chodzić normalnie do szkoły”. I rzeczywiście toczy się dyskusja o „opowiadaniu Ukrainy”. Na przykład koledzy zastanawiają się, jak uczynić ukraińską kulturę bardziej przystępną dla Europy. I czy nie należałoby się pożegnać z cyrylicą.

Brzmi radykalnie.

Wiem, ale przecież sporo radykalnych rzeczy się już zadziało. Ukraińcy świętują według naszego, a nie wschodniego kalendarza, Ukraiński Kościół Prawosławny (Patriarchatu Moskiewskiego) jest w defensywie, język ukraiński – w ofensywie. Mimo wojny Ukraińcy myślały o przyszłości. Rozprawiają o tym, jak ułożyć sobie pracę „w swoim muzeum” po wojnie. Co i jak będą pokazywali. To im pomaga przeżyć.

Jak można im pomóc?

Dać im przestrzeń do opowiedzenia wszystkich historii. Słuchać tego, co nam chcą przekazać. Musimy być cierpliwi, ta wojna może jeszcze potrwać. Ale nie możemy o nich zapomnieć.

ROZMAWIAŁ PAWEŁ RESZKA

JACEK POPRZECZKO

Bij słabszego

Rosyjska Duma właśnie uchwaliła zakaz zmiany płci, a wcześniej prezydent Putin podpisał ustawę o zakazie propagandy LGBT. Po co Rosji jeszcze jedna wojna?

Ludzie, których zaliczyć można do społeczności LGBT, i dotąd nie mieli w Rosji łatwego życia. Ale jakoś się żyło. „Przez całe lata osoby transpłciowe były po prostu niewidoczne dla państwa, i to tłumaczy, dlaczego nie znajdowały się pod jakąś szczególną presją” – mówi korespondentowi „Le Monde” Władimir Komow, ekspert prawny i szef organizacji Dieło LGBT. Była presja ze strony społeczeństwa i liczne objawy niechęci, ale tak stanowcza akcja ze strony organów państwowych to nowość. Co się stało, że przeciw ludziom, którzy nikomu nie szkodzą, a borykają się z licznymi kłopotami w życiu codziennym, wytacza się legislacyjne armaty?

Ustawa podpisana w grudniu zakazuje „propagandy nietradycyjnych stosunków seksualnych, pedofilii i zmiany płci”. „Nie rozgraniczono w niej precyzyjnie, co jest propagandą, a co informacją, dlatego pod pojęciem propagandy może podpaść każdy rodzaj informacji o osobach LGBT” – mówi w wywiadzie dla portalu „Nowaja Gaziet. Europe” Julia Alioszyina, prawniczka i osoba transpłciowa, planująca kandydowanie w wyborach na gubernatora w Kraju Ałtajskim. Rezultaty już widać. Z księgarń i kiosków znikają publikacje dotyczące LGBT. Ludzie z tej grupy i ci, którzy z nimi sympatyzują, poczuli na sobie ciężki, surowy wzrok państwowych organów.

Jeśli chodzi o osoby transpłciowe, dotychczas operacje korekcji płci oraz terapie hormonalne przeprowadzano po zdiagnozowaniu transseksualności przez psychiatrę, a zmianę oznaczenia płci w dokumentach – po orzeczeniu komisji składającej się z psychiatry, psychologa medycznego i seksuologa. Ustawa przyjęta przez Dumę zakazuje przeprowadzania zabiegów chirurgicznych mających na celu zmianę płci (z wyjątkiem operowania „anomalii genitalnych” u dzieci), zabrania też zmieniania oznaczenia płci w dokumentach.

Po co to wszystko? O potrzebie korekty prawa w tej akurat dziedzinie wypowiedzieli się kategorycznie w maju tego roku minister sprawiedliwości Konstantin Czujczenko i szef Komitetu Śledczego

Aleksandr Bastrykin. Użyli szczególnie silnego argumentu, związanego z wojną w Ukrainie – ich zdaniem Rosjanie próbują uzyskać zaświadczenia o zmianie płci, aby „wymigać się od mobilizacji”. Rzeczywiście liczba przypadków legalnej zmiany płci wahała się w Rosji w ostatnich latach między 200 a 400, a w 2022 r. sięgnęła prawie tysiąca. Ale argument jest niezbyt sensowny, istnieje wiele innych, nieporównanie prostszych sposobów uchylania się od służby wojskowej. Choćby wyjazd za granicę, a taką decyzję podjęły setki tysięcy młodych przeważnie ludzi.

Zatem o co chodzi naprawdę? Rosyjski Zopozycyjny polityk i publicysta Leonid Gozman pisze w portalu „Nowaja Gaziet. Europe”: „Ta władza ciągle szuka czegoś, co by się ludziom spodobało, a nie wiązało się z wydawaniem dużych pieniędzy, które lepiej przecież schować do kieszeni. A co może być lepszego niż napaść na kogoś, wobec kogo ludzie czują uprzedzenie? Ludzie LGBT nie są niebezpieczni, mało kto będzie im współczuł, za bardzo są niepodobni do większości. I władza mówi człowiekowi: widzisz, mamy wspólnych wrogów, to ci, którzy są za jednopłciowymi małżeństwami albo i w ogóle zmieniają płęć, a to znaczy, że ty i my jesteśmy jednej krwi. I nieważne, że ty żyjesz w biedzie, a my opływamy w bogactwa. Najważniejsze, że jesteśmy razem przeciw tym tam. I nie tak po prostu przeciw, ale z racji naszej wspólnej wysokiej moralności i obyczajowej wyższości”.

Zaprowadzanie z pomocą prawa porządku moralnego w kwestiach płci dobrze się komponuje z innymi sposobami zacieśniania więzów między władzą i społeczeństwem. Umacnianie tożsamości płciowej jest najwyraźniej jednym z elementów umocnienia tożsamości narodowej i państwowej. Wojna sprzyja ideowej mobilizacji i z punktu widzenia rządzących ma tę zaletę, że wywołuje „efekt gromadzenia się wokół flagi”.

Wojna wiąże się z promowaniem cnót patriotycznych, żołnierskich i męskich. Na jednym z licznych filmików



„Nasz zawód – bronić ojczyzny” – billboard

propagandowych krążących po sieci widać grupę młodych zamożnych Rosjan pakujących bagaże do samochodu. Oświadczają, że wyjeżdżają do Gruzji, na zawsze. Patrząca na to kobieta mówi: „Chłopcy wyjeżdżają, mężczyźni zostają”. Propaganda służby wojskowej jest wszechobecna, pełno jej w internecie, wszędzie można spotkać plakaty i billboardy przedstawiające dziarskich młodych mężczyzn w mundurach i hasła typu „Służba kontraktowa – wybór prawdziwych mężczyzn”, „Służba w wojsku – stabilność i pewność w życiu”. Po buncie Prigożyna zniknęły reklamy zachęcające do wstąpienia w szeregi wagnerowców, ale przedtem też było ich mnóstwo. Oto jedna z nich: „Chcesz spędzić niezapomniany czas w towarzystwie nowych przyjaciół i pożyteczności? Kompania turystyczna »Grupa Wagner« proponuje najgorętsze podróże po Europie, Afryce i Bliskim Wschodzie”.

Wojsko nadaje sens życiu, ale i po życiu. Władimir Putin na spotkaniu z matkami żołnierzy mówił do kobiety, której syn zginął pod Donieckiem: „Niektórzy żyją nieświadomie i giną przez wódkę i inne rzeczy. Potem nie wiadomo, czy żyli, czy nie żyli, czy byli, czy ich nie było. A pani syn żył. Rozumie pani? On osiągnął swój cel. Rozumie pani? W tym sensie jego życie miało znaczenie”.

Cnoty żołnierskie i narodowo-patriotyczne wpaja się w Rosji już



propagandowy w Moskwie, zachęcający „prawdziwych mężczyzn”, by wstępowali do armii.

od dziecka, teraz ze wzmożoną intensywnością. Założona w 2016 r. Junarmia, dziecięco-młodzieżowa organizacja paramilitarna, liczy już ponad milion członków. Od początku wojny przeprowadziła ponad 90 tys. „akcji patriotycznych”. To m.in. „Błyskawica”, na której dzieci uczą się szybkiego rozkładania i składania karabinu AK-47, a także zbrojne warty przy tablicach pamiątkowych czy splatania siatek maskujących.

Jak obliczyła „Nowaja Gazieta”, analizując z pomocą słów kluczowych posty w internecie, rosyjskie placówki oświatowe – przedszkola, szkoły podstawowe i średnie – przeprowadziły ok. 1,5 mln akcji wojenno-patriotycznych, takich jak konkursy pieśni, zawody w rzucie granatem czy spotkania z żołnierzami.

Od początku roku szkolnego wszystkie szkoły w kraju zorganizowały po 35 spotkań w ramach akcji „Rozmowy o tym, co ważne”. Dla każdego takiego spotkania ministerstwo oświaty przygotowuje wzorcowy film wideo, który rozpowszechnia państwowa telewizja. Występują w tych filmach ważne osobistości, m.in. minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow i zwierzchnik Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego patriarcha Cyryl. Najważniejsze tematy to patriotyzm, pamięć historyczna i tradycyjne wartości rodzinne.

Szczególne znaczenie w działaniach oświatowych i propagandowych ma nawiązywanie do czasów drugiej wojny światowej i zwycięstwa nad faszyzmem. W tegorocznym i ubiegłorocznym przemówieniu w Dniu Zwycięstwa 9 maja Władimir Putin przyrównywał działania wojskowe w Ukrainie do walki Związku Radzieckiego z nazistami. Te propagandowe hasła mają trafić w silne emocje społeczne, bo Rosjanie są autentycznie dumni z bohaterów wojny ojczyźnianej.

Propaganda, próbując apelować do emocji, ma jednak niełatwe zadanie. Wojnę, którą tłumaczono początkowo potrzebą „demilitaryzacji” i „denazyfikacji” Ukrainy, wyzwolenia bratniego narodu ukraińskiego spod ucisku „faszystowskiej junty”, trzeba teraz uzasadniać inaczej. Zbyt długo trwa i zbyt wielkie przynosi straty. Stała się więc ona wojną, którą „kolektywny Zachód” wytoczył Rosji, instrumentalnie posługując się otumanionymi, a częściowo skorumpowanymi Ukraińcami. W propagandzie nabiera znaczenia wszystko, czym można Zachód obrzydzić. Kwestia LGBT jest tu jak znalazł, bo kojarzy się z płynącym z Zachodu „moralnym zepsuciem”. A problem tego „zepsucia” i moralnej wyższości Rosji, która powinna mu się przeciwstawić, budując cywilizacyjną alternatywę, jest przez Rosjan roztrząsany od stuleci.

Przekaz propagandowy nie musi być spójny z rzeczywistością, ale powinien być spójny wewnętrznie. Okazuje się, że można skojarzyć kwestię LGBT z wojną w Ukrainie, ale jak połączyć agresywny patriotyzm z autentycznym w Rosji, historycznie uzasadnionym umiłowaniem pokoju, jak skojarzyć tradycje bohaterów wojny ojczyźnianej z atakiem na sąsiedni, bratni kraj? Jak pogodzić niechęć do Zachodu z powszechnym podziwem dla zachodniej techniki i cywilizacji?

Oddajmy głos uczonym. „Logika rosyjskich władz nie dla wszystkich obywateli jest do końca zrozumiała – mówi w portalu „Kommiersant” ekspert Centrum Badań i Programów Stosowanych Piotr Skorobogatyj. Rosjanie historycznie nie przywykli do »proaktywnej« roli swego państwa na arenie międzynarodowej. Brak twardego przekonania, że Ukraina wstąpiła na drogę nazizmu czy nacjonalizmu. Termin »neonaziści« w narodzie się nie przyjęła”. Wiąże się to z faktem – wyjątkiem ekspert – że między obywatelami Rosji i Ukrainy zachowały się liczne związki profesjonalne, przyjacielskie i rodzinne. Dlatego trzeba ludziom tłumaczyć – wywodzili inni eksperci na czerwcowej konferencji „Specjalna operacja wojskowa: wnioski z lekcji historii” – że operacja militarna przeciw Ukrainie była przedsięwzięciem celem przeciwstawienia się tym samym siłom geopolitycznym, z którymi państwo radzieckie walczyło w latach 1941–45, i miała charakter reakcji prewencyjnej.

Po buncie Prigożyna trochę trudniej będzie to tłumaczyć, bo szef wagnerowców nie tylko stwierdził, że w Ukrainie żadnych faszystów nie ma, ale dodał, że operacja nie była uderzeniem prewencyjnym, a miała służyć temu, żeby minister Szojgu został marszałkiem. A co z niechęcią do Zachodu? Uczni nie potępią go w czambuł. Mówi moderator konferencji, dyrektor Centrum Analizy Politycznej Paweł Danilin: „Nikt z nas nigdy nie twierdził, że cywilizacja zachodnia jako taka jest immanentnie wroga cywilizacji rosyjskiej. Powiem więcej: właśnie Federacja Rosyjska jest nosicielką tych ideałów i wartości, którymi żyła cywilizacja zachodnia. Te ideały zawarte są w tradycyjnych wartościach, o których cały czas mówimy i z których Zachód z niewiadomych powodów rezygnuje”.

Rosja nie tylko więc broni się przed Zachodem, ale i broni Zachodu przed nim samym. Tak ambitnie zakrojony cel faktycznie wymagać może mobilizacji wszystkich sił męskich. ■

Molo Favarolo

ERYK KRYŃSKI Z LAMPEDUSY

Nie widać wielu chętnych do zatrzymania śmiercionośnego kryzysu na Morzu Śródziemnym.

Proteggere le persone, non i confini – chrońmy ludzi, nie granice – wzywa podniszczony mural wymalowany na budynku przy wejściu na Molo Favarolo. Po krótkim molo, technicznie rzecz biorąc pirsie, który osłania miejscowy port od morza, kilka razy dziennie kursuje autobus. Pojawia się pusty, odjeżdża wypełniony ludźmi. Mija mural, skręca w prawo i po Via Alessandro Volta, nabrzeżu Porto Nuovo, jedzie wprost do ośrodka przyjęć dla imigrantów. Lampedusa dobrze zna rolę Molo Favarolo. To tu dzień w dzień przybijają jednostki Guardia Costiera i Guardia di Finanza, straży przybrzeżnej i skarbowej, które zwożą uratowanych na Morzu Śródziemnym.

Wyspa

Lampedusa jest wysepką małą, żyje z ryb i turystów, leży w środkowej części Morza Śródziemnego, to najdalej na południe wysunięte terytorium Włoch. Administracyjnie przydzielono ją do regionu Sycylii, ale Palermo i Catania są daleko, a dystans do Tunezji wynosi raptem 130 km. Przez swoje położenie Lampedusa od lat jest tym przyczółkiem Unii Europejskiej, na którym stopę próbują postawić uciekający z Bliskiego Wschodu i z Afryki Subsaharyjskiej.

Od 2014 r. na Morzu Śródziemnym zaginęło co najmniej 27 tys. osób. Wypłynęli i nie dopłynęli. Przepadli, pewnie zginęli śmiercią bez świadków. Dowolna łódź może zatonać w ciągu paru minut na środku morza i nikt nigdy o takim zdarzeniu się nie dowie. Bo nie wiadomo, ile łodzi wypłynęło z Afryki, dostępne statystyki to *minimum minimorum* i szacunki

oparte na potwierdzonych informacjach, czasem tylko ich strzępkach.

Włoskie wody terytorialne patrolowane są przez straż przybrzeżną i organizacje pozarządowe prowadzące działalność SAR, *search and rescue*, poszukiwanie i ratownictwo. Szukają łodzi z uchodźcami wokół Lampedusy, gdy znajdą, zabierają na pokład i obierają kurs na Molo Favarolo. Uchodźców bada się przed wyjściem na ląd, na brzegu pośpiesznie wsadza do autobusu lub karetek. Łatwo z daleka ich rozpoznać. Nie dlatego, że jakoś specjalnie różnią się od Europejczyków, policji, służb, pracujących i wypoczywających w przystani Porto Nuovo. Po prostu Europejczycy nie są owinięci w połyskujące w słońcu złote koce termiczne.

Morze

Przy molo kołuszą się nędzne łódki, którymi uchodźcy przebyli większość drogi. Z reguły mają po 10 m długości. Potrafi się na nich stłoczyć 40 osób. Na Lampedusę płynie się jednym z dwóch szlaków, z Libii bądź z Tunezji, stąd w paręnaście godzin. Spora część przybywających to właśnie Tunezjczycy, uciekają przed pogarszającą się sytuacją w kraju, zapaścią gospodarczą, inflacją, autorytarnym prezydentem. Tunezjczycy na Lampedusę płyną jeszcze względnie bezpiecznie, startują z domu, są lepiej przygotowani, przemytnicy oferują im łódzie z wbudowanymi silnikami i nawigacją GPS. Cóż z tego, skoro żadna z uchodźczych łodzi nie nadaje się do bezpiecznego rejsu. W każdym razie nawet wśród nich są te lepsze i gorsze.

Tunezjczykom zazdroszą uchodźcy z państw subsaharyjskich. Ich z ojczyzn do państw sąsiednich wypycha głód,

wojna i susza. Ale u sąsiadów znajdują równie trudne warunki, pchani są więc dalej. W ten sposób niektórzy docierają na same północne krańce Afryki, np. do Tunezji, gdzie wcale nie są mile widziani. W lutym autorytarny tunezyjski prezydent Kais Saied wygłosił przemówienie, w którym stwierdził, że imigracja jest spiskiem mającym na celu zmianę składu demograficznego jego kraju. W ślad za tą diagnozą tunezyjska dyskryminacja wobec subsaharyjczyków wyraźnie się zaostrzyła.

Na dodatek ci imigranci, którzy od lat mieszkają w Tunezji, nie mogą teraz znaleźć zatrudnienia, nie są przyjmowani w szpitalach, na ulicy stają się celem ataków policji i zwykłych mieszkańców. Już na Lampedusie mówią, że nie mieli wyboru: powrót do domu na południu byłby bardziej niebezpieczny niż pozostanie w Tunezji, alternatywą był tylko ryzykowny rejs. Desperację wykorzystują przemytnicy. Biorą pieniądze, ale nie są profesjonalistami, często obierają zły kurs, całymi dniami błądzą po morzu. Zrozpaczeni pasażerowie piją morską wodę. Choć okolice są upalne, to na łodzi od pędu powietrza i wilgoci jest zimno, więc marzną, dostają hipotermii.

Ośrodek

Kto przeżyje, na Lampedusie trafi do ośrodka dla imigrantów. Ma 400 łóżek (rozstawiono je w sześciu małych dwupiętrowych budynkach), w żadnym razie nie jest w stanie sprostać zapotrzebowaniu. Ludzi jest zazwyczaj między tysiącem a trzema, także samotne dzieci. Setki osób, owinięte jedynie termiczną folią, śpią na ziemi poza budynkami. Dawniej nieoficjalnie wypuszczano uchodźców,



by mogli odetchnąć poza klaustrofobiczną rzeczywistością ośrodka. Teraz żaden nie może wyjść za ogrodzenie, ciasno okalające budynki. Do środka nie wpuszcza się dziennikarzy. Uchodźcy spędzają w nim zazwyczaj około dwóch tygodni, po czym przewożeni są na Sycylię, później będą rozlokowani po podobnych placówkach w całym Włoszech. Proces przeprowadzek trwa mniej więcej dwa miesiące, po nich zaczyna się walka o uzyskanie pozwolenia na pobyt.

Kto przypłynął na Lampedusę, na pewno padł ofiarą ciężkich naruszeń praw człowieka. Nie oznacza to jednak, że z prawnego punktu widzenia przestaje być tzw. imigrantem ekonomicznym. Nie oznacza to też, że włoskie władze muszą automatycznie pozwolić na pobyt. Jedynym prawem zobowiązującym państwa członkowskie UE do przyjmowania ludzi zmuszonych do ucieczki z miejsca zamieszkania jest konwencja genewska o statusie uchodźców. Według jej definicji uchodźcą jest każda osoba, która na skutek uzasadnionej obawy przed prześladowaniem z powodu swojej rasy, religii, narodowości, przynależności do określonej grupy społecznej lub z powodu przekonań politycznych, przebywa poza granicami państwa, którego jest obywatelem.

Konwencja ignoruje uciekających przed wojną i kryzysami humanitarnymi. Wtedy teoretycznie nie ma przecież dyskryminacji, wszystkim jest źle po równo. Ale w wielu sytuacjach człowiek może perfekcyjnie spełniać wszystkie warunki wymienionej wyżej definicji, nadal nie kwalifikując się do uzyskania statusu uchodźcy. Najczęściej dlatego, że doznał szkody nie w tym kraju, co trzeba. Prześladowanie

w państwie, którego nie jest się obywatelem, się nie liczy. W takiej właśnie sytuacji znajdują się tysiące osób cierpiące w Tunezji ze względu na odcień swojej skóry.

Władza

Pod koniec lutego ponad stu uchodźców utonęło u wybrzeży Kalabrii, ponad 500 km na północny wschód od Lampedusy. Na wniosek ministra ochrony ludności i polityki morskiej Nello Musumeciego rząd ogłosił stan wyjątkowy z uwagi na narastającą liczbę osób przybywających do włoskich brzegów przez Morze Śródziemne.

Osoba pracująca na Lampedusie dla IOM, Międzynarodowej Organizacji ds. Imigracji: – *W zeszłym roku w ciągu trzech miesięcy do Włoch przyjechało 120 tys. Ukraińców. Nikt nie krzychał o inwazji i kryzysie. Teraz w ciągu czterech miesięcy przypłynęło 40 tys. uchodźców i nagle mamy stan wyjątkowy. Nie zrozum mnie źle. Tak, to jest kryzys humanitarny, ludzie umierają na morzu każdego dnia i potrzebujemy sprawnych działań, ale to nie jest nowa, nagła sytuacja. Oto percepcja uchodźców we Włoszech i w Europie.*

Od października Włochy mają premierkę Giorgię Meloni. Jej rząd prowadzi kampanię utrudniania pracy organizacjom ratującym uchodźców na morzu. Od stycznia nie mogą kontynuować misji ratowniczych po wzięciu na pokład pierwszych rozbitków. W takim przypadku statek musi niezwłocznie udać się do wyznaczonego portu, nie wolno szukać innych osób w okolicy. W maju parlament ograniczył możliwości ubiegania się o azyl dla tych, którzy nie mogą go uzyskać na podstawie przepisów o statusie uchodźcy. Wszystko w imię bezpieczeństwa granic, będącego jednym z filarów budowy kapitału politycznego rządzącej koalicji pod przewodnictwem partii Fratelli d'Italia, Bracia Włosi.

Unia

Wykorzystywanie uchodźców do celów prymitywnej polityki nie jest oczywiście niczym nowym. Zarówno we Włoszech, jak i w Polsce, gdy tylko pojawi się potrzeba, politycy mogą szybko zagrać tą kartą i nastraszyć wyborców, wystarczy im parę tysięcy migrantów. W przedwyborczej Polsce trwał niedawno konkurs, kto najbardziej wystraszy Polaków protestami we Francji. W tym samym czasie na naszej wschodniej granicy po lasach umierają ludzie. We Włoszech rząd Meloni nie jest pierwszym, który stosuje tę taktykę, obecny wicepremier Matteo Salvini

czy niedawno zmarły Silvio Berlusconi już dawno utworowali jej drogę.

Łatwo jest krytykować działania rządu włoskiego, niemniej od lat stoi przed nim niezwykle skomplikowane zadanie. Także Grecja i Hiszpania w porównaniu z resztą UE obciążone są procedurami przyjmowania uchodźców przybywających na unijne terytorium. Zasady postępowania od 33 lat określa konwencja duńska. Odpowiedzialne za rozpatrzenie wniosku o azyl jest państwo, do którego w pierwszej kolejności dotrze uchodźca. Reforma tego systemu nadal się nie udaje, a w nowej polityce migracyjnej państwa unijne wolą się koncentrować na wzmacnianiu granic niż na ratowaniu życia, nie mówiąc o skutecznym systemie integracji docierających do Europy.

Państwa Unii nie okazują woli zmiany systemu, który co roku doprowadza do śmierci tysięcy ludzi. Postawy tej nie zmienia czerwcowy katastrofa statku nieopodal wybrzeży Grecji, w której zginęło prawdopodobnie ponad 600 uchodźców. Grecja ogłosiła trzydniową żałobę narodową, została z wyrzutami sumienia i oskarżeniami opozycji, że można było zrobić więcej, ocalić więcej rozbitków. Najnowszy unijny pomysł to wzorowane na umowie z Turcją porozumienie z Tunezją. Dostanie miliard euro na wsparcie techniczne dla straży granicznej, na dobrowolne powroty mieszkańców państw subsaharyjskich i podreperowanie gospodarki. W zamian tunezyjski dyktator zobowiązuje się do lepszego pilnowania swoich granic.

Unii w całej tej prawnej szamotaninie sprawnie udaje się unikać bezpośredniego kontaktu wzrokowego zarówno z cmentarzem Morza Śródziemnego, jak i z granicą polsko-białoruską. Gdy w mediach, w polityce, w aktach prawnych nieustannie toczy się walka na śmierć i życie o definicje i etykiety określające osoby przybywające do Europy, to na samej Lampedusie rozróżnienia te błędne. Mówi się zazwyczaj imigrant, ale tu widzi się po prostu mężczyzną, kobietę, dziecko. Człowieka, który akurat potrzebuje pomocy i pchany rozpaczą przemieszana z nadzieją wyruszył w podróż przez Morze Śródziemne.

Lampedusę interesuje tylko ratowanie życia. Dla reszty Europy kryzys migracyjny trwał w 2011 r., w 2015 i w tym roku, teraz od kwietnia. Wyspa ma inną percepcję, nic wyjątkowego w tym stanie wyjątkowym się nie zdarzyło. Jako brama do Europy funkcjonuje od trzech dekad, łódzie stały się częścią lampedusańskiej codzienności i perspektywy. Stojąc na Molo Favaro, traci się wiarę, że autobus kiedyś p restanie jeździć. ■

Stacze i siadacze

Czy Europejczycy, którzy coraz częściej siadają przy oddawaniu moczu, wypisują się tym samym z patriarchy, jak chciałyby niektóre feministki?

ŁUKASZ WÓJCIK

Pierwszy raz wyżej podpisany spotkał się z tym zjawiskiem wiele lat temu u szwagierki mieszkającej pod Stuttgartem – w łazience, obok sedesu, była naklejka w rysunkowy sposób wyjaśniająca, że trzeba usiąść. Z szacunku dla utrzymujących czystość domowników. Wychowany w dumnej, polskiej kulturze stojącej poczułem się wytknięty palcem, zażenowany, a potem ośmielony do osobistej rewolucji, która trwa do dziś (z rzadkimi wyjątkami).

Z pozorów sprawa jest prosta, bo chodzi przecież o higienę. Sikanie na stojąco może narobić wokół sedesu niezłego zamieszania. Nieporównywalnie większego niż opcja na siedząco. Nie mówiąc już o tym, że stojący najczęściej nie sprzątajają po sobie.

W tej dyskusji często przywoływany jest eksperyment amerykańskiego inżyniera Tadda Truscotta, który za pomocą szybkołatkowych kamer zbadał mechanikę moczowych rozprysków. Wyszło mu, że zwięźłość strumienia kończy się po jakichś 8–15 centymetrach. Potem można już mówić o autonomicznych kropelkach, które zderzając się między sobą, wyraźnie zmieniają kierunki. A na koniec odbijają się jeszcze od powierzchni wody i ścianek sedesu („lanie po ściankach” nic nie daje).

W konkluzjach inż. Truscott napisał m.in.: „Jeżeli szczeroteczki twoich najbliższych są oddalone o 3–4 metry od muszli klozetowej, to możesz spać spokojnie. Ale jeśli ta odległość to zaledwie 1–2 metry... no cóż, to w końcu twój bliscy”.

Poza tym siusianie na siedząco jest również zdrowsze dla zainteresowanego. Według badań Uniwersytetu w Lejdzie (poważnie!) takie ułożenie ciała na sedesie sprawia, że pęcherz opróżnia

się szybciej i dokładniej. A to jest bez znaczenia dla mężczyzn, którzy mają problemy z prostatą czy dolnymi drogami moczowymi. Nie mówiąc już o tym, że to rozwiązanie dużo cichsze i pozwalające – w razie nagłej potrzeby – szybko zmodyfikować plany toaletowe.

1 Kto jednak mógł przypuszczać, że ów toaletowy problem może mieć taki potencjał obyczajowo-polityczny, bo dotyczący w zasadzie władzy w łazience. Według danych dostarczonych ostatnio m.in. przez sondażownię

generalnie ma zachęcać ich do bezmyślnego zachowania w łazience.

Tym jednak, którzy nie chcą się wypisać z patriarchy, trzeba pomóc. Szczególnie aktywne na tym polu są organizacje feministyczne we Francji i Holandii. W tym pierwszym kraju ich hasło brzmi bardziej przemocowo: „Laissez tomber votre pantalon, et asseyez vous!” (spuść spodnie i siadaj!). Holenderki są w tym względzie tylko nieco łagodniejsze: „Toch niet weer een vieze plas op MIJN badkamer vloer!” (tylko nie kolejna brudna kałuża na MOJEJ podłodze!).

Równocześnie niektóre feministki domagają się prawa do sikania na stojąco. Nie w ramach walki o równouprawnienie, ale również z powodów praktycznych. Chodzi o tzw. smycz urynową (ang. *urinary leash*), czyli problem ograniczonej dostępności publicznych toalet dla kobiet. Jeszcze na początku XX w. praktycznie ich nie było – w rezultacie długość przebywania poza domem była uzależniona od możliwości pęcherza, co oczywiście pasowało domowym szowinistom. Teraz sytuacja jest o niebo lepsza, ale wciąż nieporównywalna z komfortem mężczyzn, którzy w sytuacji podbramkowej załatwiają się gdzie popadnie.

Ale rynek rozwiązał i ten kobiecy problem. Pochodząca z San Francisco firma Stand Up! od kilku lat sprzedaje „jednorazowe, biodegradowalne, mieszczące się w torebce lub kieszeni akcesorium do sikania” o nazwie Shewee, które pozwala robić to „po męsku”. To takie kartonowe origami – wystarczy rozłożyć, ścisnąć, wysuszać się i wyrzucić. Shewee zrobiło niesamowitą karierę podczas pandemii, gdy dostęp do toalet był utrudniony. I w ten sposób wiele zwolenniczek moczowego równouprawnienia zastosowało się do indiańskiego przysłowia „Jeśli nie możesz ich pokonać (czyli zmusić do siadania przy sikaniu – przyp. red.), przyłącz się do nich”.



YouGov liczba mężczyzn siadających na sedesie szybko rośnie, szczególnie w Europie (choć i tu są czarne dziury, o których zaraz). A to z kolei rodzi czasem zaskakujące interpretacje polityczne. Zdaniem niektórych feministek to wielki sukces ich agendy: mężczyźni siadający przy oddawaniu moczu wyrażają tym samym szacunek dla kobiet, bo symbolicznie wypisują się z patriarchy, który

2 Ta obyczajowo-polityczna rewolucja – jak zresztą wiele innych – zaczęła się od języka. Według hipotezy Sapira-Whorfa dobór słów, i w ogóle języka jako całości, wpływa na nasze myślenie i postrzeganie świata. A świetnym dowodem na to jest kariera niemieckiego słowa *Sitzpinkler*, czyli oddający moc na siedząco. Przed rewolucją był to termin co najmniej pejoratywny, obraźliwy dla tych wszystkich, którzy „sikają jak dziewczynki”. Dziś już wielu Niemców nosi to miano z dumą. Oni też kiedyś poczuli się wskazani palcem, zażenowani, a potem ośmieleni do osobistej rewolucji.

Po 2004 r. sukces komercyjny odniosły w Niemczech produkowane przez firmę Patentwert WCDuszki (*WC-Geist*). Przyklejone od dołu do deski klozetowej ujawniają się dopiero wtedy, gdy delikwent ją podniesie, aby w dowód swojej męskości zasikać komuś łazienkę. Wtedy WCDuszki głośno domagają się powrotu deski do pozycji horyzontalnej, a przy okazji wygłaszają całą tyradę w celu zdeprymowania przyszłego przestępcy i powiadomienia o jego zamiarach pozostałych domowników. I chyba najlepsze – robią to wszystko głosem dowolnie wybranego kanclerza. Co to byłby za hit w Polsce z głosem naszych przywódców!

Nie sposób ocenić, jaką ostatecznie rolę odegrały WCDuszki w zmianie zwyczajów dumnych Niemców – według nieoficjalnych danych sprzedano ich ponad 4 mln. Ale chyba podziałało. Według wspomnianego sondażu YouGov Niemcy są mistrzami Europy w siadaniu na sedesie – 40 proc. pytanym robi to zawsze, 22 proc. często. Co ciekawe, ci starsi, 55+, siadają dużo częściej (49 proc.) niż młodszy z przedziału 18–34 (28 proc.) – odwrotnie niż np. w Wielkiej Brytanii, gdzie młodzi siadacze wygrywają tam ze starszymi w stosunku 40 do 23.

YouGov przepytano na tę okazję mężczyzn z 13 krajów, głównie europejskich. Zaraz za Niemcami są Szwedzi, potem Duńczycy. Polacy stoją jednak od wieków dumni i wyprostowani, plasując się na przedostatnim miejscu – tylko 10 proc. z nas siada zawsze, 17 – często. Co trzeci Polak nie siada nigdy (stawkę badanych nacji zamykają zapewne jeszcze dumniejsi Meksykanie).

W całym świecie częściej niż Niemcy siadają przy sikaniu tylko Japończycy. Zresztą również oni mają na to swoje słowo: *suuari-szon*. Tam urynowa rewolucja zaszła jeszcze gwałtowniej niż u naszych zachodnich sąsiadów. W 1999 r. siadało zaledwie 15 proc. Japończyków. W 2007 r. było to już 40 proc. Dziś ten odsetek wyraźnie przekroczył 60 proc. Przy czym za nauczonych sikania na siedząco w dzieciństwie uważa się zaledwie 12 proc. Japończyków. Reszta nawrócenia doznała w wieku dojrzałym.

Jednym z powodów tak radykalnej zmiany mogło być technologiczne zaawansowanie japońskich toalet. Niemal w standardzie można w nich znaleźć podgrzewane deski klozetowe, jak również wielokierunkowe strumienie ciepłej wody, a czasem nawet suszarki. Trudno się dziwić, że Niemcy na wielką skalę kopiują teraz japońskie rozwiązania.



3 Być może nie powinien dziwić fakt, że kontrrewolucja stojących mężczyzn również zaczęła się w Niemczech. Jej mitem założycielskim był wyrok sądu w Düsseldorfie, który w 2015 r. uznał prawo mężczyzny do sikania na stojąco. Otóż właściciel mieszkania pozwał najemcę, że poprzez uporczywe oddawanie moczu w ten właśnie sposób zniszczył marmurową posadzkę

w łazience, i domagał się odszkodowania w wysokości 1,9 tys. euro. Sędzia Stefan Hank przyznał rację właścicielowi, stwierdzając na podstawie chemicznej ekspertyzy, że rzeczywiście kropelki rozbrzgującego się moczu trwale pobrudziły marmur. Ale jednocześnie uznał, że pozwany jako mężczyzna „miał prawo oddawać tak mocz z powodów kulturowych”.

Prawicowi fanatycy moczowych stand-upów często odwołują się do tego wyroku i przekonują, że namawianie mężczyzn do siadania na sedesie tłumaczy ich męskie cechy i promuje kobiece, tym samym „udomawiając” ich i niszcząc im psychikę. Nie powinno więc dziwić, że w tych kręgach oddawanie moczu na stojąco jest postrzegane jako afirmacja praw mężczyzn do robienia tego, co naturalne.

Ta wymiana argumentów przypomina nieco zapoczątkowany w Stanach, ale obecny również w Polsce spór wokół tzw. *manspreading*, czyli w sumie staropolskiej tradycji oznaczania terytorium poprzez nieskrępowane prezentowanie kroczka przy rozłożonych nogach w środkach masowego transportu.

Czy i w tym przypadku mężczyźni mają prawo tak siadać „z powodów kulturowych”? A może – jak twierdzi dziś część bardziej ugodowych feministek – trzeba im (nam) na to pozwolić, bo jako słabsza płęć mężczyźni nie są w stanie opanować swoich odruchów?

Z drugiej strony takie genderowanie złych zachowań w przestrzeni publicznej – czyli z zasady przypisywanie ich tylko mężczyznom – może się zemścić. Wzmacnia bowiem owo seksistowskie założenie, że mężczyźni ze swej natury są zbyt samolubni lub po prostu za głupi, aby kontrolować swoje odruchy. I w związku z tym to kobiety muszą ich postawić do pionu, w przenośni i dosłownie. Na razie perswazją.

Jeśli jednak feministki nie zdołają skłonić moczowych szowinistów do siadania po dobroci, to może zrobi to za nie ewolucja? Bo w sumie – już na poważnie – jaka jest największa zaleta *sitzpinklerowania*? Czy nie jest nią przypadkiem tych kilka chwil, dzięki którym zupełnie legalnie odcinamy się od chaosu świata rodzinnego, aby w świętym spokoju toalety sprawdzić Twittera i wyniki meczów? ■

Prawo dla zuchwałych

PiS poświęci znajdujące się w ziemi i w wodzie dziedzictwo, by przekupić armię poszukiwaczy skarbów. Nowa ustawa o ochronie zabytków będzie nas drogo kosztowała i może być zaproszeniem do turystyki archeologicznej.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

W

kinach Indiana Jones po raz piąty przekonuje właśnie, że archeologia to walka o to, by w posiadanie zabytków weszli „dobrzy”, a nie „źli”. Jego przygody śledzą rzesze ludzi, w przeciwieństwie do losów ustawy, którą przegłosowano 13 lipca w Sejmie. Jeśli zaakceptuje ją Senat, sprawi, że wszyscy poszukiwacze będą mogli oddawać się swemu hobby, czyli

wydłubowaniu z ziemi metalowych fantów, niemal bez ograniczeń. I zostaną za to wynagrodzeni.

Ustawa zaproponowana przez Jarosława Sachajkę, posła z klubu Kukiz'15, wsparta przez Konfederatów i PiS przeszła z komisji do Sejmu jak burza. Było to proste, bo ani nie skonsultowano jej ze środowiskami ekspertów, ani nie dopuszczono do wysłuchania publicznego. Wiceminister kultury Jarosław Sellin mówił, że trzeba zapanować nad stale powiększającą się rzeszą „pasjonatów historii”, więc jego resort z „życzliwością patrzy na tę ustawę”. To i my się jej przyjrzyjmy.

Liczyły się głosy (nienaukowe)

W Polsce wszystkie zabytki archeologiczne ukryte w ziemi i w wodzie należą do Skarbu Państwa. Od początku obowiązywania przepisów o ochronie zabytków, czyli od 1918 r., ich poszukiwanie wymagało uzyskania pozwolenia Wojewódzkiego Urzędu Konserwacji Zabytków (WUKZ). Urzędnik wydawał je na określony czas i obszar – z wyłączeniem miejsc chronionych prawem (np. stanowisk archeologicznych). Tyle że do tych zasad stosowała się garstka. Do urzędów zaczęło sływać więcej próśb o pozwolenia dopiero wtedy, gdy w 2018 r. do ustawy wprowadzono artykuł 109c, który poszukiwania bez

ILUSTRACJA MIROSŁAW GRYŃ



pozwolenia uznawał za przestępstwo. Procedura i wizja kary ciążyły zrzeszonym w Polskim Związku Eksploratorów (PZE) poszukiwaczom, więc Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego (MKiDN) zainicjowało dialog, aby wypracować przepisy kompleksowo regulujące tę materię.

Dyrektorka Narodowego Instytutu Dziedzictwa (NID), prof. Katarzyna Zalaszińska, w trudnych debatach z Radą ds. Dziedzictwa Archeologicznego ręczyła za poszukiwaczy. Pożałowała tego jednak, gdy w 2021 r. PZE zrealizował filmik „Ciemna strona archeobiznesu”. Szkalował on archeologów oraz konserwatorów i prezentował wysrane z palca teorie. „Choć przekonywałam, że poszukiwacze nie są od rozwiązywania problemów polskiej archeologii, a budowanie konfliktu nie przybliży do załatwienia sprawy, wrzucono go do sieci” – pisze prof. Zalaszińska na Facebooku.

Rozmowy przerwano, a wtedy poszukiwacze obeszlą gremia naukowe i znaleźli dojście do polityków. Musieli zrobić na nich wrażenie wizją szlachetnej i patriotycznej pasji oraz chęcią chronienia dziedzictwa narodowego, które – rzekomo nie interesując archeologów – niszczy w ziemi. PiS postanowił przepychać ustawę najwyraźniej także po to, by przed wyborami przypodobać się konfederatom i kukizowcom. Po cichu może również liczą na głosy ponoć 250 tys. poszukiwaczy (jest to jednak liczba mocno przesadzona; tyle osób może i ma w domach wykrywacze, ale aktywnie je wykorzystuje pewnie ok. 25 tys.). Politycy przepchnęli więc legislacyjny bubla, który „nie rozwiąże żadnych problemów, tylko stworzy nowe” – pisze prof. Zalaszińska.

Ma być kontrola (bez urzędników)

Od 1 maja 2024 r. każdy poszukiwacz, który chce chodzić z wykrywaczem metali, będzie musiał ściągnąć specjalną aplikację, a w niej podać swoje dane z dowodu lub paszportu oraz obszar, na którym zamierza prowadzić poszukiwania. I automatycznie (będzie to jedyna aplikacja w naszym państwie do załatwiania spraw urzędowych bez udziału urzędnika) dostanie pozwolenie oraz informację, gdzie nie wolno mu chodzić.

Pomysł może wydawać się generalnie dobry, bo pozwala na rejestrowanie poszukiwań. Niestety, aplikacja nie sprawdzi się jako narzędzie do ścigania złodziei, bo wgląd do zgromadzonych w niej danych mają mieć tylko konserwatorzy. – *Jeśli policjant lub leśnik zechce sprawdzić, czy spotkane osoby z wykrywaczami działają legalnie, będzie musiał zadzwonić do WUKZ* – tłumaczy prof. Maciej Trzciniński, prawnik i kierownik Muzeum Archeologicznego we Wrocławiu. – *Ale urzędnicy pracują tylko w dni powszednie i tylko do godz. 16. Co z weekendami, popołudniami i nocami? Czy organy ścigania będą konfiskować sprzęt, pakować poszukiwaczy do radiowozów i potem zdalnie procedować, czy po prostu puszczą ich do domów, bo za dużo z tym zachodu, a szkodliwość czynu niewielka?*

Kolejną dużą zmianą są nagrody. Dotychczas wyróżniano nimi tylko przypadkowych znalazców – za ich obywatelską postawę. Teraz będą się po nie mogli zgłaszać korzystający z aplikacji poszukiwacze. Ilość nagród zwiększy się skokowo, co pociągnie za sobą koszty, bo chociaż najwyższa nagroda – która nie może przekroczyć 25-krotności średniej pensji krajowej – nie będzie częsta, to koszt każdej wyceny artefaktu wynosi 700 zł.

Jednak największe wydatki będą się wiązały z tym, by nowa ustawa w ogóle zadziałała. Bo rozbudowa służb konserwatorskich (czyli zatrudnienie co najmniej 40 osób do obsługi aplikacji w WUKZ-ach, zbudowanie magazynów na zabytki i konserwacja artefaktów) pociągnie za sobą – jak szacuje MKiDN – w perspektywie 10 lat wydatki na poziomie pół miliarda.

W służbach konserwatorskich pracuje zbyt mało osób, by móc działać zgodnie z nowymi wytycznymi. Na przykład do oględzin stanowiska musi dojść w ciągu 5 dni od zgłoszenia. Jeśli w teren wyjdą tabuny poszukiwaczy i zaczną zgłaszać znaleziska, nie ma mowy, by dało sobie z tym radę nawet stu zatrudnionych w WUKZ archeologów. Już teraz do konkursów na inspektorów nie ma chętnych, więc skąd wiać osoby nieobawiające się tej stresującej, nieszanowanej i źle płatnej pracy, wykonywanej w dodatku na zasadach narzuconych przez poszukiwaczy? Paradoks chce, że tym odpowiednikiem Panów Samochodzików brakuje nawet służbowych samochodów.

Istotna będzie uczciwość (deklarowana)

Co prawda nadal „kto niszczy lub uszkadza zabytek, podlega karze pozbawienia wolności od 6 miesięcy do lat 8” (art. 108), ale na całej reszcie ustawy wszystkie instytucje i gremia naukowe archeologów, muzealników i konserwatorów nie zostawiły suchej nitki. Podkreślają, że naraża dziedzictwo i jest niezgodna z art. 5 konstytucji oraz z ratyfikowanymi przez Polskę międzynarodowymi konwencjami – maltańską z 1995 r. i z Faro z 2005 r.

Ustawa w proponowanej formie pozwala prowadzić poszukiwania 10 m od granic zabytków nieruchomych i stanowisk archeologicznych, co ma wskazywać aplikacja. Jest to fikcja, bo wyznaczenie zasięgu większości znajdujących się w ziemi obiektów – pradziejowych osad, pól bitew czy cmentarzysk – jest niemożliwe. Co więcej, chociaż ewidencja – w której znajduje się 660 625 chronionych prawem miejsc – jest stale uzupełniana, nie uwzględnia jeszcze tysięcy nowych stanowisk, np. namierzonych w lasach przez LIDAR.

Zgodnie z nowymi przepisami poszukiwacz powinien wstrzymać prace i powiadomić służby konserwatorskie, jeśli na obszarze 100 m kw. znajdzie 3 zabytki świadczące, że mógł trafić na stanowisko. Czy to zrobi oraz czy będzie się trzymał wyznaczonych granic obszarów, zależy od jego uczciwości.

Kolejnym problemem związanym z aplikacją jest to, że jej nie ma. Zgodnie z zapowiedziami powinna zacząć działać za 9 miesięcy. Jeśli jednak nie powstanie albo będzie szwankować, jak chronić zabytki po 1 maja 2024 r.? Łatwo sobie wyobrazić prawny chaos, który umożliwi niekontrolowaną eksplorację bez żadnych sankcji.

Można też sobie zadać pytanie, czy nowa ustawa w ogóle zachęci poszukiwaczy do rejestrowania się – czy nie wygra chęć posiadania lub spieniężenia przedmiotu po lepszej cenie? Może skończy się tym, że z apki korzystać będą tylko ci nieliczni pasjonaci, którym naprawdę zależy na opowieści stojącej za zabytkiem i którzy już wcześniej występowali o pisemne pozwolenia.

Specjaliści wieszczą, że ten prawny potworek sprawi, iż teraz więcej osób pójdzie w las. Ponadto przy tak liberalnym prawie może się rozwijać turystyka archeologiczna, więc żartują, żeby może od razu zrobić angielskojęzyczną wersję apki dla granicznych gości. ►

Kopanie to ostateczność (dla profesjonalistów)

► Niewtajemniczonym nie jest łatwo zrozumieć, na czym polega trwający od lat spór między poszukiwaczami a archeologami i dlaczego nie da się go rozwiązać jedną apką. Tak naprawdę chodzi o pryncypia. Podczas gdy poszukiwaczy interesuje przedmiot i jego pozyskiwanie, przygoda i podniecenie, archeolodzy chcą zbadać cały obiekt z jego strukturami i nawarstwieniami, w których przedmioty są tylko elementem. Co więcej, chcą oni dbać, by dziedzictwo kulturowe przekazać kolejnym pokoleniom w stanie nie pogorszone, czyli niepozbawionym informacji naukowej, tkwiącej właśnie w nawarstwieniach – ale te uszkadza wyjmowanie z nich zabytków.

Owszem są wyjątki – jak przedmioty już wyrwane z ziemi, a więc z kontekstu kulturowego, poprzez np. głęboką orkę, oraz skarby zgubione lub intencjonalnie zakopane poza grobami i osadami (najczęściej monety lub biżuteria). W krajach anglosaskich wiele z odkrytych przez poszukiwaczy obiektów należy do tej drugiej kategorii. W dodatku tamtejsze służby stać na to, by od razu prowadzić badania przykładowo znalezione stanowiska. Polskie nie mają takich środków. Dlatego – wbrew temu co twierdzą poszukiwacze – i te zabytki najlepiej zostawić w ziemi. Przynajmniej do czasu, gdy nie zagraża im jakaś inwestycja (np. autostrada), bo wtedy już musi wkroczyć specjalista.

Najważniejszym argumentem przeciwko prowadzonym przez poszukiwaczy eksploracjom jest rozwijająca się w ekspresowym tempie nauka. Dziś jest standardem, że badacze wysyłają próbki do laboratoriów – by zbadać DNA, wydatować, znaleźć na powierzchniach ślady różnych substancji. Coraz rzadziej w ogóle trzeba rozkopywać stanowiska, bo badania geofizyczne pozwalają rekonstruować podziemne struktury. W przyszłości technologie będą jeszcze doskonalsze i może uda się badać nawet pojedyncze zabytki bez wyjmowania ich z ziemi. Dlatego badacze, jeśli nie muszą, wolą w ogóle nie ruszać zabytków, a ich naukową ciekawość często zaspokajają małe wykopy sondażowe.

– *W opiece nad zabytkami działa taka sama zasada jak w medycynie: przede wszystkim nie szkodzić. Przy czym archeolodzy są jak chirurdzy, którzy wykonują zabieg w ostateczności. Nowa ustawa oddaje nasze dziedzictwo w ręce amatorów, którzy będą kopać bez planu, powodu i umiaru* – mówi dyrektorka Narodowego Instytutu Muzealnictwa i Ochrony Zbiorów dr Paulina Florjanowicz. Archeologia to nauka niszcząca – gdy rozkopujemy grób i źle go zbadamy lub nie zadokumentujemy, nigdy nie będzie można zrobić tego ponownie, poprawnie.

Polska to nie Anglia (niestety)

Nie do końca jest prawdą, że wszelkie metalowe przedmioty niszczyją w glebie, więc należy je jak najszybciej wyciągnąć, jak twierdzą poszukiwacze. W rzeczywistości wiele zależy od metalu i rodzaju gleby. Poza tym polscy

detektorzyści lubią powoływać się na prawo w Anglii i Walii, zapominając przy tym, że tam od średniowiecza własność prywatna stoi nad dobrem publicznym. To dlatego państwo odkupuje najwartościowsze obiekty (ustawa Treasure Act) od detektorystów, ale ci muszą się podzielić pieniędzmi z właścicielami ziemi, na której je znaleźli.

Anglicy są przyzwyczajeni do tego systemu, więc zgłaszają większość znalezisk, które trafiają do ogólnodostępnego Portable Antiquities Scheme, ale jednocześnie muszą się liczyć z poważnymi konsekwencjami, jeśli doprowadzą do zniszczeń: jest to przestępstwo karane wyrokiem 8 lat więzienia. – *Mimo to nie wszyscy brytyjscy archeolodzy uważają ten system za doskonały. Po pierwsze, kosztuje on sporo skarb państwa i samorządy. Po drugie, ponieważ zabytki zostają w większości w rękach znalazców, nie są konserwowane. A po trzecie, system nie jest szczelny, czego dowodzą nielegalnie pozyskiwane „fanty” na eBayu* – mówi Paul Barford, brytyjsko-polski archeolog. – *Pomyśłodawcy nowej ustawy w Polsce powinni to wszystko wiedzieć i skonsultować się z Brytyjczykami, by uniknąć ich błędów. Nie zrobili tego.*

– *Paradoksalne jest, że w Polsce archeologię traktuje się poważnie, jako ważne źródło wiedzy, w muzeach martyrologicznych i dotyczących Zagłady. Ale zabytki z epok wcześniejszych, pradziejowych, są często lekceważone. W Europie uważa się je za pełnoprawną i ważną część dziedzictwa* – mówi dr Florjanowicz. Dla poszukiwaczy archeologia jest gdzieś w tle, bo ich zainteresowanie w olbrzymiej mierze koncentruje się na militariach, zwłaszcza tych nowożytnych. Dlatego tak bardzo zagrożone są przechowywane przez nich pola nowożytnych bitew, mogiły żołnierzy czy miejsca zagłady – co ustawodawcy akurat starali się zauważyć, wpisując te miejsca do nowej ustawy.

Do skupienia opinii publicznej na metalowych obiektach przyczynia się popkultura i media, które niezmiennie konserwują XIX-wieczną, inwazyjną wizję archeologii (detektor jest np. głównym gadżetem w polsatowskim serialu „Poszukiwacze historii”, a jeśli informuje się o odkryciach, to głównie o wydłubanych przez detektorystów mieczach lub monetach). Trudno się więc dziwić, że panuje powszechne przyzwolenie na to „nieszkodliwe” hobby. I zapewne rację ma minister Sellin, że trudno ten żywioł zatrzymać. – *Jedyną nadzieją jest edukacja. Państwo powinno wydać porządne pieniądze na uczenie od podstawówki, czym jest dziedzictwo, bo to niewiedza sprawia, że gros społeczeństwa zupełnie nie rozumie, o co nam chodzi, i daje się przekonać argumentom poszukiwaczy* – mówi prof. Trzcziński.

Paulowi Barfordowi marzy się, by chodzenie z wykrywaczem skończyło się jak moda na noszenie futer, ale wygląda na to, że ten trend przyjdzie do nas z dużym opóźnieniem albo wcale. Niewykluczone, że wymusi go dopiero rzeczywistość. Intensywna działalność poszukiwaczy doprowadzi w końcu do tego, że z naszej ziemi znikną wszystkie metalowe artefakty. Po epoce brązu i żelaza – która trwa do dziś – pozostaną same kości, kamienie i ceramika.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA



Naukowcy podkreślają, że nowa ustawa naraża dziedzictwo i jest niezgodna z art. 5 konstytucji oraz konwencjami – maltańską i z Faro.

Drzewa ratują, stojąc

W miastach oczyszczają powietrze i pomagają przetrwać upały towarzysząc zmianie klimatu. W jakiej są kondycji? Jak je wesprzeć?

RYSZARDA SOCHA

Klony w Krakowie już w lipcu żółkną i gubią liście. Jeśli następne lato jest deszczowe, to mają szansę się zregenerować. W przeciwnym wypadku obumierają. Trudno problemu nie zauważyć, bo klony są w tym mieście najliczniej reprezentowanym rodzajem drzew (19,7 proc.). Szkodzi im zresztą nie tylko brak wody, ale także sól. Dawniej, gdy zimy były srogie, mróz chwytał na kilka tygodni, nie zużywano jej tak dużo jak obecnie, przy huśtawce temperatur to poniżej, to powyżej zera. Skutek jest taki, że przy niedostatku opadów drzewa nie są w stanie pobrać wody ze względu na wysokie stężenie soli. Niektóre klony są na to szczególnie wrażliwe.

Na drugim krańcu Polski, w Sopocie, ten akurat gatunek ma się świetnie. Za to jest bieda z bukami. Tymi pospolitymi również. Choć Magdalena Czechatka, konserwatorka zieleni w sopockim magistracie, najbardziej boleje nad czerwonoлистnymi. – *Jest ich u nas stosunkowo dużo, mają po 120–150 lat i doskonale sobie radziły – opowiada. – Od kilkunastu lat jednak obumierają, także w miejscach, gdzie mają sporo przestrzeni. Należałoby to wiązać z obniżaniem się poziomu wód gruntowych w związku z suszami.*

Cztery lata temu grupa ekspertów z Polskiej Akademii Nauk (POLITYKA 37/19) upubliczniła czarny scenariusz dla polskich lasów: „Przez zmiany klimatu z naszego krajobrazu znikną sosna zwyczajna, świerk pospolity, modrzew europejski i brzoza brodawkowata. Drzewa te zajmują obecnie 75 proc. powierzchni lasów. Wraz z nimi znikną setki gatunków roślin, grzybów i zwierząt. Ta rewolucja wydarzy się za życia obecnych 40-latków. Wspomnianych procesów nie powstrzymamy, ale możemy się adaptować poprzez właściwą politykę zalesiania”.

Odchodzenie

W miastach sytuacja jest bardziej złożona. Jest więcej gatunków. Bardziej zróżnicowane są warunki siedliskowe (ciasnota, beton, upały). Wygranych i przegranych wytypować zatem trudniej. W Krakowie świerka już dawno nie sadzą. Mieli zagwozdkę, czym go zastąpić w parku Jordana. Konserwator do końca bronił drzew zatakowanych przez kornika drukarza. Bez powodzenia. Ostatecznie przystał na jodły jednobarwne (kalifornijskie), które dobrze sobie radzą w obecnych warunkach, a pokrój mają podobny do świerka. Przynajmniej na pierwszy rzut oka zielony zabytek specjalnie się więc nie zmienił.

– *Prawdopodobnie w ciągu 10–15 lat będziemy widzami drastycznych zmian w naszym krajobrazie – mówił jednak dr hab. Piotr Muras, emerytowany profesor Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie, podczas konferencji zatytułowanej „Dziedzictwo kulturowe wobec zmian klimatu”. Jego opowieść dotyczyła właśnie drzew miejskich. Na zdjęciach pokazywał wysychające świerki, z pękającą od strony południowej korą, oraz przypalone cisy. I miłorząb, który pięknie rośnie. Bo pochodzi z południowo-środkowych Chin, o dwie strefy klimatyczne cieplejszych.*

Jednak to nie temperatura jest największym problemem. Dla drzew kluczowa jest woda, czyli zarówno opady, jak i wilgotność powietrza. Za jej pobór odpowiedzialna jest głównie struktura korzeni drzewa. Teraz lepiej radzą sobie gatunki zdolne głęboko penetrować glebę, a więc z korzeniem palowym lub systemem sercowatym. Kłopotliwy jest talerzowy (płaski), który występuje m.in. u świerków, cyprysików, żywotników, części klonów. Prof. Muras przewiduje, że w pierwszej kolejności obumrą introdukowane dalekowschodnie klony ozdobne, jak palmowy czy griseum. Żle znoszą suche powietrze, bo tam skąd pochodzą, ma ono dużą wilgotność.

Łatwo zrozumieć, że w związku ze zmianą klimatu w Krakowie pada rodzimy świerk pospolity. Dlaczego jednak ten sam los spotyka świerk serbski już po dwóch sezonach bez deszczu i z upałami? Przecież na Bałkanach też są gorące i bezdeszczowe lata. Dendrolog pokazuje wykresy opadów dla Krakowa i Sarajewa. Latem ich poziom jest podobny, ale zimą i wiosną Sarajewo jest gorą. Prawdopodobnie ta różnica decyduje.

Prof. Muras jest autorem opracowania „Standardy zakładania i pielęgnacji podstawowych rodzajów terenów zieleni w Krakowie na lata 2019–2030”. Dla tutejszego Zarządu Zieleni Miejskiej to kompendium, jak postępować z miejską roślinnością. „Zarządzający terenami zielonymi w całej Europie – pisze naukowiec – mają problem z opracowywaniem doborów drzew alejowych dla ciągów komunikacyjnych w miastach. Trudne warunki środowiskowe i nakładające się na to globalne ocieplenie w znacznym stopniu eliminują z miejskich ulic rodzime gatunki lasotwórcze. Coraz gorzej rozwijają się krajowe lipy, szczególnie wrażliwe okazały się klony, zwłaszcza pospolity i jawor”. Na poparcie przytacza dane z Warszawy i Berlina. Otóż w Warszawie od 1973 do 2015 r. udział lip przy głównych ulicach zmniejszył się z 48 proc. do 43 proc., a klonów (ogólnie) z 47 proc. do 30 proc. ▶

► Łukasz Pawlik, zastępca dyrektora Zarządu Zieleni Miejskiej w Krakowie, pociesza się, że susze i fale upałów, choć zdarzają się coraz częściej, nie dotyczą Krakowa aż tak bardzo – dużo gorzej jest np. w Poznaniu i w miastach położonych na obszarach wyżynnych. Owszem, źle mają się w mieście jesiony, których ilościowy udział jest spory (8,5 proc.). Obumierają powoli dotknięte chorobą grzybową. Gdyby nie ocieplenie klimatu, miałyby siłę do walki. Tym, co najpoważniej zagraża wszystkim gatunkom, są jednak porywiste, huraganowe wiatry, których dawniej nie było. W ubiegłym roku w centrum powaliły kilkaset drzew, a jeśli doliczyć osiedla i tereny prywatne – kilka tysięcy.

Dosadzanie

Jak Polska długa i szeroka słychać też żale, że wysychają nowe nasadzenia. Fachowcy od zieleni widzą wyraźnie, że coś, co dawniej przyjmowało się bez wielkiego zachodu, teraz wymaga nie tylko lepszego miejsca, ale i podlewania przez nawet 2–3 lata. W Sopocie sadzą buk, ale tylko na skarpach i w bardziej cienistych ulicach. Ubytki w szpalerach lipowych przy ruchliwej, przelotowej arterii łączącej Gdańsk z Gdynią uzupełnili tym samym gatunkiem, który w nich dominuje, czyli lipą drobnolistną. I na razie jest dobrze. Ale to Polska północna, mniej doświadczana przez upały i suszę.

Magdalena Czeczotka, sopocka konserwatorka zieleni, uważa, że mimo trudności nie należy się poddawać chwilowym modom, zbyt łatwo ulegać pokusie sadzenia gatunków z cieplejszych stref klimatycznych. Niektóre tak świetnie sobie radzą, że stają się gatunkami inwazyjnymi. Z innymi kłopoty pojawiają się po 10 czy 20 latach.

Część dużych miast (w tym Kraków) w ramach adaptacji do zmian klimatu eksperymentuje z tzw. mikrolasami, lokowanymi nie na obrzeżach, a bliżej centrum. Sadzi się tam na małej powierzchni dużo młodych drzew rodzimych gatunków uzyskanych z nasion. Natura weryfikuje, które są najsilniejsze. I te pozostają. Może będą odporne i sprostają trudom życia w zmieniających się warunkach.

Z sadzeniem nowych drzewek bywa różnie. W 2020 r. Fundacja Leszy odpytała zakłady zieleni miejskiej w miastach wojewódzkich o dane dotyczące nasadzeń, cięć, pielęgnacji z 2019 r. W dodatnim bilansie nasadzeń przodowały Warszawa (6032 drzewa), Gdańsk (2657) i Wrocław (1452). Jednak 40 proc. miast wojewódzkich więcej wycięło, niż posadziło. Najgorzej wypadły Kielce (-319), Olsztyn (-351)

Wybrane drzewa proponowane do miasta na przykładzie Krakowa

Przy arteriach o dużym natężeniu ruchu, w miejscach zagrożonych wysokim zasoleniem



Acer campestre
– klon polny, odmiana nanum
Wysokość: 3–5 m
Szerokość korony: 3–5 m
Stanowisko: słoneczne, półcieniste, cieniste
Odporność: susza

Fraxinus pennsylvanica
– jesion pensylwański
Wysokość: 15–20 m
Szerokość korony: 10–15 m
Stanowisko: słoneczne, półcieniste
Odporność: susza, upały, warunki miejskie



Ginkgo biloba – miorzab dwukłapowy, odmiana fastigiata
Wysokość: 15–20 m
Szerokość korony: 4–6 m
Stanowisko: słoneczne, półcieniste
Odporność: susza, warunki miejskie

Platanus × hispanica
– platan klonolistny
Wysokość: 20–30 m
Szerokość korony: 15–25 m
Stanowisko: słoneczne
Odporność: susza, warunki miejskie



Sorbus intermedia
– jarzab szwedzki
Wysokość: 10–15 m
Szerokość korony: 5–7 m
Stanowisko: słoneczne, półcieniste
Odporność: susza, warunki miejskie, wiatry, mrozy

i Gorzów (-371). „Czy jednak nawet najwyższy przyrost odnotowany w Warszawie to dużo? – zastanawiają się autorzy raportu. – W przeliczeniu na kilometr kwadratowy miasta to nieco ponad 11 sadzonek drzew więcej rocznie, biorąc jednak pod uwagę wiek wycinanych drzew i wiek sadzonek, przedmiotowa liczba nie wydaje się już tak zawrotna”.

Utrata miejskich drzew zdaje się bardziej boleć. Nie tylko ożywiają krajobraz, lecz także poprawiają jakość powietrza.

W upalne dni dają cień i obniżają temperaturę. Określa się to mianem usług ekosystemowych. Nic dziwnego, że znajdują coraz więcej obrońców, którzy wywierają presję na lokalne władze. Ba, tu i ówdzie pojawiła się zielona partyzantka – grupki aktywistów, którzy sami usuwają nadmiar betonu i dokonują nasadzeń. Czy właściwie dobranych, to już inna sprawa.

Jednocześnie przybywa projektów badawczych. W ramach jednego z nich – Life UrbanGreen – dendrologzy z Krakowa

i z Rimini przyjrzeni się 10 gatunkom występującym w tych miastach najliczniej. Pokłosem badań jest publikacja „Drzewa w zieleni miejskiej” pod redakcją Przemysława Szwałki i Piotra Wężyka. Każę ona łaskawszym okiem spojrzeć na mało cenione w Polsce topole, postrzegane jako dziedzictwo PRL. Zarówno w Krakowie, jak i w Rimini topola włoska okazała się świetna w obniżaniu temperatury powietrza w upały. Gdy inne drzewa „wylęczyły” chłodzenie, ograniczając się do roli parasola, topola wciąż „pracowała”.

Natomiast w roli filtra wychwytyjącego z powietrza pyły i inne szkodliwe substancje wysokie oceny zebrała sosna czarna (z Europy południowej), która w Polsce w warunkach miejskich radzi sobie tam, gdzie przegrywają świerki. Jako drzewo zachowujące igły zimą (długie na 15–17 cm) czyści powietrze przez okrągły rok, także wtedy, gdy drzewa liściaste są gołe i nie filtrują.

Degradacja

Ludziom to oczyszczanie pomaga, ale drzewom szkodzi. Dr Joanna Rayss, projektantka zieleni, prezeska Stowarzyszenia Architektury Krajobrazu, uważa, że iglaki m.in. z tego powodu, że nie zrzucają igieł, które akumulują zanieczyszczenia, mają większe kłopoty w warunkach miejskich. Nie tylko przez zmianę klimatu. – *Rzecz w tym, że na nią nałożył się problem, który istnieje w miastach od lat: degradacja miejskich gleb* – wyjaśnia. Drzewo posadzone w betonie, w fatalnych warunkach glebowych, nawet jeżeli będziemy je intensywnie podlewać, może jedynie wegetować.

Zna tylko jedno miasto, które zbadało swoje gleby – Poznań. Największy problem to ich niewłaściwa struktura – są zbyt przepuszczalne albo zbyt ubite. W pierwszym przypadku woda z opadów (drzewa w mieście korzystają głównie z tej wody) bardzo szybko przesiąka i odpływa, nie zostaje na dłużej. W drugim – w ogóle nie wsiąka, od razu sływa do kanalizacji. – *Czy jakieś miasto robiło badania, ile próchnicy znajduje się w miejskich glebach?* – pyta retorycznie. – *Nikogo to nie interesuje.*

Lipa, o której mówi się, że w miastach „wypada”, jest gatunkiem grądowym. Grąd to najbardziej żyzny rodzaj siedliska w naszej strefie klimatycznej. A próchnica nie tylko żywi. Sprzyja też naturalnej retencji gleby. Czyli im więcej jest jej w glebie, tym więcej wody ta gleba jest w stanie zatrzymać. Z badań wynika, że zwiększenie zawartości próchnicy o 1 proc. to wzrost retencji o 160 m sześć. wód opadowych w hektarze. Bez budowania betonowych zbiorników. Ponadto większa zawartość

Na ulice mniej ruchliwe, o szerokich pasach zieleni i mniejszym zasoleniu

Acer platanoides
– klon pospolity
Wysokość: 20–30 m
Szerokość korony: 15–20 m
Stanowisko: słoneczne,
półcieniste
Odporność: susza, mrozy



Carpinus betulus – grab pospolity,
odmiana columnaris
Wysokość: 6–10 m
Szerokość korony: 4–6 m
Stanowisko: półcieniste, słoneczne
Odporność: wiatry, warunki miejskie

Fraxinus excelsior – jesion
wyniosły, odmiana globosa
Wysokość: 4–5 m
Szerokość korony: 3–5 m
Stanowisko: słoneczne, półcieniste
Odporność: susza, upały



Tilia tomentosa
– lipa srebrzysta, odmiana szeleste
Wysokość: 20–25 m
Szerokość korony: 12–15 m
Stanowisko: słoneczne
Odporność: susza,
warunki miejskie

Metasequoia glyptostroboides
– metasekwwoja chińska
Wysokość: 25–30 m
Szerokość korony: 7–10 m
Stanowisko: słoneczne
Odporność: warunki miejskie



próchnicy w glebie oznacza więcej węgla zatrzymanego w ekosystemach. To już nie tylko adaptacja do zmian klimatu, ale ich spowalnianie.

Rayss podczas różnych naukowych konwentykli stara się o tym mówić. Ale ma poczucie, że jej opowieść się nie przebijają. – *Srowadzanie wszystkiego do zmiany klimatu jest wygodne* – stwierdza. – *Gdy mamy wykonać trudną pracę polegającą na regeneracji naszych gleb miejskich, łatwiej powiedzieć: skoro nie rosną nam lipy, to będziemy sadzić robinie akacjowe i grujeczniki japońskie.*

Mimo wszystko jednak opowiada, skąd wziąć tę próchnicę: – *Po pierusze, musi być życie glebowe – robaki, bakterie, owad, różne stwory, które rozkładają materię organiczną: liście, patyki, obumarłe korzonki. Rozkładają do próchnicy. Jeżeli nie zostawimy im liści, ściółki, tylko wszystko wygrabimy, wysypimy kamyczkami, wysterylizujemy, to one umrą z głodu.*

Nowe realia wymagają nowego podejścia, sporej zmiany mentalnej.

RYSZARDA SOCHA

Źródła: „Standardy zakładania i pielęgnacji podstawowych rodzajów terenów zieleni w Krakowie na lata 2019–2030”.

Król jest ślepy



zarażone zwierzęta i zastrzelić. Dlaczego? Bo nie ma sposobu leczenia żubrów żyjących na wolności.

Śmiertelna inwazja

Z gruźlicą jakoś sobie poradzono, lecz wkrótce pojawiła się telazjoza. Stwierdzono ją w 2012 r. u padłego byka sprowadzonego do Polski cztery lata wcześniej z Irlandii. W 2019 r. choroba zaczęła atakować większą liczbę żubrów, głównie w Nadleśnictwach Baligród i Komańcza. I okazała się niezwykle groźnym przeciwnikiem. Tym bardziej że leśnicy niewiele o nim wiedzieli – ostatnie przypadki telazjozy odnotowano jeszcze w latach 60. na terenie Puszczy Białowieskiej, Niepołomic i Pszczyny.

Przenoszona przez muchy chorobę wywołują nicianie z rodzaju *Thelazia*. – Żubry zarażają się wczesnym latem, a nasilenie objawów choroby występuje w lipcu, sierpniu i wrześniu – wyjaśnia Stanisław Kaczor, zastępca powiatowego lekarza weterynarii w Sanoku. – U zakażonych zwierząt występuje zmętnienie rogówki, nierzadkie są nadżerki i owrzodzenia prowadzące nawet do uszkodzenia soczewki oka. Pojawia się też silny obrzęk spojówek, co uniemożliwia otwarcie powieki. Ropne zapalenie gałki ocznej może prowadzić do nieodwracalnej ślepoty.

– To choroba bardzo inwazyjna. Jeśli pojawi się u jednego osobnika, z łatwością przenosi się na kolejne – wyjaśnia prof. Wanda Olech-Piasecka ze Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie, ekspertka od żubrów. Jej zdaniem przenoszeniu rozmaitych patogenów sprzyja stadny tryb życia tych zwierząt, a liczniejsze grupy to zwiększony stres i dodatkowy czynnik sprzyjający rozprzestrzenianiu się chorób, głównie gruźlicy i telazjozy.

– Pewną rolę może tu odgrywać obniżona odporność spowodowana bardzo niską zmiennością genetyczną, choć dotychczas taki efekt chowu wsobnego u żubrów nie został potwierdzony – mówi prof. Kajetan Perzanowski, emerytowany pracownik Muzeum i Instytutu Zoologii PAN w Warszawie, który przez wiele lat badał bieszczadzkie żubry. – Rozprzestrzenianie się telazjozy można też wiązać z łagodnymi ostatnio zimami, które sprzyjają niskiej śmiertelności bezkręgowców.

Smutna konieczność

Zakażone groźnym pasożytem żubry są agresywne (np. kłują rogami inne osobniki w stadzie), mają trudności ze znalezieniem pokarmu, tracą naturalny instykt i przestają bać się ludzi. Bywa, że się

Żubrom w Bieszczadach zaczyna być ciasno. Wyrządzają szkody, ale przede wszystkim coraz częściej chorują. W dzikim środowisku tych zwierząt nie da się leczyć – trzeba je zabijać.

KRZYSZTOF POTACZAŁA

Zubry przywieziono w Bieszczady jesienią 1963 r. Kilka krów i byków dało początek stadu rasy nizinno-kaukaskiej, jedynej takiej w Polsce. Przez lata rozrastało się, będąc chlubą leśników i przyrodników, a legendarny już byk imieniem Pulpit elektryzował ludzi w całej Polsce, gdy po ucieczce z zagrody aklimatyzacyjnej miesiącami przemierzał kraj, goszcząc nawet w miastach.

Kiedy w drugiej połowie lat 90. w bieszczadzkiej populacji stwierdzono pierwsze przypadki gruźlicy, nikt nie przypuszczał, że to dopiero początek kłopotów. Stado z Nadleśnictwa Brzegi Dolne (dzisiaj Ustrzyki Dolne) musiano wybić co do sztuki. Żubry do tej pory nie wróciły na ten teren. Później gruźlica zaatakowała zgrupowania tych zwierząt w Nadleśnictwach Lutowiska i Stuposiany, a następnie zainfekowała to żyjące w Nadleśnictwie Baligród. We wszystkich przypadkach leśnicy z pomocą służb weterynaryjnych musieli zlokalizować

© SHUTTERSTOCK

Zagryzienia, zderzenia, utonięcia

W latach 2021–22 z powodu telazjozy odstrzelono w Bieszczadach 80 żubrów. Dwa lata wcześniej – zaledwie cztery. Żubry giną też, choć w zdecydowanie mniejszej liczbie, z innych przyczyn. To upadki naturalne, zagryzienia przez wilki i niedźwiedzie, śmierć z powodu złamania kończyn i innych poważnych urazów, w wyniku utonięcia w Zalewie Solińskim, niewydolności sercowo-naczyniowej oraz kolizji z samochodem (24 sztuki w latach 2021–22). W przypadku kolejnych 10 padłych nie udało się ustalić przyczyn.

okaleczają. Zdarzył się przypadek, gdy rozpędzony byk zabił się po uderzeniu łbem o drzewo. Do tego dochodzi tak zwane białe oko – ewidentny znak rozpoznawczy telazjozy. – *Takie zwierzęta straszliwie cierpią* – mówi Wojciech Głuszko, szef Nadleśnictwa Baligród. – *Nie można pozostać obojętnym, gdy widzi się żubra, który sam amputuje sobie chore oko.*

Jeszcze kilka lat temu termin telazjoza był dla większości leśników egzotyczny. Nikt się nie spodziewał, że choroba roznieśli się tak błyskawicznie i wstrząśnie niemalże całą bieszczadzką populacją gatunku *Bison bonasus*, hodowaną tu od 60 lat. Dotychczasowe działania, w tym monitoring stad i odstrzelanie chorych sztuk, niewiele zmieniły, ale – jak podkreśla nadleśniczy Głuszko – trzeba je prowadzić dalej, bo jak na razie nikt nie wymyślił skutecznej metody leczenia żubrów żyjących w stanie wolnym. – *Przy każdej informacji o zabiciu chronionego zwierza oburzają się przeciwnicy takich polowań. Nie rozumieją, że nikt nie robi tego dla przyjemności. To konieczność.*

Nie można eliminować osobnika przebywającego w stadzie. Istnieje duże ryzyko postrzelenia zdrowego i przestraszenia pozostałych. Z kolei wytopienie pojedynczego zakażonego zwierza to nie lada sztuka. Te przeżuwacze potrafią zasztywać się głęboko w lesie i czasami nie można ich wypatrzeć nawet przez lornetkę. Poza tym strzał musi być pewny, do dobrze widocznego celu, by żubr nie musiał się męczyć. – *Polowanie na żubry wymaga czasu i cierpliwości, nadto na myśliwych wytypowanych do interwencyjnych odstrzałów ciąży wielka odpowiedzialność, bo mamy do czynienia z gatunkiem ściśle chronionym* – podkreśla Wojciech Głuszko.

Szybkie reagowanie

Według prof. Kajetana Perzanowskiego, autora programu ochrony żubra na terenie Karpat, w polskich Bieszczadach populacja gatunku nie powinna przekraczać 400–450 osobników. Wynika

to z optymalnego zagęszczenia dla żubra i innych użytkownikom obszaru. – *Przy większej liczebności roślinie zagęszczenie, a to powoduje skutki w większej liczbie szkód* – dodaje prof. Wanda Olech-Piasecka. – *Żubry są gatunkiem o niewielkiej skłonności do migracji. Wędrują byki, czasem nawet na duże odległości, ale krowy bytują konserwatywnie na tym samym areale. Dlatego wzrasta zagrożenie chorobami i pasożytami.*

Obecnie w Bieszczadach, w dwóch subpopulacjach (wschodniej i zachodniej), żyje już ok. 750 żubrów (dane RDLP w Krośnie z 2023 r.). Przy takiej liczbie zwierzęta te wyrządzają coraz więcej szkód w lasach, wchodzą też w konflikt z rolnikami, bo korzystają niekiedy z tych samych łąk, na których pasie się bydło domowe. A stąd już tylko krok do rozniesienia takiej czy innej choroby. To właśnie od bydła domowego przed laty zaraziły się gruźlicą pierwsze bieszczadzkie żubry.

Tylko w rejonie Baligrodu od wiosny do późnej jesieni przebywa ok. 300 żubrów (na zimę schodzą do Nadleśnictwa Lesko). Nieco mniej w Nadleśnictwach Komańcza, Lutowska, Cisna i Stuposiany. Do tej pory nie zaobserwowano żubrów chorych na telazjozę jedynie w tym ostatnim. Bytujące w dolinie górnego Sanu niewielkie stado jako jedyne spełnia warunki wskazywanego przez ekspertów i leśników prawidłowego sposobu ochrony żubra. Chodzi o to, by stada składały się z niewielkiej liczby osobników i były od siebie odizolowane. Wtedy można skutecznie monitorować zwierzęta i szybko reagować na zagrożenia. Ponadto niewielkie zgrupowania są znacznie bardziej akceptowane przez lokalną społeczność, gdyż presja tego dużego ssaka na uprawy rolne i las jest środowiskowo tolerowana – zaznacza Jan Mazur, wiceszef Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Krośnie.

Osłabienie kondycji populacyjnej potęgowane jest występowaniem znaczącego udziału zwierząt starszych, bardziej podatnych na patogeny – tłumaczy Maciej

Żubr (*Bison bonasus*) – największy europejski dziko żyjący ssak roślinożerny. W Polsce prawnie chroniony. Masa samców dochodzi nawet do 900 kg, nieco lżejsze są samice – osiągają wagę do 650 kg. Dzielne zapotrzebowanie dorosłych osobników może przekraczać nawet 30 kg biomasy. W Polsce żubr w wolnym stanie żyje w Bieszczadach, Puszczy Białowieskiej, Knyszyńskiej, Boreckiej, Niepołomickiej i Augustowskiej, a także w Lasach Piłskich. Istnieją też zagrody pokazowe.

Ciuła z Zespołu do spraw Ochrony Zasobów Przyrodniczych w RDLP w Krośnie.

W dużych zgrupowaniach żubrów monitoring zdrowotny jest zdecydowanie utrudniony. Natomiast jakkolwiek ingerencja, polegająca na wymianie osobników między stadami (tzw. dołożenie świeżej krwi) jest bezcelowa, ponieważ chów wsobny w ubogiej genetycznie populacji podlega niekontrolowanemu nasileniu.

Stały monitoring

Dzisiaj najważniejszym zadaniem jest uporanie się z telazjozą. 25 stycznia Generalny Dyrektor Ochrony Środowiska wydał zgodę na odstrzał w Bieszczadach „do 100 dziko żyjących żubrów”. Decyzja będzie obowiązywać w latach 2023–25. W tym czasie część osobników w dobrej kondycji, zwłaszcza młodych, powinna zostać odłowiona i przesiedlona w Beskid Niski i na Pogórze Przemyskie. – *Utworzenie nowych izolowanych subpopulacji jest konieczne* – informuje wicedyrektor Jan Mazur – *choć skuteczność takich działań będzie można stwierdzić dopiero po kilku latach.* Nadto konieczne jest właściwe ukształtowanie siedlisk stanowiących późniejszą bazę żerową króla puszczy.

Prof. Kajetan Perzanowski: – *Taka akcja z jednej strony złagodziłaby ewentualne skutki przegęszczenia, a z drugiej rozproszenie populacji jest najlepszym sposobem zabezpieczenia jej ciągłości, np. w wypadku wystąpienia chorób epidemicznych. Trzeba też wprowadzić rutynowy monitoring obejmujący również pozornie zdrowe sztuki. Obecnie nasza wiedza opiera się tylko na danych pozyskanych z odnalezionych martwych żubrów lub odstrzelanych z powodu podejrzenia chorób.*

– *Należy też eliminować sztuki o obniżonej kondycji z jakimikolwiek objawami chorobowymi* – nie ma wątpliwości prof. Olech-Piasecka. – *Przemieszczenie zwierząt i stworzenie małych zgrupowań, do 30–40 osobników, może być ostatnią szansą na uratowanie bieszczadzskich żubrów.* ■

Jak ustrzelić dewizowca



Myśliwi z Zachodu, przyjeżdżający na polowania do Polski Ludowej, zostawiali tu pożądaną twardą walutę, a jednocześnie sami byli zwierzyną łowną dla Służby Bezpieczeństwa.

KRZYSZTOF POTACZAŁA

Przyjeżdżali na polowania do Polski od lat 60., ale największy boom nastąpił w latach 70. i 80. XX w. Wcześniej od nas zapraszały ich Jugosławia, Węgry i Czechosłowacja, czerpiąc z tego tytułu zyski sięgające nawet 1,5 mln dol. rocznie. Zdarzali się u nas myśliwi ze Stanów Zjednoczonych, najczęściej jednak gościli przybysze z Niemiec, Austrii, Belgii i Francji. Nie liczyli się z pieniędzmi, a za jelenia byka o medalowym wieńcu (porożu) gotowi byli zapłacić – oprócz oficjalnej stawki – jeszcze coś ekstra dla opiekuna polowania.

Tak zwani dewizowcy (od francuskiego terminu *devize*, oznaczającego środek płatniczy w obcej walucie) przyjeżdżali głównie za pośrednictwem Biura Podróży Orbis. Pieczę nad nimi sprawowali doświadczeni myśliwi z uprawnieniami selekcyjnymi do odstrzałów samców zwierzyny płowej (saren, jeleni, danieli). To oni prowadzili swoich gości w teren, pomagali ocenić wiek i poroże jelenia bądź parostki sarny. Za odstrzały Lasy Państwowe i koła łowieckie inkasowały pieniądze. Kwota zależała od wagi poroża bądź parostków – im cięższe, tym droższe. Zgodnie z przepisami tusza zostawała w Polsce, a mięso kupowały nierzadko najlepsze restauracje.

Władze potrzebowały dewiz przywożonych przez zachodnich myśliwych, ale nie zapomniały, że są to ludzie z wrogiego obozu. Podejmowano ich zakrapianymi obiadami, organizowano przyjęcia w mieszanym gronie, a jednocześnie



Zimowe polowanie zorganizowane dla turystów dewizowych, lata 70.

roztaczano nad nimi dyskretną opiekę służb. Bezpieka brała pod lupę wszystkich z obcym paszportem, a pomagali jej w tym leśnicy i myśliwi. Niektórzy angażowali się w te działania z własnej inicjatywy, innych przekonywano, że winni stać na straży bezpieczeństwa państwa.

Szpiedzy po flińcie

Każde polowanie musiało odbyć się w towarzystwie polskiego podprowadzającego. Był on niekiedy także tajnym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa bądź Wojsk Ochrony Pogranicza. Miał pilnować, by podczas tropienia zwierzyny nie zbliżyć się za bardzo do pasa granicznego z ZSRR, miał być też wyczulony na ewentualne pytania myśliwego zza żelaznej kurtyny dotyczące życia na pograniczu.

Goście z Europy Zachodniej szli na łowy ze sztucerem, ale niektórzy z nich mieli przy sobie również aparat fotograficzny. A dla polskich służb posiadacz aparatu pretendował do miana szpiega, zwłaszcza gdy oprócz ubitego jelenia zapragnął sfotografować okolicę. W takich przypadkach podprowadzający zawsze reagował, tłumacząc podekscytowanemu łowcy, że w strefie sąsiedztwa z ZSRR nie wolno robić zdjęć. Jeśli był na usługach SB – sporządzał notatkę. Na jej podstawie zapisywano dewizowca

na czarną listę. Gdy po jakimś czasie znowu przyjeżdżał do Polski, pozostawał pod szczególnym nadzorem.

Przybyłszy z krajów kapitalistycznych najchętniej wybierali regiony obfitujące w zwierzynę grubą (głównie jelenie) czy też duże drapieżniki (np. wilki). Jednym z terenów najchętniej przez nich odwiedzanych były Bieszczady i okolice. Od końca wojny, kiedy obszary te opustoszały w wyniku masowych wysiedleń ludności autochtonicznej, z roku na rok przybywało dzikiej zwierzyny. W latach 70. dla zwiększenia jej stanu – również z myślą o polowaniach dewizowych – utworzono Ośrodek Hodowli Jelenia Karpackiego. Jelenie żyły na wolności, ale dokarmiano je i dbano o prawidłowy odstrzał. Duże i zdrowe byki nosiły na głowie grube poroże, a właśnie o takie chodziło przybyłym z Austrii czy Holandii.

Pod koniec 1975 r. SB wytypowała do współpracy myśliwego, który miał doświadczenie, orientację w terenie i znał język niemiecki. 10 grudnia tegoż roku porucznik Edward Pawłowski z KW MO w Rzeszowie napisał: „Kandydat na TW jako organizator polowań dewizowych posiada możliwości wcześniejszego informowania o pobycie cudzoziemców, posiada z nimi stały i bezpośredni kontakt. Ponadto z racji zajmowanego stanowiska oraz środków porusza się na dużym obszarze przygranicznym co stwarza mu możliwości nawiązywania kontaktów z cudzoziemcami oraz sygnalizowania o podejrzanym zachowaniu się w/wymienionych. Kandydata zamierzam pozyskać na motywach współodpowiedzialności za bezpieczeństwo kraju. Wykażę, że jego możliwości udzielania informacji Służbie Bezpieczeństwa winny wynikać z poczucia obywatelskiego obowiązku. Nie mniej jednak za realizację zadań wymagających czasu i dużego zaangażowania proponuję mu rekompensatę materialną”.

Kandydat nie od razu zgodził się donosić na zachodnich kolegów „po flińcie”, ostatecznie jednak uległ presji. Od tej pory TW „Inżynier” (taki wybrał pseudonim) regularnie informował bezpiekę o kontaktach z dewizowcami, choć jego raporty nigdy nie wyszły poza ogólniki i nie stanowiły dla SB dużej wartości operacyjnej. Nie przekazał w donosach niczego, co dotyczyło zainteresowania turystów sprawami polityki czy gospodarki PRL, a nade wszystko granicy ze Związkiem Radzieckim. Czy dlatego, że nie był dostatecznie uważny i dociekliwy, czy też nikt z jego gości nie podjął takich tematów?

– *Podczas wieczornych biesiad rozmawiało się najczęściej o sukcesach łowieckich – wspominał Tadeusz Zając, myśliwy i leśnik z Lutowisk. – Czasami ktoś zapytał, jak się nam żyje w socjalistycznym kraju, ale nic więcej. Przynajmniej ja nie miałem takich doświadczeń.*

– *Dewizowcy nie byli głupcami, rozumieli, że niewygodnymi pytaniami mogą zaszkodzić i nam, i sobie. Tym bardziej że w rozmowach uczestniczyło nieraz kilka osób – opowiadał Franciszek Kaźmierczyk, myśliwy z Chmiela, który ponad 20 lat towarzyszył cudzoziemcom w łowach.*

Operacja za granicą

Zgodnie z poleceniem od SB „Inżynier” miał zdobyć takie zaufanie myśliwych z zagranicy, by zechcieli zaprosić go do siebie. Tam, na terytorium obcego państwa, powinien zebrać interesujące bezpiekę informacje oraz nawiązać kolejne kontakty.

Po jakimś czasie rzeczywiście wyjechał do Belgii. Wcześniej otrzymał wytyczne co do sposobu zachowania się w tym kraju. Zakazano mu m.in. udzielania wywiadów dla mediów oraz polecono zebranie danych o działalności klubów polonijnych i podobnych organizacji. Miał prześwietlić rodzinę, u której będzie mieszkał, ich kontakty oraz „ewentualne powiązania z wrogimi ośrodkami działającymi przeciwko PRL”. Szczególną uwagę miał zwrócić na myśliwych – tych, którzy już jeździli do Polski oraz ►

► nowych chętnych do polowań dewizowych. Niejako przy okazji prowadzący „Inżyniera” por. Pawłowski nakazał mu „wykorzystanie nawiązanych kontaktów z Polakami (szczególnie uciekinierami) do rozpoznania ich postawy politycznej oraz charakteru prowadzonej działalności”.

Za pośrednictwem swojego agenta bezpieczeństwa postanowiła przyrzec się dokładnie myśliwemu, który przyjeżdżał w Bieszczady od drugiej połowy lat 60. Niekiedy sam, innym razem z żoną. Leon T. Sersteves był emerytowanym notariuszem. W czasie pobytu w Bieszczadach mieszkał u „Inżyniera” i polował głównie w jego towarzystwie. To właśnie belgijski emeryt – w dowód wdzięczności za udane łowy i okazałe trofea – zaprosił polskiego leśnika do siebie.

Z notatki podpisanej przez majora Jana Żaka z KW MO w Krośnie: „proszę na podstawie własnych obserwacji oraz wniosków wyciągniętych z prowadzonych rozmów starać się ustalić czy pozostali członkowie rodziny L. S. (bracia, siostry lub bliżsi krewni) zajmują jakiegokolwiek stanowiska w aparacie administracyjnym szczególnie w wojsku, policji lub organizacjach politycznych”.

Identyczne zadanie TW otrzymał, kiedy znajomy myśliwy zaprosił go na trzy tygodnie do Francji. Z obydwu wizyt nie przywiózł żadnych rewelacji, a jedynie ogólne wrażenia. Być może właśnie to wpłynęło na ograniczenie współpracy w kolejnych latach. Usługi dla SB przerwał nieszczęśliwy wypadek, podczas którego leśnik doznał udaru. Przeżył, ale dla bezpieki był już nieprzydatny.

Donosy o psach i ludziach

W przeciwieństwie do tajnego współpracownika o pseudonimie „Himel”, którego SB pozyskała do współpracy w latach 60. w Warszawie. Wtedy mężczyzna pracował jako dziennikarz w Polskim Radiu, a z czasem przeniósł się w Bieszczady. Był miłośnikiem koni, pracował w nadleśnictwach. Miał niebawym wręcz „dar” do śledzenia i podsłuchiwania wszystkich, którzy wydali mu się w jakiś sposób podejrzani. Trzon jego zainteresowań stanowili jednak leśnicy i myśliwi, w tym dewizowcy. Za swoją pracę dla SB inkasował regularnie od 400 do 1000 zł, miesięcznie dorabiał co najmniej drugą pensję.

Z raportu sporządzonego 27 marca 1975 r. przez porucznika Tadeusza Matuszewskiego z Komendy Powiatowej MO w Lesku: „informacje [przekazane przez TW] dot. przede wszystkim rozwoju sytuacji i zjawiskom towarzyszącym imprezom polowań dewizowych w rejonie nadleśnictwa Lutowiska. Posłużyły m.in. do rozpoznania osobowości podprowadzających (...) oraz właścicieli kwater. Pogłębiły również dotychczasowe posiadane informacje o myśliwych zagranicznych przyjeżdżających od kilku lat w rejon nadleśnictwa Lutowiska”.

Ten sam oficer tak charakteryzował „Himela”: „Inteligentny o wyrobionym światopoglądzie, wykształcenie średnie, posiada znajomość j. niemieckiego (...). Do cech ujemnych należy zaliczyć skłonność do alkoholu”. Wspomniany TW za kołnierza nie wylewał, ale lubił też opisywać zakrapiane imprezy po udanych polowaniach z udziałem zagranicznych gości. W niektórych sam uczestniczył, choć nie był myśliwym. 15 października 1974 r. donosił w notatce do SB, że w Bieszczady przybył myśliwy z Austrii nazwiskiem Koenig. „polował u nas na Mazurach i na Węgrzech, zjeżdżał pół świata do strzelbą (...), wyrażał swoje uwagi o niewłaściwym, niegrzecznym sposobie oceniania wieńców, tj. w atmosferze kłótni i kontroli (...). Brak psów myśliwskich posokowców powoduje wielkie straty. Na terenie Nadleśnictwa Lutowiska poszło cztery postrzelone jelenie. Jeden przyszedł z obcego terenu. Żaden jeleni nie został odnaleziony. Myśliwi zagraniczni nie mogą zrozumieć, jak w takim wspianiałym łowisku jak Bieszczady – może nie być psów myśliwskich posokowców, które odnajdują

postrzałka (...). Straty finansowe w zw. z tym w br. należy szacować na pół miliona zł”.

Zatrudniony najpierw w Nadleśnictwie Stuposiany, a później Lutowiska TW miał łatwy dostęp do myśliwych z Zachodu, każdego potrafił scharakteryzować i napisać o nim kilka zdań. Informował więc SB o ich wykształceniu, zainteresowaniach, miejscu pracy, rodzinie, stopniu zażyłości z polskimi myśliwymi, jak również o tym, co sądzą o PRL. Na przykład Rudolf Schoen z Niemiec na podstawie kilkukrotnych pobytów w Bieszczadach „podkreślał dostrzeżone wielkie zmiany na lepsze w tym terenie (...), dotyczące ogólnego zagospodarowania, stanu dróg i osad”.

W innej notatce „Himel” donosił, że obywatel Niemiec Albert Mayer, z zawodu lekarz dentysta, ma żonę i dwoje dzieci, jest finansowo niezależny, a pod koniec drugiej wojny światowej był żołnierzem służby pomocniczej. „Z polowania bardzo zadowolony (...), planuje przyjazd na wilki (...). Inteligencja średnia, typowa dla dentystów z Europy Zachodniej. Dostrzegalne zainteresowanie stosunkami społeczno-gospodarczymi w PRL (...). Zdziwiony istnieniem w PRL indywidualnych gospodarstw chłopskich”.

Rodzina do raportu

Niemalą rolę w śledzeniu przybyszów z krajów kapitalistycznych odgrywały placówki WOP, współpracujące z okolicznymi leśnikami, myśliwymi i mieszkańcami przygranicznych terenów, spośród których wielu było funkcjonariuszami ORMO. To dzięki nim każdy krok dewizowca (a także zwykłego turysty) był znany. W WOP w Ustrzykach Dolnych chorąży Stanisław Kusio miał w swojej ewidencji co najmniej kilku bardzo operatywnych współpracowników. Na przykład TW „Jawor”, mimo że jako mniej doświadczony myśliwy nie podprowadzał gości z zagranicy do łowiska – to potajemnie zbierał o nich informacje od starszych kolegów z koła łowieckiego. Następnie donosił o wszystkim oficerowi prowadzącemu – również o tym, że jego koledzy dostają od cudzoziemców pieniądze i upominki. W zamian za współpracę z WOP sam otrzymywał wynagrodzenie, mógł też robić zakupy w kantynie MO, gdzie sprzedawano artykuły spożywcze zwykle niedostępne w tradycyjnych sklepach.

Reżimowe służby angażowały do inwigilacji dewizowców zarówno myśliwych, jak też ich rodziny. W 1975 r. SB postanowiła wykorzystać do współpracy córkę jednego z najbardziej znanych bieszczadzkich myśliwych, który gościł u siebie przyjeźdźców z Europy Zachodniej. Wiosną 1976 r. pojechał z rewizytą do Niemiec, a wraz z nim TW „Kasia”. Przedtem otrzymała od bezpieki zadanie szczegółowej analizy zachowań, stanu majątkowego oraz poglądów politycznych gospodarzy i ich przyjeźdźców, ze szczególnym zwróceniem uwagi na to, co mówią o Polsce. Ojciec nie miał o tym pojęcia.

Po powrocie „Kasia” napisała obszerny raport. Zwróciła w nim uwagę na panujący w RFN idealny porządek, solidne podejście do pracy oraz na to, że każdy rolnik ma ciągnik z zestawem narzędzi, a „każda rodzina posiada samochód, a nawet dwa”. Kiedy razem z ojcem i niemieckim gospodarzem wracała samochodem tego ostatniego w Bieszczady, wyraził on zdanie, że Polska się rozwija. Kiedy jechał tu w 1958 r. to „na 300 km trasy spotkał może 10 samochodów, a obecnie trudno przejechać (...), no i bardzo chwalił nasze drogi – nawet zapłacił mandat za szybką jazdę”.

Dewizowcy byli w PRL grupą równie podejrzaną co pożądaną. Można było ich nie lubić, posądzać o próby szpiegostwa, ale nie dało się z nich zrezygnować.

KRZYSZTOF POTACZAŁA

We wszystkich cytowanych fragmentach pochodzących z zasobów IPN zachowano pisownię oryginalną.

Władza zrodzona z urazy

POLITYKA

POMOCNIK HISTORYCZNY

Nr 5/2023 Cena 29,99 zł (w tym 8% VAT) Indeks: 48952 ISSN: 2191-7719 Wydanie II uzupełnione

Trzecia Rzesza 1933-1945

Jak Hitler uwiódł Niemców • 90 lat temu demokracja urodziła potwora



Już
w kioskach
i na
sklep.polityka.pl



Zapraszamy na profil <https://www.facebook.com/projekt-pulsar/>,
a także na polityka.pl/podkasty do wysłuchania rozmów
z cyklu „POLITYKA o historii”

Żołnierze wyklęci po czesku

ANDRZEJ KRAWCZYK

Czesi też toczą spór o tych, którzy krwawo przeciwstawili się nowej, komunistycznej władzy.

Czechy nie mają tradycji zbrojnych zrywów i partyzantki. Choć dodać trzeba – w nowożytnej historii. Bo czeskie „sierotki husyckie” pod koniec średniowiecza złupiły i spustoszyły pół Europy Środkowej. Wiek XIX, czas kiedy tworzyły się współczesne kultury narodowe, wytworzył w Czechach tradycję walki o prawa narodowe na drodze codziennej pracy organicznej, działań politycznych w parlamencie, rywalizacji gospodarczej i „walki” o majestatyczne budowle w Pradze, które „przyciśnięte wiedeńskie odpowiedniki” (Teatr Narodowy, Muzeum Narodowe itp.). Los oszczędził Czechom takich doświadczeń jak brutalna pacyfikacja Polski po powstaniu styczniowym. Nie musieli też bronić swojego prawa do istnienia przed najazdem w 1920 r.

Słowo „partyzant” ma potocznie nieco inne znaczenie w Czechach niż w Polsce czy we Francji. Partyzanci to ludzie, którzy w 1945 r., gdy skończyła się niemiecka władza, organizowali nowy porządek. W czasie wojny ruch oporu rozumiano raczej jako przygotowywanie struktur na powojnie i wywiad, a nie działania zbrojne.

W Czechach od połowy XIX w. pannała wiara w słowiańskiego rosyjskiego „starszego brata” i jego „prawdziwe rozumienie naturalnej, ludowej demokracji”. Czechy były jednym z bastionów europejskiego ruchu robotniczego, a w okresie międzywojennym komunistycznego. Przywódca komunistyczny i poseł do czechosłowackiego parlamentu Klement Gottwald rzucał w twarz innym posłom z sejmowej mównicy w 1929 r.: „Jeździmy rzeczywiście uczyć się do Moskwy. A wiecie czego? Od rosyjskich bolszewików jeździmy się uczyć, jak wam skrócić kark. A wiecie, że rosyjscy bolszewicy są w tym mistrzami. Jeszcze wam przejdzie śmiech”. Dla bardzo wielu ludzi lewicy było to przemówienie świetne oratorsko.

Podczas drugiej wojny od 1941 r. oczekiwano przyścia Armii Czerwonej i wyzwolenia Czech ze Wschodu. Kiedy to nastąpiło,

Milan Paumer z grupy ruchu oporu braci Mašinów przed pomnikiem upamiętniającym uczestników antykomunistycznego ruchu oporu i ofiary reżimu totalitarnego w czeskim Brnie, 2009 r.



nastał festiwal radości. Kilkaset tysięcy osób wstąpiło od razu do partii komunistycznej, po części w podzięce za zwolnienie. W 1946 r., w demokratycznych wyborach, komuniści dostali w Czechach ponad 43 proc. głosów, co było najlepszym wynikiem, jaki kiedykolwiek i gdziekolwiek uzyskali komuniści w wolnych i niesfałszowanych wyborach. W lutym 1948 r. komuniści dokonali przewrotu i przejęli władzę przy dużym poparciu społecznym.

W powyżej zarysowanym kontekście szokiem była autentycznie antykomunistyczna próba partyzancka, podjęta w Czechach w samym środku stalinizmu, w 1953 r.

Ctirad i Josef Mašinowie pochodzili ze szczególnej rodziny.

Ich ojciec był zawodowym oficerem. Miał piękną patriotyczną kartę: był żołnierzem Legionu Czesosłowackiego w Rosji, który – choć początkowo w sojuszu z „czerwonymi” – zerwał z nimi w maju 1918 r. i przedarł się przez całą Syberię do portu we Władywostoku, skąd statkami powrócił do Europy. Był to jeden z podstawowych mitów założycielskich Czechosłowacji. W 1939 r., kiedy rozwiązywano armię czechosłowacką, był podpułkownikiem i zastępcą dowódcy pułku. W utworzonym przez Niemców Protektoracie był jednym z trzech oficerów, którzy od razu założyli organizację wywiadowczą na rzecz aliantów – „Trzej Królowie”. Jednym z jej największych sukcesów było przekazanie do Londynu planów nowego niemieckiego czołgu Tygrys, który testowano w zakładach w Pilźnie.

Podpułkownik Mašin słynął z brawury. Zawsze chodził z bronią i mówił wszystkim, że nie da się aresztować żywy, a podczas próby zatrzymania będzie strzelał i postara się zabić jak najwięcej Niemców. W maju 1941 r. na skutek donosu konfidenta został złapany przez Niemców w mieszkaniu, skąd nadawano właśnie radiowy komunikat do Londynu. Bronił się, ciężko ranił jednego z gestapowców. Ujęto go rannego i ze złamaną nogą po walce wręcz. Podczas jednego z przesłuchań rzucił się na gestapowca i zaczął się z nim bić. Niemcy rozstrzelali go 30 czerwca 1942 r., nie zdejmując mu kajdanek aż do chwili egzekucji. W 2005 r. prezydent Czechosłowacji awansował go pośmiertnie do stopnia generalskiego i nadał najwyższe odznaczenie państwowe.

Braci Mašinów wychowywała babcia. Wpoila im kult ojca i nic dziwnego, że obaj chcieli zostać po wojnie, nawet w komunistycznym państwie, zawodowymi oficerami. Na przeszkodzie stanęło ich „burżuazyjne” pochodzenie – nie przyjęto ich do wojska. Jeden rozpoczął studia



Bracia Mašinowie: Ctirad (z lewej) i Josef, kopia fotografii zrobionej w USA w 1988 r.

na politechnice, drugi został kierowcą ciężarówki w okręgowej dyrekcji lasów.

Gdy w 1949 r. wykonano wyrok śmierci na czterech studentach Uniwersytetu Karola w Pradze za antykomunistyczną działalność antypaństwową i Mašinowie dowiedzieli się, że cała ta czwórka za niemieckiej okupacji działała w ruchu oporu, postanowili zemścić się na komunistycznym państwie. Zorganizowali grupę, która miała przeprowadzać zbrojne ataki na komunistów. Liczyła 5–6 osób. Drugie tyle coś wiedziało albo się domyślało. Do prowadzenia działań partyzanckich potrzebna była broń. Jedyne dostępne dla nich miejsce, gdzie mogli ją zdobyć, to były posterunki milicyjne. 13 i 28 września 1951 r. napadli na lokalne posterunki na prowincji w środkowych Czechach. W obu przypadkach zabili dyżurującego milicjanta. Ważny w tej opowieści – bo do dzisiaj przywoływany w ogólnonarodowej dyskusji – jest fakt, że obu zabili brutalnie. Jednego uderzeniem żelaznym łomem w głowę, drugiego atakując od tyłu i „komandoskim chwytem” podrzynając gardło (podrzynania gardła Ctirad Mašin nauczył się w studium wojskowym politechniki, gdzie przechodził przeszkolenie na zwiadowcę w rezerwie). Zyskali broń; pistolety i karabiny.

Bracia zostali aresztowani kilka dni później, ale... nie za napady na milicyjne posterunki, ale w konsekwencji donosu konfidenta, że chcą uciec do Niemiec zachodnich. Młodszy z braci Josef (19 lat) wyszedł z więzienia po kilku miesiącach, starszy Ctirad (21 lat) odsiedział 1,5 roku, pracując w kopalni uranu w Jachymowie.

Czekając na wyjście starszego brata, Josef przygotowywał się do dalszej działalności. Musiał zdobyć pieniądze. Z przyjacielem zorganizowali napad na samochód wiozący wypłaty do jednej z fabryk na prowincji.

2 sierpnia 1952 r. zatrzymali upatrzone auto. Bez kłopotu sterroryzowali strażnika i kierowcę. Nie zwracali większej uwagi na jadącego autem księgowego z fabryki. Zaczęli wyjmować z samochodu worki z pieniędzmi. W pewnym momencie księgowy Jan Rosicky wyciągnął ukryty pistolet. Zaczęła się strzelanina. Rosicky zginął na miejscu. Josef Mašin i jego przyjaciel uciekli.

Po wyjściu z więzienia Ctirada Mašinowie uznali, że nie mają innego wyjścia niż ucieczka na Zachód. Chcieli walczyć z komunistami, a wierzyli, że lada moment dojdzie do wybuchu wojny Wschodu z Zachodem.

Bracia skompletowali pięcioosobową grupę i w nocy z 3 na 4 października 1954 r. przekroczyli nielegalnie granicę z NRD. Zamierzali przedostać się do Berlina i tam przejść do amerykańskiego sektora. Próbowali porwać auto osobowe, ale bez powodzenia. Przez pięć dni przedzierali się w kierunku Berlina. Wieczorem 9 października wsiedli do lokalnego pociągu, który mógł ich dowieźć do małej stacji Uckro, 80 km od miasta, gdzie można było już wsiąść do podmiejskiego berlińskiego pociągu w ramach sieci NRD (pociąg, którym przyjechali do Uckro jechał dalej, do Berlina Zachodniego, i był drobiazgowo kontrolowany).

Ktoś z pasażerów pociągu musiał donieść, że jedzie nim grupa podejrzanych cudzoziemców. Na stację wysłano 11 policjantów ludowych. Kiedy Czesi byli już na peronie, próbowano ich zatrzymać. Wyciągnęli pistolety i zaczęły strzelać do zaskoczonych funkcjonariuszy. Dwóch z nich zginęło na miejscu, trzeciego ciężko rannego zabrano do szpitala. Z pięciu Czechów czterem udało się uciec; jednego złapano wśród stacyjnych zabudowań. ►

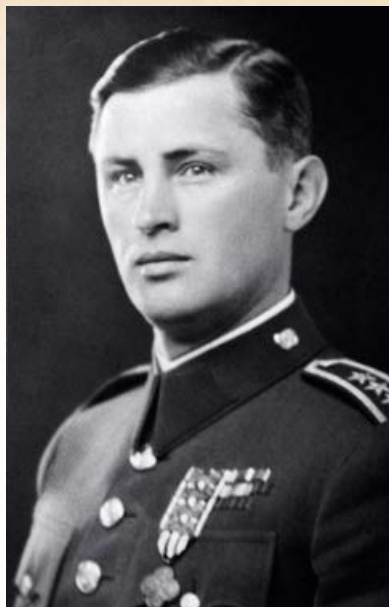
► Zorganizowano wielką obławę. Z połowy NRD ściągano setki (tak!) policjantów. Gdy minęły godziny bez żadnych rezultatów, władze wschodnioniemieckie poprosiły o pomoc armię radziecką. W co najmniej kilku garnizonach ogłoszono alarm i całe jednostki zaczęły przeczesać lasy. Oblicza się, że w obławie uczestniczyło między 20 a 25 tys. osób. Historycy niemieccy do dzisiaj zastanawiają się nad małą sprawnością policji ludowej NRD i przypuszczają, że po spacyfikowanych przez Armię Czerwoną rozruchach z czerwca 1953 r. funkcjonariusze nie chcieli ryzykować życia i nie przejawiali inicjatywy.

Po dwóch dobach natrafiono na czterech uciekinierów w środku dużego kompleksu leśnego. Las otoczyło 1200 funkcjonariuszy, ale nie kwapili się do dalszej akcji w środku nocy wobec zdeterminowanej i uzbrojonej grupy. Sprowadzono samochód z megafonem, aby po czesku wzywać uciekinierów do poddania się. Skutek był taki, że nie czekając do rana, Czesi postanowili przebić się siłą. Zaatakowali. Zastrzelili dwóch mundurowych. Trzech Czechów się przebiło. Jeden, Václav Šveda, został kilkakrotnie ranny i już nieprzytomny wpadł w ręce obławcy. O świcie okazało się, że policjanci NRD w beładnej nocnej strzelaninie pomyłkowo zastrzelili czterech swoich.

31 października Ctirad Mašín, Josef Mašín i Milan Paumer (ranny w brzech) dotarli do amerykańskiego sektora Berlina. Ctirad miał jeszcze kłopoty w ostatniej chwili z policją wschodnioniemiecką i dojechał ostatecznie do zachodniej części miasta – w scenie jak z filmu akcji – ukryty pod podłogą kolejki miejskiej. Cała trójka zgłosiła się do władz amerykańskich i zadeklarowała, że proszą o przeszkolenie spadochronowe i zrzućenie do Czechosłowacji, bo chcą dalej walczyć z komunizmem.

Amerykani nie byli zachwyceni. Traktowali całą sprawę jako kłopot. Ostatecznie w drodze wyjątku przyjęto ich do armii amerykańskiej. Zostali żołnierzami elitarniej 82. Dywizji Spadochronowej, w pododdziale komandosów. W wojsku służyli do 1959 r. Bracia Mašínowie prowadzili później warsztat samochodowy w Cleveland w Ohio, a ich przyjaciel Milan Paumer został taksówkarzem w Miami. W 2001 r. powrócił do Czech (zmarł w 2010 r.). Ctirad Mašín zmarł w Cleveland w 2011 r.; Josef żyje tam do dzisiaj.

Władze komunistycznej Czechosłowacji zemściły się surowo: obaj schwytani członkowie grupy zostali powieszani. Na szubienicy skończył także wuj braci Mašínów „za rozbudzanie w nich agresji



Ojciec, ppłk. Josef Mašín stracony przez Niemców w 1942 r.

i wrogości wobec socjalistycznego państwa”. Ich matka skazana została „za niewłaściwe ukształtowanie osobowości synów” na 25 lat więzienia i zmarła podczas odbywania kary.

Władze starały się utajnić historię braci Mašínów. Obawiano się, że każda wzmianka o nich, nawet jako o grupie morderców, może być wzorem do podobnego działania. Po 1990 r. i przywróceniu demokracji sprawa stała się powszechnie znana i dyskutowana; budziła emocje. Społeczeństwo podzieliło się pół na pół: w 2010 r. w badaniu opinii publicznej 51 proc. uznało ich za bohaterów, 49 proc. za kryminalistów. Ci, którzy uznają ich za bohaterów, uważają, że są oni wyrzutem sumienia dla wszystkich kolaborantów. Krytycy Mašínów mówią, że byli to awanturnicy bez moralnych skrupułów, a szeregowy milicjant jest potrzebnym elementem ładu społecznego i nic nie usprawiedliwia jego zabójstwa.

Dziennikarze czescy dotarli w USA do Mašínów i Paumera, którzy mówili, że chcieli rozpocząć w kraju antykomunistyczną partyzantkę i stosowali podobne zasady, jakie obowiązywały w walce z Niemcami. Milicjanci, według nich, byli częścią systemu dyktatury i zabijanie ich było tak samo chwalebne i patriotyczne jak strzelanie w czasie wojny do niemieckich żandarmów. Księgowy Rosicky, który pierwszy wyciągnął rewolwer, był agentem policji politycznej, bo tylko tacy ludzie mogli wtedy nosić broń. A zastrzeżenie agenta bezpieczeństwa uważali za rzecz pozytywną w walce społeczeństwa o wolność. W publicznej dyskusji dla pokazania niejednoznaczności działań braci Mašínów przywołano też wnuczkę zabitego

milicjanta, która w telewizji stwierdziła, że jej dziadek był katolikiem i chodził do kościoła.

Żaden z dotychczasowych prezydentów Czech nie chciał nadać braciom odznaczenia państwowego, o co regularnie wnioskuje grupa obywateli. Półprywatnym „Medalem Premiera” odznaczył ich premier Miroslav Topolánek, medalem resortowym minister obrony narodowej Alexandr Vondra. Ku ich czci odsłonięto tablice pamiątkowe na domach, w których mieszkali. Kapele punk rockowe śpiewają o nich piosenki. Václav Havel przed laty powiedział w jednym z wywiadów, że nie chciałby podać im ręki, choć uznaje, że byli częścią ruchu oporu przeciwko komunizmowi. Mašínowie odpowiedzieli na to listem otwartym, w którym zarzucili Havlowi, że jest przesiąknięty ideologią komunistyczną i nie powinien być prezydentem demokratycznego kraju. Premier Czech Petr Necas, przemawiając na pogrzebie Milana Paumera w 2010 r., powiedział, że nie mają racji ci, którzy chcieliby potępić Mašínów za ludzkie ofiary ich działań, choć życie jest najwyższą wartością. Stwierdził, że „człowiek, który nie chce stać się niewolnikiem, ma prawo walczyć o to w każdy dostępny sposób, inaczej każdy ruch oporu straciłby sens”.

Pogrzeb Paumera spowodował wzmoczoną dyskusję. Dominowały opinie, że choć Mašínowie kierowali się dobrymi intencjami, występowali przeciwko przestępczemu systemowi, to jednak użyli nieodpowiednich metod, nic nie osiągnęli, spowodowali cierpienie przypadkowych ofiar i dlatego nie powinni być stawiani za wzór.

Wielu twierdziło, że dyskusja o Mašínach to w gruncie rzeczy debata o stosunku do komunizmu. Czy można stawiać go na równi z nazistowską okupacją?

Także i w 2023 r. zgłoszono nowo wybranemu prezydentowi Petrowi Pavlowi braci Mašínów jak kandydatów do najwyższego państwowego odznaczenia, wręczanego w dniu święta państwowego, 28 października. Prezydent Pavel będzie miał problem: sam był członkiem partii komunistycznej i wyrastał w otoczeniu wojskowo-partyjnych aktywistów. Prawdopodobnie nie odznaczy bohaterów-zabójców z antykomunistycznego ruchu oporu. W jednym z wywiadów w trakcie kampanii wyborczej na pytanie o braci Mašínów odpowiedział: „Mam wewnętrzny problem z tym, że człowiek, który był związany i nie stanowił żadnego zagrożenia, został zarżnięty jak prosię. Robi mi się niedobrze i nie umiem się z tym pogodzić”.

ANDRZEJ KRAWCZYK

Twarz miasta

Jak kwitnące drzewo. Florencja średniowieczna i renesansowa, Silvia Diaciaty, Enrico Faini, Lorenzo Tanzini, Sergio Tognetti, przeł. Hanna Podgórska, PIW, Warszawa 2023, s. 350

To portret Florencji tłumaczący kulisy jej niebywałej kariery. Autorzy pokazują inną twarz tego miasta, które większość postrzega jako miejsce działalności wielkich artystów, narodzin humanizmu, włoskiej literatury i wspólnych zabytków. Ale we Florencji niebywały rozwój kultury i sztuki w późnym średniowieczu nie byłyby możliwe, gdyby nie wyjątkowe warunki, jakie panowały w tym mieście-państwie. Wskazywało kierunki

rozwoju we wszelkich możliwych obszarach: handlowo-gospodarczym, prawno-ustrojowym, społeczno-obyczajowym. Na czytelniku robi wrażenie nagromadzenie szczegółowych informacji z epoki. Zawdzięczamy je temu, że Florencja nigdy nie była zniszczona, a jej mieszkańcy zawsze lubili pisać i liczyć. Z ksiąg rachunkowych, pamiętników i zapisków wiadomo, jak działały władze, cechy, przedsiębiorstwa, jak prowadzono przynoszący olbrzymie zyski handel najwyższej klasy tkaninami z wełny i jedwabiu. Bo Florencja zawsze stawiała na jakość – i to zarówno w gospodarce, jak i w sztuce. Dlatego jej fenomenowi w dziedzinie sztuk plastycznych nie da się rozpatrywać w oderwaniu od ekonomii, artyści, uważani za rzemieślników, służyli przecież ludzkiemu biznesowi zafascynowanym ideą pozostawienia po sobie śladu w postaci dzieła podziwianego za piękno. Ta książka powinna trafić do walizki każdego, kto jedzie zwiedzać Florencję. Dzięki niej spojrzysz na nią inaczej.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Kraj konfliktów

Pokój z widokiem na wojnę. Historia Izraela, Konstanty Gebert, Agora, Warszawa 2023, s. 814

Nie będę milczeć, choć mój kraj/ Pomylił drogę/Nie mam innego kraju/Aż odnowi on swe dni/ Będę mu śpiewać”. Tymi słowami z popularnej izraelskiej pieśni patriotycznej kończy Konstanty Gebert swą autorską historię Izraela. Zaledwie w zeszłym roku



ukazała się jego znakomita książka o ludobójstwach. Teraz czytelnik otrzymuje podobnie pasjonujące dzieło o historii politycznej Państwa Izrael. Tytuł ma podwójne znaczenie: dosłowne i symboliczne. Kto choć raz odwiedził ten mały wielki kraj,

widział z okna, że znajduje się on w ciągłym pogotowiu, przygotowany do obrony w razie zagrożenia. Każdy kolejny pokój zawarty z sąsiednimi państwami arabskimi może się długo nie utrzymać. A jednak Państwo Izrael trwa i rozwija się już 75 lat. Jak to możliwe, autor opowiada m.in. na przykładzie kolejnych wojen przez to państwo stoczonych. Barwnie i ciekawie przedstawia ich zwycięski przebieg, ale wskazuje również zmarnowane przy ich okazji szanse. Stara się uniknąć stronniczości, ale nie kryje, że w tych konfliktach, włącznie z palestyńskim, „większość” (czyli nie wszystkie) racji była po stronie państwa żydowskiego, a nie jego wrogów. Dziennikarska uczciwość tej opowieści każe mu dodać, że ta przewaga racji Izraela z upływem czasu słabnie, a do zagrożeń zewnętrznych doszło nowe – wewnętrzne, odkąd kraj podzieliły głęboko rządy prawicy „Bibi” Netanjahu, o czym opowiada w części końcowej.

ADAM SZOSTKIEWICZ

Intrygi zimnej wojny

Berliński szach-mat, Giles Milton, przeł. Marek Fedyszak, Oficyna Literacka Noir sur Blanc, Warszawa 2023, s. 496

Kto powiedział, że opowieści w stylu płaszcza i szpady przynależą do świata literackiej fikcji? Wartka akcja, intrygi, niespodziewane zwroty akcji, tajni emisariusze i mocno zarysowani bohaterowie – Giles Milton dowiódł,



że potrafi pogodzić te dwa światy i tchnąć życie w historyczny materiał. Scenografią jego opowieści jest zmieniony w gruzowisko Berlin w pierwszych miesiącach po zakończeniu drugiej wojny światowej. Jej osi są zaś narodziny rywalizacji zachodnich aliantów

ze Związkiem Radzieckim. Autora nie interesuje jednak geopolityka czy ideologiczne spory. Milton skupia się na osobowościach. I trzeba przyznać, jest bardzo zdolnym portrecistą. Jego bohaterowie – wojskowi, dyplomaci i cywile – jawią się nie jako pionki na szachownicy historii, ale ludzie, którzy kształtują ją swoimi decyzjami. Równorzędnym bohaterem książki jest sam Berlin. Milton bardzo plastycznie ukazał przeobrażenie miasta ze stolicy III Rzeszy w epicentrum zimnej wojny. Nie traci z oczu jego mieszkańców – ludzi zdezorientowanych, sieroty po niedoszłym imperium Hitlera, których jedynym pragnieniem jest przeżyć. „Berliński szach-mat” nie stawia śmiałych tez, nie zawiera też nowych informacji o genecie zimnowojennej rywalizacji. Stanowi jednak ogromnie satysfakcjonującą lekturę, która pozwala dostrzec, że historia ma ziarnistą budowę, a nawet za największymi procesami i wydarzeniami stoją żywi ludzie.

TOMASZ TARGAŃSKI

REKLAMA

MARGINESY



**MORDERCA?
BOHATER?
REWOLUCJONISTA?**

POZNAJ LEGENDY
O JAKUBIE **SZELI!**



na ekranie

Przebłyski geniuszu 4/6

Oppenheimer, reż. Christopher Nolan, prod. USA, Wielka Brytania, 180 min

Reżyserska precyzja Christophera Nolana jest imponująca: „Oppenheimer” to film-monument, w którym nie ma przypadkowych kadrów, dźwięków, cięć montażowych. Hipnotyzujący klaustrofobiczną atmosferą: ekran ciasno wypełniają twarze bohaterów, kamera Hoyte’a van Hoytemy wydobywa z nich wszystkie pory, zmarszczki i krople potu, podkreśla faktury marynarek i mundurów, wylapuje snujący się dym z papierosów. Nolan niemal dosłownie pozwala przenieść się w czasie, do dusznych sal wykładowych, gabinetów, laboratoriów, w których trwały prace nad bombą atomową, wreszcie na pustynię Nowego Meksyku, gdzie odbył się pierwszy w historii test atomowy, zainscenizowany tu zresztą w sposób budzący jednocześnie podziw i przerażenie. Biografia Roberta Oppenheimera – **Cillian Murphy** gra go fenomenalnie, z pełnym skupieniem – łączy się z politycznym thrillerem, kłamrą opowieści są wyjaśnienia naukowca przed komisją, która oskarża go o wspieranie komunistów i zdradę, kolejne zeznania powoli

odsłaniają skomplikowany, niejednoznaczny charakter „ojca bomby atomowej”. Jednak tam, gdzie Nolan-reżyser zachwyca, zawodzi Nolan-scenarzysta. Próbuje w trzygodzinnej historii zmieścić tak wiele materiału, że zwłaszcza pierwszy akt filmu przypomina wystawną ekranizację notki encyklopedycznej. Oppenheimer bierze udział w wykładach, naradach i imprezach, spotyka kolejnych luminarzy nauki (często granych przez pierwszorzędną aktorów), polityków i generałów, z których większość pojawia się w filmie tylko na kilkadziesiąt sekund, by zniknąć bezpowrotnie. To opowieść gęsta, bardzo intensywna, lecz zarazem bardzo mało angażująca. Przynajmniej do czasu, gdy śmiertcionośny wynalazek z naukowej idei zmienia się w narzędzie masowej zagłady, zaś Oppenheimer zaczyna zdawać sobie sprawę z konsekwencji swoich czynów, z tego, że stał się „niszczycielem światów”. Film Nolana, mistrzowski pod względem formalnym, będzie się na pewno liczył podczas przyszłorocznego rozdania Oscarów, lecz ma w sobie jedynie przebłyski geniuszu.

JAKUB DEMIAŃCZUK

na ekranie

Realny świat Barbie 4/6

Barbie, reż. Greta Gerwig, prod. USA, Kanada, 114 min

Nowory film Greta Gerwig, jak przystało na autorkę „Małych kobietek” i „Lady Bird”, to kolejny feministyczny manifest. Zrealizowany dla odmiany w mocno umownej, postmodernistycznej manierze z zaskakującymi odniesieniami do twórczości Kubricka, musicali Gene’a Kelly’ego, bajki o Pinokiu czy mitu o Adamie i Ewie. Dorośli mogą liczyć na dobrą zabawę, lecz na poziomie zaawansowanego współczesnego dyskursu o biologicznej i kulturowej płci, nierównościach w traktowaniu kobiet, męskiej władzy jest to jednak propozycja nie do końca satysfakcjonująca. Raz, że nie tak rewolucyjna i wywrotowa, jak należałoby się spodziewać (adresowana jest do zdecydowanie młodszej widowni). Dwa, że historia ucłowieczenia Barbie, granej przez **Margot Robbie**, uświadamiającej sobie, że raj nie trwa wiecznie, a siostrzana idylla w pastelowej Barbielandzie, gdzie wszystkie Barbie się kochają i wspierają, to tylko matrix zorganizowany przez chciwych facetów z korporacji – zatrzymuje się tam, gdzie zaczynają się dzieła rzeczy najciekawsze. Mimo sporych ambicji polegających na przedstawieniu karykaturalnej walki matriarchatu z patriachatem, „Barbie” bliżej do komedii familijnej. Z elementami satyry, kpiącej ze sztandarowego produktu firmy Mattel (żeby było jeszcze śmieszniej, głównego współproducenta filmu): plastikowej lalki, symbolu i narzędzia, jak chcą jedni, emancypacji kobiet przez dekady albo – jak uważają inni – przeciwnie: uprzedmiotowienia kobiet.

JANUSZ WRÓBLEWSKI



festiwale

Kino nad Wisłą

BNP Paribas Dwa Brzegi, 17. Festiwal Filmu i Sztuki, 29 lipca – 6 sierpnia, Kazimierz Dolny i Janowiec nad Wisłą

Atrakcyjny program z głośnymi tytułami to norma festiwalu prowadzonego przez Grażynę Torbicką. Na inaugurację – tym razem polska prapremiera komediodramatu w stylu Charliego Chaplina „Opadające liście” Akiego Kaurismäkiego (Grand Prix w Cannes). Drugim filmem otwarcia będzie dramat historyczny „Porwany” włoskiego mistrza Marco Bellocchio o wychowywanym przez katolicki zakon żydowskim dziecku. Miłośnicy dobrego kina przypomną sobie

twórczość m.in. kultowego twórcy amerykańskiego Johna Cassavetes („Gloria”, „Mężowie”, „Minnie i Moskowitz”) oraz zmarłego 23 lata temu Wojciecha Jerzego Hasa, jednego z najbardziej oryginalnych polskich reżyserów, tu uzupełnieniem retrospektywy będzie pokaz filmu dokumentalnego „Rysopis znaleziony po latach”

Sławomira Rogowskiego i Stanisława Zawislińskiego. Gościem specjalnym festiwalu będzie wybitny dokumentalista Paweł Łoziński. Oprócz „Filmu balkonowego” będzie można obejrzeć także jego inne dzieła, w tym: „Nawet nie wiesz, jak bardzo Cię Kocham”, „Panią z Ukrainy”, „Ojca i syna”, „Chemię” czy „Miejsce urodzenia”. Ponadto koncerty, wystawy, spotkania i przegląd „100 lat Warner Bros.”.

J.W.
Szczegóły: dwabrzegi.pl



w telewizji

Sekrety i kłamstwa 5/6

Stworzenia boże (God's Creatures), reż. Saela Davis, Anna Rose Holmer, prod. Irlandia, Wielka Brytania, HBO Max

W małej rybackiej wiosce pojawia się po dłuższej nieobecności Brian (**Paul Mescal**). Kilka lat wcześniej niemal bez słowa wyjechał do Australii, teraz niespodziewanie wraca, chce odnowić podupadającą rodzinną fermę ostryg. Najbliżej si przyjmują jego powrót oziębłe, jedynie matka (**Emily Watson**), choć nie ukrywa zaskoczenia, stara się wesprzeć syna, nawet jeśli oznacza to drobne wykroczenia przeciwko prawu. A gdy Brian zostanie oskarżony o gwałt, kobieta postanawia chronić go za wszelką cenę. Ten film jest niczym irlandzkie wybrzeże, na którym rozgrywa się akcja: surowy, depresyjny, wywołujący przeczucie nieuniknionej klęski. Jego bohaterowie żyją w nieustającym

emocjonalnym kryzysie, w związkach znaczonej agresją, kłamstwem, w najlepszym razie inercją. Scenariusz „Stworzeń bożych” nie odkrywa przed widzami nowych prawd: opowiada raczej doskonale znaną historię przemocy wpisanej w społeczną tkankę i głęboko skrywanych rodzinnych sekretów. Lecz znakomici aktorzy zdołali wydobyć ze sztafki fabuły sporo gorzkiej prawdy o życiu. Paul Mescal, tuż po nominowanym do Oscara występie w „Aftersun” (też do obejrzenia w HBO Max), po raz kolejny potwierdza, że należy do najciekawszych gwiazd młodego pokolenia. A jednak ekran należy do Emily Watson, poruszającej w roli zmęczonej życiem kobiety, która nie chce uwierzyć w winę swojego syna. JD

w telewizji

Wokół kasy 4/6

Pełne koło (Full Circle), twórcy serii: Ed Solomon – Steven Soderbergh, 6 odc., HBO Max

Nowy miniseria autorstwa spółki Ed Solomon – Steven Soderbergh, twórców „Mozaiki” z Sharon Stone, to znowu układanka ze zbrodnią w tle i gwiazdorską obsadą na pierwszym planie. Tym razem trupem pada członek gujańskiego gangu z nowojorskiego Queensu, a odpowiedź jego szefowej – porwanie syna z białej, bogatej i znanej rodziny z serca Manhattanu, narysowany w parku Washington Square okrąg, specyficzna wysokość okupu i godzina jego dostarczenia – stopniowo odsłaniają nieoczywiste powiązania i sekrety sprzed lat. Z pieniędzmi w samym centrum opowieści.



W sprawę wplątane zostają nastolatki z Gujany, śledztwo prowadzi irytująco pewna siebie, łamiąca zasady i wszystkowiedząca inspektorka z urzędu pocztowego Melody Harmony (Zazie Beetz), a całość, intrygująco filmowana, łączy kryminał, zagadkę, kulturę Gujany i temat wyzysku (post)kolonialnego. Wszystko to w szczęściu odcinkach i w dość naciągany sposób, bo fabuła, psychologia bohaterów i ich dramaty podporządkowane są łamigłówce: wątki muszą się domknąć, rozsypane puzzle złożyć w obrazek. Aktorzy – m.in. **Dennis Quaid**, Jharrel Jerome, CCH Pounder i Jim Gaffigan oraz Gerald Jones, Sheyi Cole i Adia – starają się w ramach tych ograniczeń stworzyć postacie, a nie tylko (stereo)typy. Najbliższe sukcesu są dostający najwięcej ekranowego czasu **Claire Danes** i **Timothy Olyphant**, grający rodziców, którzy w obliczu tragedii muszą zmierzyć się ze swoją przeszłością i wymyślić przyszłość.

ANETA KYZIOŁ

książki Fragmenty książek na stronie: www.polityka.pl/czytelnia

Niezagojone rany 5/6

Phil Klay, **Przerzut**, przeł. Krzysztof Cieślak, Wydawnictwo Cyfranka, Warszawa 2023, s. 304

Już na pierwszej stronie Phil Klay zmusza czytelników do skoku w środek piekła. Po przeczytaniu otwierającego książkę akapitu: „Zabiliśmy psy. Nie przypadkiem. Robiliśmy to celowo, nazywaliśmy operacją Scooby. Jestem psiarzem, więc dużo na ten temat myślałem”, trzeba się mocno zastanowić, czy na pewno chce się czytać kolejne. Warto się jednak przełamać. W debiutancim zbiorze, częściowo opartym na własnych doświadczeniach ze służby w Iraku, Klay oddaje głos uczestnikom wojny. Dwanaście opowiadań, dwanaście punktów widzenia: szeregowców i oficerów, bohaterów i cwaniaków, tych, którzy próbują wrócić do normalnego życia, i tych, którzy cynicznie grają bitewnym doświadczeniem dla własnych korzyści. Klay nie porywa się na epicki fresk



– „Przerzut” to wojna oglądana w skali mikro, wręcz intymnej, przez pryzmat traumatycznych wspomnień i odniesionych na polu walki ran: czasem fizycznych, częściej psychicznych. Zapis bólu, niepewności, rozczarowania i zagubienia, a z drugiej strony patriotycznego uniesienia młodych ludzi, dla których armia jest jedyną szansą na ucieczkę od szarej rzeczywistości. „Wciąż popieram wojnę. Tylko nie gościa, który ją prowadził”, mówi jeden z bohaterów. Irak i Afganistan w prozie Klaya stają się pokoleniowym doświadczeniem, jakim trzydzieści lat wcześniej był Wietnam. Zresztą z bogatej literatury wojennej najbliższej „Przerzutowi” chyba do „Rzeczy, które nieśli” Tima O'Briena: równie intensywny, brawurą przesłaniający rozpacz i pustkę.

JAKUB DEMIAŃCZUK



Miłość i rasizm 4/6

Caleb Azumah Nelson, **Otwarte wody**, przeł. Mariusz Gądek, Wydawnictwo Drzazgi, Okoniny 2023, s. 208

Zaczyna się od pożądania. Pierwszy raz zobaczyli się w pubie w Londynie. Ona była ze swoim chłopakiem, on nie mógł oderwać od niej wzroku. Nelson, chwalony brytyjsko-ghański pisarz i fotograf, ujmująco opisuje te wszystkie niewidzialne nici, które zazwyczaj łączą dwoje ludzi będących pod swoim urokiem. Przez długi czas nic się między nimi nie dzieje, bo są przyjaciółmi. Nawet kiedy nocują razem, kiedy ciało rozmawia z ciałem, rano upewniają się nawzajem, że nie doszło do niczego. Równoległe z tym przyciąganiem ciała, z rytmem muzyki, która przenika tę opowieść, pojawia się inna historia, która wychodzi z czasem na plan pierwszy: lęk przed przemocą, powtarzające się akty agresji policji wobec czarnoskórych chłopaków. Bohater chciałby być kuloodporny. Ma coraz bardziej intensywne wrażenie, że wszyscy na niego patrzą, ale nikt go nie widzi. Oprócz policji, która na podstawie samego wyglądu wysuwa wnioski o jego przestępczej działalności. Bohater jest świadkiem kilku takich akcji, wie, że to kwestia czasu, kiedy przyjdą po niego. Nie czuje się bezpieczny, chciałby być w miejscu, które mógłby nazwać domem. I nie jest w stanie tego wszystkiego wyjaśnić dziewczynie. Ta książka jest zapisem drgań emocji i to niesie ze sobą problem stylistyczny. Po pierwsze, w polszczyźnie narracja w drugiej osobie, czyli: „widzisz”, „robisz”, sprawia na dłuższą metę wrażenie sztucznej, a po drugie – skupienie tylko na emocjach ociera się miejscami o ton egzaltacji. Chyba że będziemy tę opowieść czytać przede wszystkim jako dłuższą balladę, wydartą z trzewi piosenkę o miłości i rasizmie, wtedy to rozedrganie emocjonalne bardziej pasuje.

JUSTYNA SOBOLEWSKA



Szwance i szmundi 5/6

Felicia Berliner, **Szmuc**, przeł. Tomasz Wyżyński, Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2023, s. 296

Rajzla, 18-letnia chasydka, odbiega od norm, a już na pewno nie mieści się w ciasnych ramach ortodoksji, w którą próbują ją wtłoczyć rodzice i środowisko. Przekracza kolejne granice trochę mimowolnie. Chce studiować księgowość i wesprzeć rodzinę finansowo, więc musi mieć laptop – już samo to jest odstępstwem od reguł. Po nitce do kłębka internet odsłania przed nią rozmaite tajemnice z całym dobrodziejstwem inwentarza.

I pornografią. Rajzla nie może się oderwać, z ekranu czerpie całą swoją wiedzę o seksie, filmy erotyczne stają się jej conocną obsesją. A przede wszystkim zniechęcają do randkowania i swatania, na które w swojej społeczności jest skazana. Wspaniała i często zabawna jest ta niewinno-wulgarna narracja, która dzieje się w głowie bohaterki, szukającej pomocy u terapeutki, onieśmielonej, pogubionej między surowymi zasadami i pokusami. Nieprzystającej ani do stereotypowej chasydzkiej rodziny, ani do znacznie lepiej zorientowanych w sprawach seksu (i nie tylko seksu) rówieśników na uniwersytecie. Rajzla wszędzie widzi szwance (penisy) i szmundi (waginy). Wie, że „psalmy nie powstrzymają porno”. Wszystko kręci się wokół niego, nawet szabas: „Postpornograficzny zachód słońca na początku szabasu zmienia się w nerwowe, pełne lęku i targowania się oczekiwania na zakończenie szabasu”. Odświeżająca, celowo obrazoburczą proza Felicii Berliner to studium nie tyle nałogu, ile życia w zamkniętej, zasadniczej społeczności. Ale też opowieść o opresji, wyzwoleniu i wolności.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

na płycie

Chopin, Franchomme i... Jane B. 5/6

Camille Thomas and Friends, **Chopin Project**,
Deutsche Grammophon

Do tego ambitnego projektu, zrealizowanego z pasją, francuska wiolonczelistka Camille Thomas była szczególnie predestynowana. Od czterech lat bowiem, dzięki Nippon Music Foundation, gra na stradivariusie, który niegdyś należał do serdecznego przyjaciela Chopina, Auguste'a Franchomme'a. Do projektu zaangażowała swoich muzycznych przyjaciół, przede wszystkim pianistę Juliana Brocala, który występuje w większości dzieł na wiolonczelę i fortepian (w paru zastępuje go inny znakomity pianista Lucas Debargue). Album składa

się z trzech płyt. „Chopin for Cellists” to transkrypcje fortepianowych utworów Chopina na wiolonczelę i fortepian, dokonane przez Franchomme'a, ale też Aleksandra Głazunowa, Fritza Kreislera czy Miszę Maysky'ego, a także samą solistkę. „Complete Chamber Music” – to wszystkie dzieła Chopina z udziałem wiolonczeli (w Trio dołącza skrzypki Daniel Hope), wreszcie „The Franchomme Legacy” – to transkrypcje utworów Chopina dokonane przez Franchomme'a na cztery wiolonczele, ale też kilka jego własnych dzieł. Pierwsza z płyt zawiera jako bonus ostatnie, jak się okazuje, nagranie zmarłej właśnie Jane Birkin (więcej na s. 80), zaproszonej do wykonania pamiętnej piosenki „Jane B.”, opartej na Preludium e-moll Chopina.

DOROTA SZWARCMAN



w galerii

Niemiecka finezja 4/6

Szaleństwo rokoka!, Pawilon Czterech Kopuł Muzeum Narodowego,
Wrocław, do 14 stycznia 2024 r.

Potocznie Dolny Śląsk tak się mniej więcej kojarzy z rokokiem jak Władysławowo z romantyzmem i cichym urlopem. A jednak... Dyrektor wrocławskiego Muzeum Narodowego Piotr Oszczanowski postanowił udowodnić, że nie należy ulegać stereotypowemu myśleniu i nie tylko Francuzcy malarze ślicznotek z pieskami powinni nam się kojarzyć z tą ciekawą skądinąd epoką w historii sztuki. Zgromadzono więc imponującą liczbę ponad 500 eksponatów, które mają udowodnić, że i Wrocław miał spore zasługi w kreowaniu sztuki dekoracyjnej i finezyjno-fantazyjnej. O wystawie da się powiedzieć wiele dobrego. Mimo swej obfitości nie jest nużąca, bo zróżnicowana – prezentowane są rzeźby, obrazy, grafiki, ale też książki, meble, stroje, medale, rzemiosło artystyczne i wiele innych. Bywa intrygująca,

gdy obiekty z przeszłości konfrontowane są ze współczesnymi dziełami sztuki, które mają dowodzić niesłabnącej inspiracji, jakiej dostarcza rokoko. Są wśród nich m.in. zabawny film Katarzyny Kozyry, intrygująca instalacja Olafa Brzeskiego, zaskakujące figurki porcelanowe grupy AES+F, ale też obrazy Łukasza Korolkiewicza, a nawet Tadeusza Brzozowskiego. Zadbano o staranne opisy, ciekawą aranżację, niepowierzchowne, wszechstronne podejście do tematu, logiczną narrację. Ale nie łudźmy się: dawni śląscy mistrzowie, choćby nie wiem jak się starali, to jednak nie mają szans (z małymi wyjątkami) stać w szranki z, mającymi wyrafinowanie i lekkość we krwi, Francuzami. Z drugiej strony, rokoko to zawsze rokoko i nawet jego przyciężkawa momentami odmiana warta jest dwugodzinnego zwiedzania.

PIOTR SARZYŃSKI

festiwale

Renesans dramatu

9. edycja Festiwalu Stolica Języka Polskiego, Szczecznyszyn i Zamość, 30 lipca – 5 sierpnia

Szczecznyszyn umościł się już trwale na literackiej mapie Polski i na Roztoczu (dostał niedawno certyfikat Turystycznej Marki Roztocze) – tu kultura nie konkuruje, a koegzystuje z naturą. W tym roku festiwalowi patronuje Sławomir Mrożek, a uznani twórcy opowiedzą m.in. o szykowanej biografii (Anna Nasiłowska), poglądach autora na świat (Antoni Libera), wreszcie o życiu z nim na co dzień (Susana Osorio-Mrożek). Wydarzeniem będzie towarzysząca wystawa jego genialnych rysunków, współorganizowana przez warszawskie Muzeum Karykatury. Będzie też oczywiście

mowa o teatrze, bo Mrozek przede wszystkim był wybitnym dramaturgiem. Dramat przeżywa teraz w Polsce renesans, dużym wydarzeniem literackim okaże się na pewno premiera zbioru Wiesława Myślińskiego, a jeden z zawartych tam utworów, „Złodziej”, zostanie w Szczecznyszynie odczytany (wystąpią Jerzy Radziwiłowicz, Adam Ferency, Grażyna Barszczewska, Robert Więckiewicz i Michał Wójtcwicz). W programie prócz tego szereg spotkań autorskich wokół gorących premier ostatnich miesięcy (Joanna Bator, Inga Iwasiów, Zyta Rudzka, Szczepan Twardoch, Mikołaj Grynberg),



obchody 100. rocznicy urodzin Wisławy Szymborskiej, interesująco zapowiadające się spotkania o języku mediów i sieci, i osobny maraton wydarzeń dla najmłodszych czytelników. A poza programem: wszechobecna zieleni i spacerzy nad Wieprzem. Aż
Szczegóły: stolicajezykapolskiego.pl

80. urodziny **Micka Jaggera** to dobry moment, by zauważyć pewną zmianę. Kiedyś rockmani przesuwali granice tego, co można zrobić na scenie. Dziś – tego, jak długo można to robić.

BARTEK CHACIŃSKI

J

eśli ktoś już zna The Rolling Stones, będzie miał pokusę, żeby traktować ich jak stare dziadygi” – zaczął swoją relację z koncertu dziennikarz „New York Timesa”. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie rok publikacji: 1981. Tekst wskazuje na „świętą formę fizyczną” Micka Jaggera – wówczas... 38-letniego. Jak widać, historia odmierzania gwiazdom czasu na scenie w muzyce pop nie zaczęła się wczoraj.

Granica wieku emerytalnego w tej sferze jest zresztą bardzo umowna. A zbudowana na micie młodości scena muzyki popularnej – tego niebываłego odkrycia czasów powojennych – cały czas zmienia zdanie co do granicy wiekowej, po której przekroczeniu wygibasów na scenie już wykonywać nie wypada. Przypominała o tym ostatnio historia Tiny Turner. Ostatnio żegnano ją jako gwiazdę, która potrafiła skończyć karierę i godnie się starzeć, a jednocześnie przypomniano, że w wieku 45 lat, gdy triumfalnie wróciła na listy przebojów, odnosiła największe sukcesy, i nazywano ją – także u nas – „rockandrollową babcią”.

Mick Jagger, kończący 26 lipca 80 lat, stał się papierkiem lakmusowym scenicznej długowieczności. Cher, zapytana kiedyś, czy nie jest za stara na scenę, odpowiedziała: „Pytaj lepiej Micka Jaggera”. Nie to, żeby Stonesom nie zdarzało się czegoś odwołać albo przesunąć. Były już przypadki opóźnień tras koncertowych po niefortunnych upadkach z drabiny czy z palmy, ale to domena Keitha Richardsa. Kłopoty Micka Jaggera wydają się przy tym lepiej skontrolowane: zdarzyło mu się odwołać koncerty w Las Vegas z powodu zapalenia krtani, a później przesunąć trasę ze względu na problemy z sercem – cztery lata temu zdiagnozowano u niego zwężenie zastawki aortalnej. Po zabiegu implantacji stentu i sześciu tygodniach rehabilitacji świat mógł podziwiać filmik z treningiem tanecznym Jaggera, a później oglądać go we własnej osobie na scenie, na dalszych występach w ramach No Filter Tour. Jeszcze w ubiegłym roku zespół koncertował w Europie (już bez zmarłego w 2021 r. perkusisty Charliego Watts), a 79-letni Jagger – co zostało udokumentowane filmowo – biegął po scenie, choćby na sztokholmskim stadionie Friends Arena.

W emitowanym na HBO odcinkowym dokumencie „Moje życie w Rolling Stonesach” tajemnicę Jaggera zdradza Ronnie Wood,

Rock nie wyrok



© PAUL BERGEN/REDFERNS/GETTY IMAGES, BARRY BRECHER/REISEN/GETTY IMAGES, MATTHEW BAKER/GETTY IMAGES



Iggy Pop



Pete Townshend

kolega z zespołu: „Ma lepszą samokontrolę i jest bardziej zorganizowany, niż mu się wydaje”. Sekret nie jest bowiem to, że wokalista grupy dba o zdrowe odżywianie i odpowiedni tryb życia, włącznie ze snem do 10 godzin. Spędza też czas na siłowni, a na co dzień ćwiczy sprinty, bo w ciągu jednego koncertu potrafi – jak sam twierdzi – przebiec od 12 do 19 km, w zależności od dyspozycji danego dnia. Przede wszystkim już trzy dekady temu Jagger ograniczył alkohol i odstawił inne używki. Jerry Hall, jego wieloletnia partnerka, narzekała nawet, że od tej pory stał się nudziarzem. Sam rockman w programie telewizyjnym Davida Lettermana, w którym wystąpił przed 70. urodzinnymi, został poproszony o wymienienie 10 rzeczy, których nauczyły go dekady sławy. I tak opisał miejsce pierwsze: „Zaczynasz grać rock’n’rolla po to, żeby mieć szansę na seks i narkotyki, a kończysz, biorąc narkotyki po to, żeby mieć jeszcze szansę na rock’n’rolla i seks”.

Bo też na stałą rutynę Jaggera trudno patrzeć, pomijając życie seksualne. Tu frontman The Rolling Stones aktywność stawia ponad wiernością. Regularnie zmieniał partnerki i angażował się w pozamałżeńskie związki, czego dowodem jest ośmioro dzieci, które ma z pięcioma kobietami – najmłodsze ma lat siedem, a matką jest amerykańska tancerka baletowa, aktualna 36-letnia wybranka wokalisty. W tej aktywnej podróży poprzez życie nie przeszkadzają na pewno geny: ojciec Jaggera, były gimnastyk, a później nauczyciel wychowania fizycznego, przeżył 93 lata.

Równie długa jak życiorysy bohaterów kultury popularnej lat 60. jest tylko historia ich kłamstw na temat młodości.

Jack Weinberg, autor słynnych słów „nie wiercie nikomu po trzydziestce”, amerykański aktywista polityczny i klimatyczny, syn polskich emigrantów, ciągle żyje (ma 83 lata) i przez wiele dekad od ukończenia 30. roku życia ciągle doradzał innym. Ale to Jagger wiódł prym w tej kategorii: „Rzucę to, gdy będę miał 33 lata” – mówił w wywiadzie w 1972 r. „To jest moment, kiedy człowiek powinien się wziąć za coś innego. Nie wiem tylko jeszcze, co to będzie. Ciągle się nad tym zastanawiam, ale to nie będzie show-biznes. Nie chcę być przez całe życie gwiazdą rocka. Nie chciałbym skończyć jak Elvis Presley, śpiewając w Las Vegas dla tych wszystkich gospodyń domowych i starszych pań przychodzących na koncerty z torebkami. To chore”.

Oczywiście później wielokrotnie grał w Las Vegas, nie narzekając na publiczność. Trzeba jednak przyznać, że często sam sobie w tej materii zaprzeczał: „Kiedy miałem 17 lat, poszedłem po raz pierwszy na koncert Johna Lee Hookera i pomyślałem: Jaki on stary, chyba długo już nie pociągnie. A on musiał mieć wtedy ze 38 lat [miał 43, zmarł w 2001 r. – red.]. I cały czas jest z nami. Albo jesteś martwy, albo jedziesz z tym dalej”. 77-letni dziś Neil Young, autor piosenki „Hey Hey, My My” ze słynną frazą „it’s better to burn out than to fade away” (często tłumaczonej jako „lepiej spłonąć, niż się wypalić”), wykorzystaną w liście pożegnalnym Kurta Cobaina, wielokrotnie musiał się tłumaczyć, że to reakcja na śmierć Elvisa albo że niekoniecznie oznacza śmierć. „Co powinienem teraz zrobić, gdy mam 65 lat? Iść na emeryturę?” – pisał w swojej biografii „Marzenie hippisa”. „Nie ma mowy”. Właśnie wyruszył w pierwszą od wybuchu pandemii trasę koncertową.

Z kolei Pete Townshend, autor tekstu „mam nadzieję, że umrę, zanim się zestarzeję” z piosenki „My Generation” The Who (1965 r.), przyznawał z pokorą, że ambicji, którą opisał wtedy, mając 19 lat, nie udało mu się zrealizować i „próbuję to sobie zrekompensować, starając się być szczęśliwym człowiekiem”. Kiedy oddajemy ten tekst do druku, właśnie kończy ze swoim zespołem kolejną trasę koncertową po Wielkiej Brytanii jako 78-latek.

Jeśli więc nie do przedwczesnej śmierci, to może w takim razie do pierwszej kontuzji? „To oczywiste, że w pewnym ▶

► momencie zaczynasz już chodzić po scenie na trzęsących się nogach, trudno wtedy się nie wyrwać i nie złamać biodra – wówczas trzeba z tym skończyć” – pouczył kiedyś kolegów Joe Perry z Aerosmith. Ten sam, który jako 72-latek zagrał właśnie w Dolinie Charlotty na Festiwalu Legend Rocka z zespołem Hollywood Vampires.

W obliczu niesłabnącego zainteresowania rockiem kontuzje jego wykonawców rzadko jednak okazują się przeskodą. Kiedy przed siedmioma laty Axl Rose złamał kość stopy na pierwszym koncercie reaktywowanego Guns N' Roses, trasa nie została nawet przerwana, a wokalista śpiewał z ustawionego na scenie tronu, a za kilka tygodni na siedząco witał jeszcze publiczność AC/DC. Tron pożyczył od Dave'a Grohla z Foo Fighters, który niezwykłą żywotnością błysnął w 2015 r. na koncercie w Szwecji. Spadł wtedy ze sceny i wyniesiono go na noszach, ale nie dał sobie nawet odebrać mikrofonu i cały czas komentował sytuację. „Wygląda na to, że złamałem nogę” – krzyczał do publiczności. „Naprawią mi ją i zaraz do was wracam!”. Wrócił, z pomocą wyraźnie niezadowolonego ratownika medycznego, który unieruchamiał mu nogę (rzeczywiście złamaną) na scenie, podczas gdy Grohl dalej grał i śpiewał, kończąc występ.

Na podobnej zasadzie Ace Frehley z grupy Kiss (72-lata, grał niedawno w Polsce) został porażony prądem na koncercie – i dokończył, a później jeszcze napisał o tym piosenkę ze słowami „Nie odłączaj mnie od prądu”. Alice Cooper wbił sobie kiedyś szpadę w nogę, zamiast wbić ją w podłogę, trysnęła krew, co publiczność wzięła oczywiście za pożądany efekt i biła brawo. A James Hetfield z Metalliki (grają w Polsce za rok) doznał poparzenia drugiego stopnia, kiedy 30 lat temu podczas koncertu przypiekiły mu ramię efekty pirotechniczne. Ładunki wybuchowe podkładane pod perkusję w zespole The Who nieodwołalnie uszkodziły słuch Pete'owi Townshendowi, a Iggy Pop (76 lat) sam zepsuł swój wzrok, regularnie aplikując sobie dożylnie kokainę.

Iggy Pop, którego niedawno podziwialiśmy na PGE Narodowym, gdy otwierał koncert Red Hot Chili Peppers, to w świecie rock'n'rolla prawdopodobnie jedyna postać, którą można porównywać z Jaggerem. Zaczynał zresztą, śpiewając covery m.in. The Rolling Stones, by potem stanąć na czele The Stooges, pionierskiego zespołu zapowiadającego punk rocka. Co obejmowało bardzo niebezpieczne zachowania na scenie. Iggy w latach 60. okaleczał się świadomie lub przypadkiem, tarzając się w tłuczonym szkle (o jego mapie ciała pisaliśmy w POLITYCE 31/12), albo tracił zęby w wyniku niefortunnnych skoków w rozstępujący się tłum. Do dziś zresztą miewa podobne incydenty – koncert w Montreux kończył, wyraźnie rozbawiony, krzyżując: „Właśnie straciłem ząb! Czy było warto?” – a tłum udzielał jedynej możliwej odpowiedzi. Poza tym ma skoliozę (w wyniku różnicy długości nóg), poważne uszkodzenia chrząstek stawowych w kolanach i biodrze. Na scenie kuleje, poza nią wspiera się często laską. „Szkielet to mój słaby punkt” – mówił kilka lat temu w wywiadzie dla „New Yorkera”. Tyle że dla niego nie ma już ucieczki od ruchu i prezentacji gołego torsu na scenie – są integralnym elementem show.

A przedstawienie – jak śpiewał Freddie Mercury – musi trwać. Choć może to tylko złudzenie męskich gwiazd próbujących się utrzymać z muzyki młodości jak najdłużej. Jedną z najważniejszych kobiet w tym towarzystwie, Grace Slick z Jefferson Airplane, powiedziała kiedyś, że „wszyscy rockandrolowcy po pięćdziesiątce wyglądają idiotycznie i powinni przejść na emeryturę”. Dlaczego? Bo to muzyka młodych ludzi, którzy chcą wykrzyknąć swój gniew. Slick wie o tym dużo – w latach 60. przełamywała normy społeczne i obyczajowe jako twarda feministka przemawiająca

mocnym językiem, a przy tym w spożyciu narkotyków i alkoholu dorównująca kolegom z branży. Dziś ma 83 lata, a jeśli o niej nie słyhać, to dlatego, że sama rzeczywiście odeszła z branży po pięćdziesiątce.

„Czy będziesz mnie wciąż potrzebować, kiedy skończę 64 lata?”. Tak śpiewał Paul McCartney w przeboju The Beatles „When I'm Sixty-Four”. Tymczasem jedną z pierwszych rzeczy, które McCartney zrobił po ukończeniu 64. roku życia, było złożenie wniosku o rozwód z drugą żoną Heather Mills (Linda, do której kierował słowa piosenki, zmarła w 1998 r.). Wydał też dość rozliczeniowy album „Memory Almost Full”, nakładem przybudówki koncernu Starbucks, bo wieloletni kontrakt z wytwórnią artysta też zerwał. W symboliczny dla muzyki okres wszedł raczej z pewnością siebie niż obawą.

81-letni dziś McCartney, wciąż aktywny muzycznie, wydaje się nie gorszym niż Jagger przykładem dobrej formy i długowieczności. Furorę zrobił pandemiczny odcinek podcastu „SmartLess” z jego udziałem, w którym wyjaśniał, na czym polega jego codzienna rutyna prozdrowotna. Rozciąganie, trochę ćwiczeń na crosstrainerze, czasem biegi. Regularnie – pięciominutowe stanie na głowie. Do tego elementy zwyczajnej jogi i jogi oczu. Nauczył się jej w Indiach od pewnego mistrza, który pouczył go, że nie można poddawać ćwiczeniom fizycznym słuchu, ale gimnastyka mięśni gałki ocznej wpływa korzystnie nie tylko na wzrok.

W przypadku McCartneya istotna jest też dieta. Setki razy opowiadał o oślnieniu, jakiego doznali z pierwszą żoną Lindą w 1975 r., kiedy przyglądali się na farmie stada owiec z młodymi jagniątkami, jednocześnie jedząc jagnięcinę. Z miejsca przeszli wtedy na wegetarianizm, a McCartney do dziś, śladem żony, angażuje się w kampanie w obronie zwierząt i na rzecz zdrowego żywienia, promując choćby „bezmięsne poniedziałki”. Współtworzy nawet (z córkami Mary i Stellą) poradniki kulinarne.

Roślę Lindy McCartney w życiu Stonesów odegrała Jo Wood – modelka, druga żona Ronniego Wooda, gitarzysty zespołu. Jo była w Wielkiej Brytanii jedną z ambasaderek żywności naturalnej i zdrowego trybu życia (dziś ma linię produktów kosmetycznych Jo Wood Organics). Elementy jednego i drugiego wprowadziła także w życie Ronniego, włącznie z wymianą jego marki papierosów na „organiczną” oraz ustawiczną walką z nałogiem alkoholowym męża. Z tym ostatnim w końcu się udało, po kilku próbach terapii odwykowych, nie udało się tylko utrzymać związku – odmieniony Ronnie natychmiast znalazł sobie młodszą partnerkę. Za to Jagger ciągle odżywia się zdrowo. A w jednej z ostatnich piosenek, nagranych z Dave'em Grohlem pandemicznych songu „Eazy Sleazy”, śpiewa nawet o uczeniu się gotowania.

Przez lata żartowano z przemiany dawnych rockandrolowców. Czy taka dieta to zdrada starych ideałów związanych z życiem na krawędzi, pochwałą wolności i niebezpieczeństwa, przekraczaniem granic? Trudno stwierdzić. Na taką długowieczność całego muzycznego nurtu nikt chyba nie był przygotowany – przypomnijmy, że w słynnym tekście w „Variety” już w 1955 r. ogłoszono, że całe to szaleństwo wokół rock'n'rolla to rzecz przejściowa i „zniknie do czerwca”.

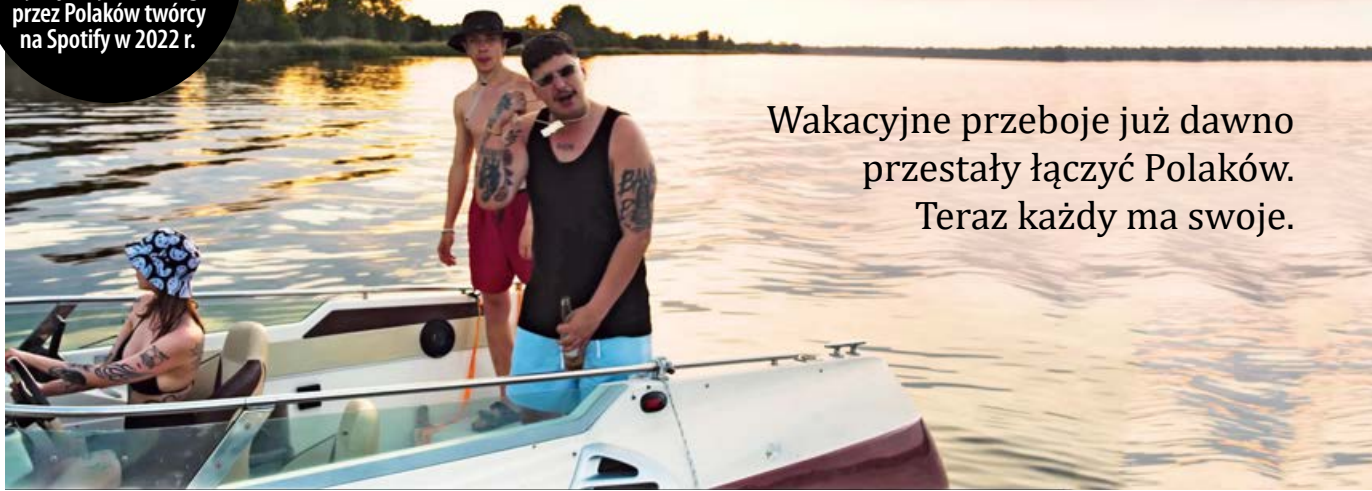
We wspomnianym dokumencie HBO Jagger mówi, że jego ideał obecności w zespole jest od dawna „robienie rzeczy, jakich nikt dotąd nie zrobił”. Z ekspresji młodości rock'n'roll stał się przez ostatnich 60 lat raczej testowaniem wytrzymałości jego bohaterów, którzy dalej prowadzą swoje niemłodniejące grono odbiorców, pokazując, jak trzeba żyć. I być może pod tym względem Jagger, skacząc po scenie, rzeczywiście te granice niemożliwego przesuwa.

BARTEK CHACIŃSKI

Kadr z „Afterparty”
White’a 2115
(Sebastiana Czekaja),
najchętniej słuchanego
przez Polaków twórcy
na Spotify w 2022 r.

Sezon na letniaka

Wakacyjne przeboje już dawno przestały łączyć Polaków. Teraz każdy ma swoje.



MICHAŁ KLIMKO

Muzyczne lato bez nich nie istnieje. Produkowane hurtowo, często jedno-sezonowe, rzadziej osiągnące status przeboju, do którego wraca się w każde wakacje. Mowa o letniaczkach, tudzież letniakach, jak woli Spotify, tytułując jedną ze swoich oficjalnych playlist „Rap letniaki”. Podobieństwo letniaka do letnika zauważa nie tylko autokorekta. Jeden i drugi pojawiają się zniemacka w okolicach czerwca, zawłaszczając przestrzeń fizyczną i akustyczną miejscowości wypoczynkowych, by na przełomie sierpnia i września zniknąć – przynajmniej do kolejnego lata.

Wydawany w latach 1958–69 słownik języka polskiego Witolda Doroszewskiego w letniakach (w liczbie mnogiej) widział jeszcze potoczną nazwę letniska („Wygląda jak subiekt na letniakach – sztuczkowe spodnie”) lub – w gwarze przestępczej – kradzież w mieszkaniu osób, które wyjechały na wczasy. Internetowy słownik współczesnej polszczyzny miejski.pl we wpisie z 2022 r. podaje już inne przykłady: „Słyszałeś już najnowszego letniaczka od Kizo? Tak, ładnie buja”.

Takie też jest przeznaczenie letniaka – wprawiać w dobry nastrój, umilać ciepłe wieczory. Najlepiej w gronie przyjaciół. W każdym razie letniaka dzisiejszego, wczesne polskie letnie przeboje (czy może raczej przeboje o lecie) chętnie traktowały ciepłe miesiące jako obiekt nostalgii, chwilę szczęścia ulotną jak



„Bad Bunny”
duetu Jacuś i Bambi
przypomina, czego
oczekujemy od letniaka:
nie musi być skompli-
kowany, ważne,
by bujał.

wakacyjna miłość. „Historia jednej znajomości” Czerwonych Gitar, „Augustowskie noce” Marii Koterbskiej czy „Goniać kormorany” Piotra Szczepanika przywołują emocje, które w Japonii od wieków opisuje jedna z czołowych kategorii estetycznych *mono-no aware*, oznaczająca melancholijne piękno biorące się z nieuchronności przemijania.

To, co sprawdza się przy podziwianiu ulotnych kwiatów wiśni lub jako muzyczne tło nostalgicznych potańcówek, niekoniecznie działa podczas delektowania się gofrem we Władysławowie. A że to ostatnie jest popularniejsze, nic dziwnego, że patent na przebój lata to piosenka pogodna i bezpretensjonalna. – *Można pójść w stronę afirmacji tej*

słonecznej pogody, której zawsze u nas brakuje. Trop jest prosty, to nie może być nic specjalnie wyrafinowanego, ale trzeba uważać, bo łatwo zbliżyć się do poetyki disco polo. Zresztą wiele piosenek w tym nurcie ma teledyski kręcone właśnie w wakacyjnych sceneriach – mówi Marek Dutkiewicz, autor tekstów do dziesiątek polskich przebojów, w tym „Jolki” Budki Suflera czy innego wakacyjnego hitu: „Dmuchawce, latawce, wiatr” Urszuli. – *Nie planowaliśmy jej jako hitu lata, lekki tekst pasował do walczyka skomponowanego przez Romualda Lipkę. Nagrywaliśmy ją z wieloma trudnościami, w wyiębionym studiu na przełomie zimy i wiosny. Ale się opłaciło. To było wzruszające przeżycie słuchać jej później* ▶

► *na plaży w Dębках, gdy dookoła unosiły się dmuchawce* – wspomina.

Miejscem, w którym nieznanne szerzej letniaki mogły się przeobrazić w prawdziwe przeboje lata, przez dekady był festiwal w Opolu, tradycyjnie odbywający się w czerwcu. Tam swój pierwszy wielki przebój „Pod Papugami” zaśpiewał Czesław Niemen, na tamtejszej scenie debiutujący zespół Bajm pokazał się publiczności z utworem „Piechota do lata”, po opolskim koncercie Polacy pokochali Korę i jej „Boskie Buenos”. Dziś, po zawłaszczeniu współorganizatora festiwalu – TVP – przez rządzącą partię, po sezonach politycznych bojkotów i protestów do Opola

„Disney” Kizo z 2021 r. z ponad 150 mln wyświetleń trafił do pierwszej dziesiątki najpopularniejszych polskich utworów na YouTube.



„Pocałunek lata” Michała Szczygła, finalisty „The Voice of Poland” – jedyny wakacyjny kandydat do tegorocznych list przebojów.

przyjeżdżają głównie wykonawcy, którzy nie mają nic do stracenia. Wystarczy wspomnieć, że nagrodę w tegorocznym konkursie debiutów otrzymał Rafał Brzozowski. Zaś najpoważniejszym pretendentem do miana hitu wakacji był reanimowany po 15 latach pop-rapowy przebój Meza i Libera „Aniele”, tym razem jako „Jakie masz dziś plany (Aniele 23)”. Z teledyskiem kręconym na tropikalnej plaży.

Zdaje się zresztą, że czasy ogólnonarodowych hymnów lata minęły, być może bezpowrotnie.

W latach 90., gorącym czasie dla polskiej fonografii, nawet muzyczne żarty miały okazję stać się przebojami wakacji. Tak było choćby z „Dniem gorącego lata” grupy Big Day, który – jak wspominają twórcy – powstał przy ognisku jako pastisz biwakowej piosenki, a na album trafił jako ostatni, w roli „wypełniacza”. Albo z „Latem” Formacji Nieżywych Schabuff. „Długo biliśmy się z myślami, czy ta piosenka powinna się znaleźć na płycie czy nie, i o mały włos by na nią nie trafiła”

– wspominał w programie „Historia jednego przeboju” lider grupy Olek Klepacz. Sukces „Lata” pozwolił zespołowi przejechać się z pociągów do własnego busa, ale też samolotów. „Kiedyś po wylądowaniu w Warszawie nasz basista kupił sobie trzy zegarki. Naraz” – opisywał skalę powodzenia Klepacz.

W tamtych czasach maszynkami do kreowania hitów były radiostacje. Dziś tych, którzy szukaliby nowych przebojów lata na antenach popularnych rozgłośni, czeka spory zawód. W zasadzie jedynym wakacyjnym kandydatem na szerokiej ławce rezerwowych do tegorocznych list przebojów jest „Pocałunek lata” Michała Szczygła, finalisty „The Voice of Poland” i – jak sam się przedstawia – „mistrza letnich bangerów”. „Mam nadzieję, że moje nowe dźwięki dadzą Wam słodkiego buziaka, do którego zawsze będziecie chcieli wracać!” – reklamuje swój melodyjny, choć mało zaskakujący potencjalny przebój. Jednak patrząc na wciąż znikomą liczbę wyświetleń piosenki na YouTube, większość Polaków szuka całusów gdzie indziej.

Niedobór wakacyjnych hitów na radiowych antenach można próbować tłumaczyć interesem artystów – dla nich korzystniejsze są przeboje uniwersalne, które nie tracą radiowej przydatności wraz z końcem sierpnia. Nie oznacza to jednak, że letniaki przestały powstawać, a jedynie że należy ich szukać gdzie indziej – na YouTube właśnie, na platformach streamingowych w rodzaju Spotify, a także na TikToku.

Tam letniaki trzymają się mocno. Upodobał je sobie choćby twórca disco polo. Popularna grupa Boys w tym sezonie wypuściła już dwa wakacyjne single: „Do zobaczenia w Batumi” i „Plaża jest nasza”, z których pierwszy dobija miliona wyświetleń, a to jedynie wierzchołek góry discopolowych propozycji.

Jeszcze chętniej, a z pewnością ciekawiej, o lecie mówią raperzy. To w tym gatunku należy też szukać największych przebojów lata, mowa w końcu – jak niezmiennie przypominają statystyki – o ulubionej muzyce Polaków. 9 na 10 najchętniej słuchanych wykonawców na Spotify w ubiegłym roku to właśnie polski hip-hop (jedynym wyjątkiem w tym gronie była popowa Sanah – na drugim miejscu).

Pierwsze hipopowe podejścia do rapowych letniaczków były mocno asekuracyjne. Choć już w 1999 r. Pezet i Onar pod szyldem Płomień 81 wydali utwór „Letniak”, w którym parafrazowali „Lato” Formacji Nieżywych Schabuff („I powiem wam, że jest lato wszędzie/ I dziewczynom chcę więcej, oszalało moje serce”), a niewiele wcześniej Tede z grupą Trzyha na samplu podkradzionym Maanamowi skarżył się na „40 stopni w cieniu”, marząc o wyjeździe nad morze „jak zgred w delegację” – z dzisiejszej perspektywy trudno je nazwać przebojami. To dość toporny, klasyczny miejski rap o osiedlowej nudzie.

Prawdziwym hitem był za to singiel wałbrzyskiej grupy Trzeci Wymiar „Dla mnie masz stajla”, którego refren latem 2003 r. prześladował językowych purystów od Bałtyku po Tatry. I na którym do dziś łatwo połamać sobie język na występach karaoke: „To te tutejsze gejsze działają jak żeń-szeń” – proszę spróbować wymówić to w 2,5 sekundy. Ten sukces miał jednak swoją cenę – przylepił zespołowi łatkę twórców pogardzanego, choć chętnie słuchanego, nurtu „hiphopolo”, od której trudno było się uwolnić.

Dziś na podobne oskarżenia Kizo, nazywany przez fanów królem lata, odpowiada, nagrywając prześmiewczego vloga ze Sławomirem, w którym autor „Miłości w Zakopanem” uczy go, jak zostać królem disco polo. Może sobie na to pozwolić – jego letniaczek „Disney” z 2021 r. z ponad 150 mln wyświetleń trafił do pierwszej dziesiątki najpopularniejszych polskich utworów w historii YouTube (nr 1 okupuje... Sławomir), a promowane twarzą artysty mrożone pizze i batony można znaleźć w sieciach spożywczych w całej Polsce. 29-letni Kizo (czyli Patryk Woziński), pokryty tatuażami raper o sylwetce kulturysty, oparł swój sukces na dostarczaniu wbijających się w głowę z finezją młota pneumatycznego letniaków, jego tegoroczny wakacyjny przebój „Taxi” odsłuchano na YouTube już 28 mln razy, a to tylko jedna z kilku propozycji Kizo na obecne lato.

Sztandarowy „Disney” to pocztówka z czasów pandemii („Świat jest zepsuty, jakoś to zniosę, zawsze mogło być gorzej/ O tej porze zazwyczaj wille z basenem wychodziły drożej”), a niesie go fraza, która mogłaby się stać mottem wszystkich twórców letniaczek: „Nie mam zamiaru się smucić, tylko zatracić w tym, co najlepsze”. Brzmi to sympatycznie, choć radio-woy potencjał większości letniaków Kizo jest sabotowany przez samego rapera. W najnowszym „Avatarze”, z teledyskiem kręconym w Dubaju, śpiewa w refrenie: „Ja tak wiele bym dał, żeby tych wszystkich ku*ew nie było na świecie”, streszczając w ten sposób swoją wizję świata idealnego, w którym „kometa spadnie na donosicieli”.

Podobnie rzecz się ma z innym artystą, którego przeboje zapowiadają nadchodzące wakacje, czyli White'em 2115 (Sebastianem Czekajem), najchętniej słuchanym przez Polaków twórcą na Spotify w 2022 r. „W końcu są wakacje, czuję w ch*j/ Jedziemy w trasę znowu zrobić gnój” – śpiewa w zeszłorocznym „Afterparty”. Jego propozycje na lato, począwszy od przebojowej „Californii”

z 2018 r. (119 mln wyświetleń), można zamknąć w trzech punktach: alkohol, plaża i dobra zabawa. Do tego kilka wykrezeń („Energoli pełen karton, ja przez miasto 160/ Ch*j w mandaty, ich nie płacę, zdjęcie przysłał mi za miesiąc”), młodzieńcza beztroska („I weź tę pracę odstaw, zapalmy papieroska/ Niech butelka nie ma końca, ze mną będzie zachód słońca”) oraz obowiązkowe zaśpiewy „jejeje”.

W tym sezonie prawdziwą fabrykę letniaków zorganizowała SBM Label, rapowa wytwórnia, która odkryła Matę, Bedoesa czy właśnie White'a.

W Międzyzdrojach urządzili obóz nagraniowy dla własnych i zaprzyjaźnionych artystów – trzecią odsłonę popularnego projektu „Hotel Maffija”. Efekt? Dwie dziesiątki utworów, z których wiele to typowe letniaczki. Ważną rolę odgrywa w nich gitara, najlepiej akustyczna, dzięki której wakacyjne rapowe przeboje nieźle sprawdzają się wykonywane przy ogniskach. Tym bardziej że elementem obowiązkowym jest też śpiewany refren, najlepiej nieskomplikowany – sprawdza się nawet samo „lalala”, co udowodnił Mata w utworze zasadnie zatytułowanym „La la la (oh oh)”. To przy okazji niezły poradnik, jak doprowadzić do pasji współpasażerów tradycyjnie przepełnionego pociągu „Słoneczny” relacji Warszawa–Ustka: „Cały przedział nasz, bo związałem paskiem drzwi/ Kanar cały czas puka w szybę, ale nic mu po tym/ Bo jak tylko dojedziemy, to przez okno uciekniemy/ I na plażę pobiegniemy, by robić głupoty” – obwieszcza młody Matczak.

Można też przeciwnie – postawić na szybkie, klubowe tempo, gęstą stopę perkusji, innymi słowy, stworzyć imprezowy „banger”. Czyli piosenkę, przy której jedyną sensowną formą tańca są rytmiczne podskoki, w czym specjalizuje się choćby wspomniany Kizo.

A tekst? W niektórych przypadkach wystarczy po prostu, że jest, jak w firmowanym przez duet Jacuś i Bambi letniaczku „Bad Bunny”, jednym z efektów sesji SBM w Międzyzdrojach. Którego refren („Koka, wódka, sok, ja chcę palić cali, cali/ She look like playboy devushka, she like Bad Bunny/ Ooo chodź z nami mami/ Wyglądasz słodko ey, wyglądasz yummy, yummy” – pisownia według teledysku) i prosty, klubowy beat przypominają, czego oczekujemy od letniaka: nie musi być skomplikowany, ważne, by bujał. I będzie, przynajmniej do końca wakacji. Z tej perspektywy nawet nadejście jesieni może mieć swój urok.

MICHAŁ KLIMKO

Przewrotna komedia o sile kobiet

Nadia Tereszkwicz

Rebecca Marder

Isabelle Huppert

Fabrice Luchini

André Dussollier

Dany Boon

Mistrzowska komedia François Ozona

Cineuropa



reżyseria
François Ozon

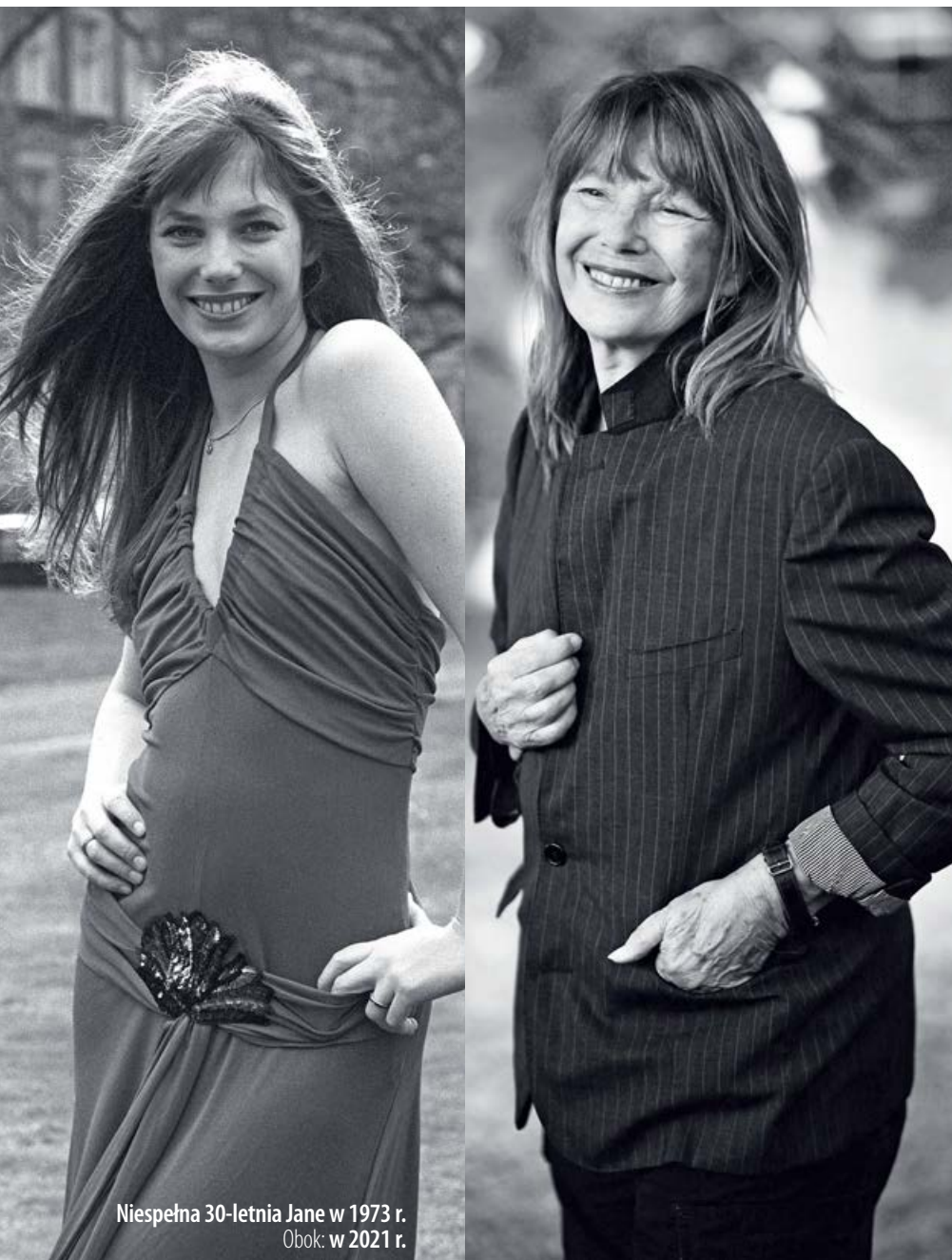
PONAD MILION WIDZÓW
WE FRANCJI!

w kinach od 4 sierpnia

Od Jane do Birkin

Piosenkarka, aktorka i ikona lat 60., została znaleziona martwa w swoim paryskim mieszkaniu 16 lipca. Miała 76 lat. Jak z młodziutkiej Angielki stała się wielką Francuzką?

KINGA STRZELECKA-PILCH



Niespełna 30-letnia Jane w 1973 r.
Obok: w 2021 r.

Nosiła zawsze dziewczęcą grzywkę opadającą na oczy. Kasztanowe włosy dotykały ciemnych, przeskalowanych rzęs. Przezroczyste białe bluzki, dżersejowe podkoszulki i siateczkowe sukienki noszone bez biustonosza, spódniczki mini, dzinsowe dzwony opinające uda. A w dłoni wiklinowy koszyk, który wyprowadziła z plaż i pikników prosto na czerwony dywan Cannes i szycowne ulice Paryża lat 60. i 70. Paradoksalnie to skromnemu koszyczkowi zawdzięczamy powstanie najdroższej obecnie torebki świata – Birkin – francuskiego domu mody Hermès. Młoda gwiazda z nadmierną skłonnością do zbieractwa podobno podczas jednej z podróży lotniczych między Paryżem a Londynem przez przypadek wysypała zawartość bagażu podręcznego wprost na dyrektora marki, a on wpadł na pomysł, aby stworzyć pakowną skórzaną torbę do noszenia jak koszyk w dłoni i na przedramieniu. Model jest sprzedawany do dziś i potrafi kosztować obecnie nawet kilkaset tysięcy złotych.

W wydaniu Jane Birkin wszystko było naturalne, hippisowskie, wolne od przepychu. Swoją własną czarną egzemplarz torebki, подарowany jej w latach 80., nosiła aż do śmierci. Nie była dla niej symbolem luksusu i statusu społecznego. Nalepiała na nią naklejki, w tym z podobizną cenionej przez siebie Aung San Suu Kyi, a rączki obwiązywała etnicznymi koralikami.

Całe życie była sensualna i wolna, a swój wizerunek zbudowała na pikanterii kontrastów. Najpierw był nieco perwersyjny między dziewczynką a kobietą: delikatna, dziecięca twarz, niski głos, strój uczennicy, smukłość, szczupłość, drobne piersi. Niewinna, nieśmiała, a przy tym odważna i zmysłowa – ożywiona bohaterka powieści „Lolita” Vladimira Nabokova. Wcieliła się w nią nawet w piosence „Lolita Go Home”: „Wszyscy porządni ludzie się na mnie gapią, a zwłaszcza kobiety, zupełnie nie wiem dlaczego. Patrzą na moje buty, skarpetki i spódniczkę, słyszę, jak szepczą jakieś dziwne słowa jak »dziwka« (...) nie robię nic złego, mam tylko rozłożone nogi, a mimo to starszy pan naprzeciwko mnie się ślini”.

Jane urodziła się w Londynie w 1946 r. Była córką Davida Birkina, oficera Royal Navy, i aktorki Judy Campbell. Jej kariera rozpoczęła się bardzo wcześnie i od pierwszej chwili związana była z seksualnością. W wieku 17 lat Jane Birkin zadebiutowała w filmie. „Doprawdy trudno ją było przeoczyć, skoro już jako nastolatka pokazała się na brytyjskich ekranach w pełnej nagości, full frontal” – pisze w biografii

© PA/EAST NEWS, CASTELFRANC/BACCAFORUM

Serge'a Gainsbourga Sylvie Simmons (polskie tłumaczenie: Ewa Penksyk-Kluczkowska). Szybko została żoną starszego, znanego kompozytora muzyki filmowej Johna Barry'ego. Ich małżeństwo trwało trzy lata. Po czasie wspomina, że doświadczyła jego licznych zdrad, upokorzeń, przemocy, a finalnie, po urodzeniu ich córki Kate, została przez męża porzucona.

Wolna, ledwo 20-letnia Jane w 1968 r. ucieka z kraju, żeby szukać nowego życia. Nie mówiąc zupełnie po francusku, wybiera Paryż, gdzie zaproponowano jej udział w castingu. To tam wpadła na Serge'a Gainsbourga, popularnego 40-letniego kompozytora, ze słabością do młodych kobiet, dwukrotnego rozwodnika, który rozkochał w sobie samą Brigitte Bardot. Tajemniczego króla popu, spowitego bez przerwy tytoniowym dymem i zapachem alkoholu. To, czego dotknął, mogło jednak się zamienić w złoto. To on stał za karierą France Gall, to on napisał dla niej piosenkę „Poupée de cire, poupée de son”, która w 1965 r. wygrała festiwal Eurowizji: „Jestem tylko woskową laleczką, śpiewającą laleczką. Pod słońcem moich blond włosów. Ale kiedyś przeżyję wszystko to, o czym śpiewam. Nie będę bała się już żądz chłopców” – śpiewała nastolatka ubrana w pensjonarskie sukienki z okrągłymi kołnierzykami.

Pigmalion

Jane Birkin tuż po przyjeździe do Paryża otrzymała rolę w filmie „Slogan” u boku Gainsbourga. Sylvie Simmons zwraca uwagę, że „pierwsze spotkanie Jane z grającym również w filmie Serge'em nie wróżyło najlepiej”. Nie dość, że nie mówiła po francusku, czego Francuzi nie znoszą, to jeszcze nie miała pojęcia, kim jest Gainsbourg. Jane wspomina, że gwiazdor był „arogancki i snobistyczny”. „Chyba powiedziałam coś głupiego w rodzaju: Czemu nie spytasz, co u mnie?, a on odparł: Bo mnie to nie obchodzi. (...)

Trochę był zde gustowany, kiedy nazwałam go Serge'em Bourguignonem (od boeuf bourguignon – wołowiny po burgundzku). To chyba było jedyne znane mi francuskie nazwisko”.

Maj '68 przerwał zdjęcia do filmu i dał czas Jane na naukę języka i lekturę tekstów Serge'a. W końcu młoda aktorka zaprosiła go na kolację. Po tańcach trwających całą noc Gainsbourg, jak na jego reputację przystało, zabrał ją prosto do hotelu i – jak wspominała – zasnął kompletnie pijany. Jednak od tego czasu byli ze sobą bez przerwy przez 12 lat, a później jako najbliżsi przyjaciele aż do śmierci Serge'a w 1991 r. Stali się nierozdzielni, kultowi jak John Lennon i Yoko Ono.

W mitologii greckiej Pigmalion był królem Cypru i utalentowanym rzeźbiarzem, który stworzył w kości słoniowej posąg kobiety swoich marzeń. Żył z rzeźbą (pierwotnym wzorem lalek erotycznych) jak z kobietą. Afrodyta, widząc splecionych bez powodzenia kochanków, ożywiła posąg. Galatea została jego żoną i żyli długo i szczęśliwie. We Francji ten mit jest dziś przywoływany bez skrępowania: tak, to Gainsbourg tchnął życie w młodą kobietę i uczynił z niej gwiazdę. Kazał jej śpiewać nienaturalnie wysokim głosem, dotykając ustami mikrofonu, by osiągnąć efekt zmysłowego szeptu, pokazywać się u jego boku na promocjach filmów, na okładkach kolorowych magazynów.

W 1969 r. było jasne – Birkin zastąpiła Bardot, dla której pierwotnie powstała TA piosenka: razem z Serge'em nagrali utwór, z którego znani są na całym świecie: „Je t'aime, moi non plus”. Dźwięki zarejestrowane na taśmie przypominały głos kobiety przeżywającej orgasm, co w połączeniu z sarkastycznym tekstem dało oryginalny, perwersyjny efekt. „Kocham cię” – wyznaje kobieta, „Ja ciebie też nie. Jak niespokojna fala uderzam o twoje lędźwie, przychodzę i odchodzę” – odpowiada mężczyzna.

W wielu krajach, m.in. we Włoszech, Hiszpanii i Szwecji, zabroniono publicznego odtwarzania piosenki, artyści zostali oficjalnie potępieni przez Watykan. Lepszej promocji nie mogli sobie wymarzyć. Przez rok „Je t'aime...” nie opuszczała pierwszych miejsc list przebojów we Francji, Szwajcarii, Belgii czy Holandii, w kilka miesięcy sprzedano 3 mln płyt. W tym samym roku na ekrany kin wszedł (później także uznany za kultowy) „Basen”, gdzie aktorce partnerowały największe francuskie gwiazdy tamtych czasów: Alain Delon i Romy Schneider. Wkrótce Jane osiąga status gwiazdy, decyduje się osiągnąć w Paryżu na stałe. Z małą córeczką wprowadza się do domu Gainsbourga.

Galatea

Rue de Verneuil, mała paryska uliczka w centrum, znana z licznych sklepów z antykami, tuż obok znanego Musée d'Orsay. Pod numerem 5 przybudówka wyglądająca jak garaż lub pomieszczenie gospodarcze. Do tego małego domu pełnego dziwnych przedmiotów, dzieł sztuki, które pan domu przynosił z okolicznych antykwariatów, z fortepianem na samym środku dolnej części, ze ścianami pomalowanymi ekscentrycznie na czarno, z sypialnią inspirowaną haremem, pełnego alkoholu, dymu papierosów, kadzidel i ciężkich perfum wprowadza się młoda Jane z córeczką Kate. Po dwóch latach rodzi się wspólne dziecko pary – Charlotte.

Ojciec traktował obie córki jak swoje, miał z nimi bardzo bliską, dziwną relację. Kiedy Charlotte jeszcze jako dziecko zaczęła śpiewać piosenki ojca, ten potrafił pocałować ją publicznie w usta, choć dziewczynka była wyraźnie skrępowana i przestraszona. Na widowni siedziała jej matka i zachwycona biła brawo. Wiele lat po śmierci Gainsbourga Constance Mayer wydała autobiograficzną książkę „La jeune fille et Gainsbourg” („Młoda dziewczyna i Gainsbourg”), w której opowiada ▶

REKLAMA

Festiwal muzyki i rzemiosła tradycyjnego

Stare Miasto / Lublin

Wstęp wolny

program na: retradycja.eu

18-20

SIE
2023

re:tradycja

JARMARK JAGIELLOŃSKI



► o swoim związku, wtedy 16-latkę, z artystą u kresu jego życia. W 2013 r. Kate Barry, córka Jane i pasierbica Serge'a, uznana fotografka, popełniła samobójstwo, skacząc z okna paryskiej kamienicy. Od lat mówiła się o jej depresji i uzależnieniu od alkoholu. Ta śmierć stała się tematem piosenek zarówno Jane, jak i Charlotte. Matka: „Moja córka skończyła ze sobą, znaleziono ją na ziemi, otworzyła okno, żeby wypuścić papierosowy dym”. Siostra: „Zgubiona przez alkohol, który nie przyniósł ci ukojenia, zgubiona na zawsze. Co zrobiłaś? Miałyśmy zestarzeć się razem”.

Mimo że Jane przestała być partnerką Serge'a w latach 80. i każde z nich poszło swoją drogą – on związał się z młodzieńką modelką Caroline Paulus, z którą doczekał się wymarzonego syna, ona z reżyserem Jacques'em Doillonem – to przyjaciółmi pozostali na zawsze. Towarzyszyła byłemu partnerowi w ostatnich tygodniach, odwiedzała go, przynosiła zupy, a on został ojcem chrzestnym jej najmłodszej córki. Wykonywała jego piosenki do końca swojego życia, a ze sceny nie schodziła nawet po leczeniu białaczki i wylewie. Ostatnią trasę koncertową odwołała w tym roku.

Choć ze swoimi mężczyznami i partnerami doświadczyła wielu przykrych momentów, to nigdy nie czuła się ich ofiarą, podkreślała, ile im zawdzięcza. Nie przeszkażdało jej, że to właśnie Serge ją uformował, że była jego Galateą, nie odcięła się od niego i mówiła o nim z miłością i niespotykaną czułością do końca swojego życia: „Bez niego nie zrobiłabym kariery, bez niego Francuzi nie zaakceptowaliby mnie tak szybko. Nie pracowałam nad swoim akcentem, bo on uważał, że to słodkie”, „Miałam wiele kompleksów, rówieśnicy wyśmiewali mój mały biust, nazywając mnie pół dziewczyną, pół chłopcem, on pierwszy powiedział, że jestem piękna, zabrał mnie do Luwru i pokazał obrazy Cranacha, mówił, że jestem jak z obrazów. Pozwolił mi pogodzić się z samą sobą. Kiedy mężczyzna kocha, to zmienia wszystko”, „Był taki piękny z ośmiodniowym zarostem. Jak naturalny makijaż tworzył cienie, rzeźbił jego twarz”.

Véronique Mortaigne w „Le Monde” nazwała Birkin wdową i spadkobierczynią Gainsbourga. Olivier Nuc w „Le Figaro” napisał, że legendą za życia stała się dzięki Gainsbourgowi, a magazyn „L'Égérie” dziwnym zbiegiem okoliczności miesiąc temu wydał specjalny numer w całości poświęcony Birkin i Gainsbourgowi, w którym Olivier Rolin pisze, że wolność Jane najlepiej opisać można, używając walki z formą Gombrowicza.



© COLLECTION CHRISTOPHE/EAST NEWS

Z Serge'em Gainsbourgem w 1970 r.

Co ciekawe, zarówno syn Serge'a Lucien i trzecia córka Jane Lou wybrali karierę muzyczną i z powodzeniem wydają we Francji płyty, mocno inspirowane popową muzyką Gainsbourga z melancholijną i poetycką warstwą tekstową. Podobnie Charlotte, która gra w filmach, śpiewa i spośród wszystkich dzieci pary artystów zrobiła największą, ogólnoswiatową karierę.

Ikona

Po pierwszym kontrowersyjnym albumie „Jane Birkin/Serge Gainsbourg” para z powodzeniem, nawet po rozstaniu, nagrywała kolejne, takie jak: „Di Doo Dah”, „Ex fan des sixties”, „Baby Alone in Babylon”, „Lost Song”, „Amours des feintes”. Pierwszą samodzielną, niezależną płytę Birkin wydała dopiero w 1998 r. Niemal wszystkie śpiewane przez nią piosenki są o miłości, bo na tym temacie koncentruje się twórczość Gainsbourga, który był nie tylko świetnym muzykiem, ale także tekściarzem, a we Francji ma status poety.

Później z upływem lat Jane przestała być dziewczęcą, zmieniła styl i wizerunek: sięgnęła po męskie koszule, garnitury. W jej repertuarze pojawiło się wiele nowych kompozycji, ale nie przestała prowokować. W 2020 r. wydała swój ostatni album zatytułowany „Oh! Pardon tu dormais...” („O przepraszam, spałeś?”). Teledysk do tytułowej piosenki przedstawia Jane w łóżku z Étienne'em Daho. 74-letnia piosenkarka w samej białej koszuli, w pościeli, u stóp łóżka wyśpiewuje skargi na brak zainteresowania ze strony partnera i swoją tęsknotę za seksem.

Ostatnią rolę życia zagrała w filmie swojej córki Charlotte Gainsbourg „Jane

par Charlotte”. To delikatny dokument pokazujący kilka scen z życia prywatnego dwóch kobiet, ich rozmowy koncentrują się na przeszłości, na Serge'u. Jane mówi w nim o swoich problemach z akceptacją zmian fizycznych, które zachodzą z wiekiem, z przybraniem na wadze, z pojawiającymi się zmarszczkami, z brakiem sprawności i w jakiś sposób przyznaje się przed córką do błędów – może nie była idealną matką, może piła i bawiła się za dużo, może nie dała swoim dzieciom spokojnego domu. „Wychodziłam w nocy, wracałam rano posłać dzieci do szkoły i przesyślałam cały dzień”.

Charlotte do opisu matki nie używa wielu słów, często kręci z ręki, czule pokazuje z bliska jej twarz. Stworzyła w ten sposób jej przejmujące, ciepłe wspomnienie. Ostatni raz Jane Birkin publicznie pojawiła się w lutym tego roku na rozdaniu Cezarów. Schorowana, nie przypominała już siebie z ostatniego teledysku, ale kasztanowa grzywka nadal przykrywała jej oczy.

Przedostatni tydzień lipca okazał się smutnym czasem dla francuskiej kultury: we wtorek 11 lipca zmarł Milan Kundera, w niedzielę 16 lipca Jane Birkin. Pisarz urodzony w Czechach i piosenkarka-aktorka urodzona w Wielkiej Brytanii zostali pożegnani we Francji jako wybitni Francuzi; największe tytuły informowały o ich śmierci na pierwszych stronach. Najpoczytniejszy „Le Monde” nazwał Kunderę „francuskim pisarzem”, a Birkin „najbardziej francuskim uosobieniem mody i stylu”. Nie sposób nie dodać w obecnym polskim, kampanijnym kontekście politycznym, że postulat Francji dla Francuzów publicznie tutaj nie istnieje. Prezydent Emmanuel Macron napisał: „Jane Birkin była francuską ikoną, ponieważ uosabiała wolność i śpiewała najpiękniejsze słowa w naszym języku”.

Na rue de Verneuil jest spokojnie. Czasem jakiś turysta robi sobie zdjęcie, pozuając na tle muru. Teraz jest tam kameralne muzeum Gainsbourga, powołane do życia w tym roku z inicjatywy Charlotte. Do domu tej jesieni wejść będą mogli tylko nieliczni, którzy zapisali się kilka miesięcy wcześniej i zakupili bilety przez oficjalną stronę internetową www.maisonainsbourg.fr. Obecnie zapisy są zamknięte i nie wiadomo, czy zostaną wznowione. 2 km na południe, na rue d'Assas pod numerem 50, zostało znalezione ciało Jane Birkin. „Kilka dni temu zaczęła chodzić, chciała wrócić do koncertowania i spróbować znów żyć samodzielnie. Jej pierwszy samotny wieczór okazał się ostatnim. Tak zdecydowała” – napisały jej córki.

KINGA STRZELECKA-PILCH

Mea pulpa



czyli kronika popkulturalna
Kuby Wojewódzkiego

Filip Chajzer planuje odczytać Polaków picia alkoholu i otwiera śniadaniownię w centrum Warszawy, w której sam będzie kelnerem, a w menu zero mocnych trunków. Gratulacje. To najlepszy dowód na to, że bez alkoholu też można wpaść na dziwny pomysł.

Dorota Wellman wraz z synem Jakubem rozpoczęli wspólny podcast „WELCOME w popkulturze”, w którym rozmawiają z ludźmi nauki i popkultury. Ciekawe. Nauka to świat rzeczy, o których nie wiesz, a popkultura – świat rzeczy, o których nie masz pojęcia, że nie wiesz.

Sylvia Bomba znów komentuje. Tym razem śmiertelny wypadek samochodowy w Krakowie. Cytują ją RMF FM i Wirtualna Polska. Gall Anonim uznawany jest za pierwszego polskiego kronikarza. Teraz wystarczy zwykły anonim.

„Obie stacje nie gromadzą w większości dziennikarzy tylko partyjnych aktywistów albo ideologicznych neofitów, dających sobie wyłączne prawo do dysponowania prawdą”. Tyle Robert Górski o TVN24 i TVP Info. No cóż. Janek Pietrzak też kiedyś był zabawny.

Znana didżejka i artystka hiphopowa Young Leosia pojawiła się na puszkach energetyku Tiger. Moja mama kiedyś przeczytała opis zawartości i zapytała mnie, czy to jest skład napoju czy skład puszkki.

Cudowne dziecko kadrowego kunsztu Jacka Kurskiego oraz wzorzec metra kompetencyjnych oczekiwań prawicy, czyli Jarosław Jakimowicz, wyleciał z TVP. Całkowicie. I to jest pierwsza rzecz, jaką Jarek zrobił własnoręcznie i do końca.



„Spowodowała kolizję w centrum miasta. Zatrzymała ją rowerzystę”. Tak informują media o tym, że Krystyna Loska porysowała komuś zderzak. Pani Krystyna musiała się poczuć dobrze. W jej epoce też wszystko w mediach było większe niż w rzeczywistości.

Piłkarz Arsenalu Londyn Kuba Kiwior został bohaterem kampanii firmy Adidas pt. „From Tychy to Impossible”. Akcji towarzyszy gigantyczny mural na budynku, w którym dorastał zawodnik. Słowo „impossible” robi ostatnio zawrotną karierę. Także w PZPN-ie.

TVN pracuje nad nowym show, w którym gwiazdy będą występować jako drag queen. W jury zasiądzie Andrzej Seweryn. Mam nadzieję, że środowiska patriotyczne zareagują na bezczeszczenie słów „chłopcy malowani”.

Usunięty redaktor dramatyczny Jarek Jakimowicz żali się, cytując abp. Marka Jędraszewskiego, że postawił się „tęczowej zarazie” oraz że reprezentował „wartości chrześcijańskie”. Tego jestem pewien. Biała kiełbasa tylko z chrzanem.

Klaudia Halejcio wypowiedziała się na temat cen jagodzianek u Magdy Gesler: „Przesada i szczyt bezczelności”. Z umysłem tego, który ją o to zapytał, a odpowiedź uznał za istotną, może być jak z jagodziankami. Ktoś oszczędzał na nadzieniu.

Tadeusz Sznuć skończył właśnie 80 lat. Najlepszego. Pan Tadeusz od 30 lat prowadzi teleturniej „Jeden z dziesięciu”, który poszerza naszą wiedzę o świecie. Na przykład pytanie: Rosyjski chemik, twórca układu okresowego pierwiastków? Odpowiedź: Mołotow.

Tomasz Hajto został zwolniony z Polsatu w związku z zapowiedzią walki tego byłego piłkarza i komentatora na gali Clout MMA. Brawo. Liczmy na to, że Tomasz zrobi z przeciwnikiem to samo, co zrobił z językiem polskim.

Edyta Górniak rozpoczyna czterogodzinne warsztaty, w trakcie których za tysiąc złotych nauczy chętnych, jak „ochronić korzeń duszy”. W cenie także wspólny obiad.

Przypomina mi się rozmowa: Co dziś na obiad?
Nic. Ale wczoraj też nic nie było. Zrobiłam na dwa dni.



Nie planowałem komedii

Pracuje się kolektywnie. Nie ma czegoś takiego jak samotny reżyser zamknięty w wieży z kości słoniowej – mówi Christian Petzold, reżyser „Czerwonego nieba”, prezentowanego na festiwalu Nowe Horyzonty.

JANUSZ WRÓBLEWSKI: – Bohater pańskiego filmu to przekonany o własnej wyjątkowości początkujący pisarz. Ciekaw jestem, jak bardzo był pan do niego podobny, stawiając pierwsze kroki w zawodzie filmowca?

CHRISTIAN PETZOLD: – Mój debiut fabularny, powstały na ostatnim roku Akademii Filmowej i Telewizyjnej, okazał się wielkim sukcesem. Zjeździłem różne festiwale, rozdawałem autografy, zyskałem podziw kolegów, a całe to zamieszanie wokół mnie szalenie mi się podobało. Po kilku miesiącach wróciłem do Berlina, szybko napisałem scenariusz drugiego filmu i natychmiast przyznano mi na niego dotację. Nie zamierzałem się ograniczać. Marzyło mi się kino noir z piękną femme fatale, rozbijającą się luksusowym kabrioletem i owijającą sobie wokół palca facetów, w stylu kryminałów Elmore'a Leonarda i arcydzieł Fritza Langa. Wybrałem plenery

w belgijskiej miejscowości Knokke i holenderskiej Hadze. Miało być mrocznie, dwuznacznie, co najmniej tak tajemniczo jak w gangsterskich widowiskach Jean-Pierre'a i Melville'a. Gdy już mieliśmy rozpoczynać zdjęcia, moja przyszła żona, z którą dopiero zaczynałem się wtedy spotykać, rzuciła kąśliwą uwagę, że chyba trochę za bardzo zadzieram nosa i zgrywam wielkiego reżysera.

Wyobrażam sobie pańską reakcję.

W pierwszej chwili myślałem, że się przesłyszałem. Gdy w końcu dotarły do mnie jej słowa, poczułem się urażony. Moje ego potwornie ucierpiało, miałem jednak na tyle oleju w głowie, by przyznać jej rację. Następnego dnia, zawstydzony, gruntownie przepisałem cały scenariusz, ratując zapowiadający się na kompletną klępkę projekt zatytułowany „Cuba Libre”.

Pycha jest częstym grzechem nie tylko artystów.

Mnie to minęło, gdy zostałem zaakceptowany i zrozumiałem, co znaczy być częścią zespołu. Nie dowierzam reżyserom mówiącym, że zawsze mają film rozpisany od a do zet w swojej głowie. Ogólny zarys, jakieś mętne wyobrażenie – owszem, można mieć. Szczegóły rodzą się jednak w wymianie spostrzeżeń ze współpracownikami. Wymyślanie rozwiązań polega na dyskusji i kompromisie, pracuje się kolektywnie. Nie ma czegoś takiego jak samotny reżyser zamknięty w wieży z kości słoniowej. Jean Renoir, François Truffaut, Howard Hawks wiedzieli to najlepiej. Od nich się uczyłem.

Nie pomyłę się, sądząc, że „Czerwone niebo” to ironiczny wariant pańskiej autobiografii?

Pisząc „Czerwone niebo”, zastanawiałem się naturalnie, ile jest mnie w Leonie. Nie jestem w stanie wyrazić tych proporcji określić, zależało mi jednak bardzo, żeby grający go aktor Thomas Schubert nie był sztywniakiem. 30 lat temu, gdy byłem w jego wieku, brakowało mi właśnie dystansu i poczucia humoru na swój temat. Ciągnęło mnie do ciężkiej problematyki: rozliczeń z komunistyczną przeszłością NRD, Holokaustem, lubiłem odwoływać się do mitów i archetypów. A teraz to wszystko odrzuciłem. Znaczenia są poukrywane głębiej. Nawiasem mówiąc, nigdy nie przepadałem za publicystyką, branie na tapet tzw. gorących tematów tylko po to, by je zilustrować, jest jałowe. Dopiero uruchomienie wyobraźni daje szansę na coś nieoczywistego.

Kręcenie tego filmu to był rodzaj autoterapii?

Niedosłownie. Mam taką metodę, że na trzy miesiące przed rozpoczęciem zdjęć organizuję dla aktorów coś w rodzaju seminarium albo panelu dyskusyjnego. Zbieramy się w przestronnym pomieszczeniu, czytamy tekst na głos, rozmawiamy o motywacjach, o moich intencjach i przemyśleniach, pokazuję im fotografie, różne obrazy, by sobie wyobrazili sposób realizacji, puszczam muzykę, by poczuli klimat itd. Przez trzy dni, dla inspiracji, oglądamy też wspólnie wybrane przeze mnie filmy. Potem objeżdżamy lokacje. Nie ma jeszcze sprzętu ani ekipy technicznej, więc łatwiej jest zamarkować ruch, oswoić się z dynamiką scen. W trakcie tego czytania wszyscy się potwornie śmiali. Tymczasem ja nie planowałem komedii. Wydzźwięk scen wydawał mi się raczej smutny. I to właśnie była moja prawdziwa terapia.

Leon jest egocentrykiem, co nie pozwala mu dostrzec, że świat wokół niego płonie. Dziwi się, że wszystko

układa się nie pod jego dyktando. Jak w niektórych przypowiadkach Érica Rohmera albo Davida Lyncha.

Wracając z trasy promocyjnej mojego poprzedniego filmu „Undine”, otrzymałem we Francji prezent: komplet 25 płyt DVD z twórczością Rohmera. Dojechawszy do Berlina, odkryłem, że jestem zarażony koronawirusem. W planach miałem adaptację dystopijnej prozy Georges’a Simenona, lecz szybko mi się odechciało – podobną rzecz, „Tranzyt”, niedawno przecież zrobiłem. Przykutym do łóżka, z ciekawością przysłuchiwałem się dyskusji prowadzonej w mediach, że covid pozytywnie wpłynął na młode pokolenie, przywykłe do hedonistycznego stylu życia, zmuszając je do wyciszenia i opamiętania. Wziąłem się też do oglądania Rohmera i nie mogłem się oderwać. W Niemczech nie istnieje gatunek moralnej przypowieści rozgrywającej się latem, gdy młodzi eksperymentują. Z dala od rodziców jadą na wypoczynek w poszukiwaniu nie wiadomo czego, a tak naprawdę dowiadują się, kim są. Francuzi nazywają to edukacją sentymentalną. Rohmer nakręcił sporo takich filmów, wiele naprawdę znakomitych. Nie było lepszego sposobu na wyrwanie się z pandemii, jak nawiązanie do takiej właśnie letniej przypowieści, podpartej jeszcze lekturą Czechowa.

„Mewą”?

Nie, „Domem z atyką”, wspaniałym opowiadaniem o dwóch artystach: malarzu i literacie. Obaj są nieudacznikami, ale jeden z nich, bogaty, ma dom na wsi, gdzie spędzają wakacje. Czas płynie leniwie. Nikt niczego nie tworzy. Po prostu siedzą i gadają o życiu. Niedaleko stoi drugi budynek, zamieszany przez dwie siostry i ich matkę. Jedna z siostrz jest komunistką, która bardzo chce zmienić świat. Panowie zakochują się w nich, jednak z tej miłości niewiele wychodzi. Rohmer, Czechow, pandemia – napisałem nowelę w trzy dni. Dałem tytuł „Szczęśliwi”, że niby o pokoleniu uważającym się za spełnione. Mają wszystko, robią, co chcą, ale najwyraźniej czegoś nie rozumieją.

W „Czerwonym niebie” dużo się rozmawia o pracy. Czy gotowanie to praca? Czy pływanie to praca?

A pisanie? Dlaczego to takie ważne?

Zanim wyjaśnię, cofnijmy się do początków historii kina. Każdy wie, że pierwszym ruchomym obrazem było „Wyjście robotników z fabryki” braci Lumière. Kamera w planie ogólnym rejestruje pracowników udających się po pracy do domu. Są umyć, przyzwoicie ubrani, w miarę zadowoleni. Już z tego filmiku można wysnuć wniosek, że kino unikało ukazowania



Christian Petzold (ur. 1960 r.) – niemiecki reżyser i scenarzysta filmowy.

Debiutował dramatem „Decyzja” (2000 r.) o parze lewicowych terrorystów, nagrodzonym Niemiecką Nagrodą Filmową. Zrealizował m.in. „Barbare” (2012 r.) o inwigilowanej lekarce w NRD, uhonorowaną za reżyserię na Berlinale, melodramat „Undine” (2020 r.), nawiązujący do mitu o nimfie wodnej Ondynie (Europejska Nagroda Filmowa dla najlepszej aktorki Pauli Beer). Jego najnowszy film „Czerwone niebo” zdobył Grand Prix Jury na tegorocznym Berlinale, będzie pokazywany na festiwalu Nowe Horyzonty we Wrocławiu.

fizycznego wysiłku. Sztuka socrealistyczna świadomie okłamywała widzów, tworząc zmyślane, wyidealizowane scenki na ten temat. W drugiej połowie XX w. nastolatki, pytane, kim chcą zostać, deklarowały, że pielęgniarzkami, fryzjerkami. Dziś każdy chce być pisarzem, aktorem, influencerem, modelką. Wszystko, co jest produkcją i wymaga ciężkiej pracy własnymi rękami, odpada. Potem, w wieku 30–40 lat, nagle ludzie znowu chcą pracować fizycznie. Najlepiej we własnym ogródku, wytwarzając ekologiczną żywność.

Co z tego wynika?

Leon, bohater mojego filmu, doskonale wie, jak powinien się zachowywać artysta. I naśladuje znane mu wzory, mające go identyfikować z wymarzoną profesją. Jego przyjaciel, początkujący fotografik, wręcz przeciwnie – tak naprawdę wcale nie chce zajmować się twórczością. Woli naprawiać dach. Więc obaj są odklejeni. No i jest jeszcze Nadja, najbardziej z nich świadoma, piękna dziewczyna, obiekt westchnień. Dawniej zobaczylibyśmy ją półnągą na basenie, jak kusi i przyciąga erotycznym powabem. U mnie Nadja jeździ na rowerze, kupuje jedzenie, przygotowuje posiłki, zarabia i uprawia seks na własnych warunkach. Ma to, czego oni nie posiadają. Jest podmiotem, a nie wyalienowaną jednostką udającą, że wykonuje coś, na czym jej zależy.

Faceci gorzej się odnajdują w dzisiejszych czasach?

Nie wiem, czy warto tak uogólniać. W filmie wszystkie postaci są na swój sposób niewinne, jak całe dzisiejsze młode pokolenie. Niczego jeszcze nie doświadczyli, nie zdołali pobrudzić sobie rąk, niewiele sami dokonali. Więc kiedy nadchodzi katastrofa, nie potrafią się odnaleźć ani zapobiec jej konsekwencjom czy wyciągnąć z tego lekcji. W filmach Rohmera, mimo poczucia klęski, przyszłość rysuje się optymistycznie, bo nie wyklucza zmiany. Współczesnemu młodemu pokoleniu, które przeżyło pandemię, wydaje się, że granice są wszędzie i żadne obietnice nie zostaną spełnione. Ich wolność ograniczają rządy i kapitaliści. Rozwój ekonomiczny potęguje panujący kryzys nadmiernej eksploatacji. Z drugiej strony brakuje im czasu na miłość; nie mają

cierpliwości, aby ją uczciwie, emocjonalnie przeżyć i na jej bazie coś sensownego zbudować.

Na miłość trzeba zapracować?

Tak, miłość trzeba umieć pielęgnować, stale o nią zabiegając. Niczego nowego nie odkrywam. Wydaje mi się, że pozbycie się złudzeń na ten temat jest jednak dla wielu osób zbyt trudne. Mit romantycznego zauroczenia wciąż działa. Studiowałem literaturę i czasami nie potrafię się powstrzymać, by nie zacytować słynnego w Niemczech eseju autorstwa niedawno zmarłego Wernera Hamachera. Jego teza jest taka, że wyniszczające trzęsienie ziemi, które miało miejsce w Lizbonie w XVIII w. i pochłonęło tysiące niewinnych istnień, stanowiło punkt zwrotny współczesnej historii, ponieważ wtedy Bóg nas opuścił. Jeśli Bóg dopuszcza takie trzęsienia ziemi, to nie ma sensu w niego wierzyć. Kant, Hegel, wszyscy powołują się na ten kataklizm. Kiedy Nadja recytuje „Der Asra” Heinricha Heinego, wspomina tych, co muszą umrzeć, kiedy wydaje im się, że najbardziej kochają. I w gruncie rzeczy o ten paradoks mi chodzi.

Nie zniechęca pana liczba kręconych filmów i seriali? Wierzy pan w kino, w jego moc opowiadania historii?

Sny i kino mają wiele wspólnego ze sobą. Kino żywi się marzeniami, a ludzkie tęsknoty napędzane są filmowymi wizjami. Jeśli zaprzestaniemy tworzyć kino, coś wewnątrz nas umrze. Potrzebujemy się nawzajem i mimo zalewu tandety jestem pewien, że nie wszystko zostało opowiedziane. ■

REKLAMA

LETNIA PROMOCJA
Kupując elementy legendarnej „Marii”
(w wersji białej, kwiatowej lub w nowych
pastelowych odcieniach) o wartości 2500 pln
otrzymasz bonus 1000 pln!
www.rosenthal.pl



Na tropach szatana

Ishbel Szatrawska

Czy potrzebna nam konstytucja? A jeśli tak, czy nie byłoby łatwiej, gdyby składała się z jednego zdania? Na przykład: „Na terenie Rzeczypospolitej Polskiej gwarantuje się wolność wyznania pod warunkiem, że jest katolickie”. Można w nim zawrzeć wszystko, co powinno znajdować się w najwyższym akcie prawnym, a że świat generalnie dąży do skrótów i uproszczeń, załatwiłoby się masę spraw jednym paragrafem.

Ta myśl mogła przyświecać Karolowi Guzikiewiczowi z NSZZ Solidarność w Stoczni Gdańskiej, kiedy zażądał „korekty” programu metalowego Mystic Festival, powołując się na obrazę uczuć religijnych, snując domniemania na temat satanistycznego charakteru imprezy, w końcu grożąc konsekwencjami finansowymi „za doznaną krzywdę”. Organizatorzy festiwalu chyba niespecjalnie się przejęli apelem, skoro koncerty doszły do skutku. Przejął się za to ktoś w Przedsiębiorstwie Komunikacji Samochodowej w Gdyni, ponieważ zaledwie kilka dni później ogłoszono, że słynna, przyciągająca turystów linia autobusowa 666 kursująca na Hel będzie odtąd nosić miano linii 669. (Doprawdy, nie wiem, która z tych dwóch nazw jest gorsza).

Jak zatem widać, nasila się walka z mocami ciemności. Trwa ona zresztą nie od dziś i potrafi zaskoczyć, bo szatan pojawia się tam, gdzie byśmy się go zupełnie nie spodziewali. Na przykład: w późnych latach 90., po transferze do niemieckiej drużyny, polski piłkarz Tomasz Hajto zadeklarował się w odpowiednim urzędzie jako bezwyznaniowiec. Uczynny kolega objaśnił mu, że oszczędzi na podatku kościelnym, a poza tym kto to widział, żeby Polak zarabiał niemieckie marki i jeszcze miał z nich płacić podatki na, tfu!, niemiecki Kościół? Po paru latach piłkarzowi uzbierały się spore zaległości (podobno 100 tys. marek), a urząd i tak go dorwał – wystarczyło, że ktoś przyuważył, jak Hajto żegna się przed wejściem na murawę. Wywiadu dla Onetu z tym poruszającym wyznaniem Hajto udzielił wprawdzie prawie rok temu, ale fakt, iż rozmowa ostatnio zyskała w czeluściach internetu nowe życie, tylko świadczy o tym, że prześladowania

katolików nie ustają i każdy taki eksces powinno się skrupulatnie odnotować.

W Piśmie szatan opisywany jest jako siła nie tylko mroczna, ale przede wszystkim przebiegła. „Oblecście pełną zbroję Bożą, byście mogli się ostać wobec podstępnych zakusów diabła” – czytamy w Liście do Efezjan (Ef 6, 11). Krótko mówiąc, gagatek lubi się ukryć tam, gdzie się go najmniej spodziewamy, i sprawnie zwodzi nas na manowce.

Zastanówmy się: gdzie należałoby szukać Księcia Ciemności?

W pierwszej kolejności nie zawadzi dokonać oględzin Podhalańskiego Szpitala Specjalistycznego w Nowym Targu. Tak, tego, który nosi imię wielkiego papieża Polaka Jana Pawła II oraz znajduje się w posiadaniu relikwii świętego. Szatan, jak wiadomo, jest przebiegły, więc ukrycie się w miejscu tak świętym jak nowotarski szpital byłoby bardzo w jego stylu. Z wrodzonej przekory zostawił nam parę tropów: nakaz leżenia z nogami do góry po odejściu wód płodowych, bo może te wody „napłyną” (kto inny mógłby wpaść na tak chory pomysł?); zakaz wykonywania jakichkolwiek

ruchów czy dotykania brzucha, by nie wywołać skurczy; ogólna beczynność personelu, który czekał chyba tylko na to, by pacjentka dostała sepsy. Po obumarciu płodu personel szpitala zlekał jeszcze dwie godziny z wykonaniem telefonu do wojewódzkiego konsultanta do spraw ginekologii i położnictwa, niezbędnego do podjęcia decyzji o usunięciu martwego płodu. Na co przez te dwie godziny czekano? Co się miało zdarzyć w ciągu tych dwóch godzin? Jeśli personel wierzył, że płód zamartwychwstanie, to, przepraszam za szczerość, szatan nie tylko ukrył się za papieskimi relikwiami, ale też na dobre rozgościł.

Jeśli te argumenty wydają się jednak niewystarczające do udowodnienia działania mocy diabelskich, można jeszcze wspomnieć o komunikacie władz szpitala, które z rozbrajającą szczerością oznajmiły, że pacjentka – „jako osoba związana ze środowiskiem medycznym” – wiedziała, co się dzieje. Trudno stwierdzić, co władze szpitala miały na myśli, ale jeśli chcą nam przekazać, że pacjentka miała świadomość, iż może umrzeć, to, proszę Państwa, to już nawet nie jest tortura. To czysty satanizm.

Jest też wielce prawdopodobne, że w ciągu ostatnich tygodni szatan podróżował po Podkarpaciu. Tam wtopił się w tłum rozjuszony postawą dyrektorki wiejskiej szkoły, która – po wyznaniach uczniów molestowanych przez księdza – zgłosiła sprawę do kurii. Nauczycielkę przegoniono, niemal wywożąc ją na tacce. Triumf sił nieczystych jest w tym przypadku szczególnie ohydny, korzysta bowiem z tak symbolicznych postaci i rekwizytów jak katolicki kapłan i wywózka na tacce.

Polskie dzieje najnowsze obfitują w podobne historie. Mimo naszych wysiłków piekielne moce nieustannie szturmują nasz piękny kraj i nie powstrzymują ich ani stosowne dekryty, ani krucjata różańcowa broniąca polskich granic. Może zatem warto się zastanowić nie nad tym, czy szatana warto tropić i go zwalczać, ale nad tym, gdzie go właściwie szukać?



Ishbel Szatrawska (ur. 1981 r.) – dramatisarka i teatrolożka, nominowana do Paszportu POLITYKI za dramat „Żywoć i śmierć pana Hershha Libkina z Sacramento w stanie Kalifornia” (wyd. Cyranka).

Wakacyjny krindź



Pisanie o krindżu jest już krindżowe samo w sobie. Człowiek nigdy nie wie, kiedy osunie się w śmieszność i żenadę. Wydaje nam się, że nadal jesteśmy młodzieżowe, a tu – bach – dziaderstwo z butów wyłazi.

„Krindź” brzmi trochę jak „kindżał” i miewa podobne zastosowanie. Gdy już się człowiek napręży przy sportowym samochodzie, kiedy już wrzuci fotę na media społecznościowe, czekając na zalew lajków, ktoś nagle woła: „Ale krindź!”. A wydawało się, że tacy jesteśmy świetni, pozując przy czerwonym kabrioletcie. To samo może spotkać kogoś, kto wraca z wakacji z furą warkoczyców na głowie, witając się ze wszystkimi słowem *peace*, co w polskiej wymowie brzmi „pis”. Krindź, i to podwójny.

Co gorsza, używanie tego słowa przez osoby powyżej czterdziestego roku życia jest piętrowym krindżem, bo spolszczonym, angielskim zwrotem *cringe* śmieiej żonglują ludzie o połowę młodszy. Nam pozostałoby używanie starego, pocziwego słowa „obciach”, gdyby nie podejrzanie, że będzie to krindź totalny.

Krindź to poczucie zażenowania, które każe odwrócić wzrok, bo ciało aż się wzdryga ze wstydu. Jeśli da się temu publiczny wyraz, dla ocenianej jednostki krindź to kindżał, smycz i kaganiec w jednym. To, jak nas widzą inni, było i jest ważną częścią życia społecznego, a ludzkie bycie razem oznacza stosowanie się do określonego zestawu reguł. Kto się ich nie trzyma, tego inni napiętnują i wystawią za drzwi. A narzędzi jest sporo, od napaści, przez samosąd, po plotkę czy ostracyzm. Ślady w języku oraz fakt, że próbujemy wciąż na nowo określić palące uczucie zażenowania tym, co i jak ktoś robi, świadczą o tym, że czujemy się bezpiecznie, gdy mamy reguły pozwalające określić, kto się wychylił. „Ale siara” – mówiło się kiedyś na określenie tego, czego robić nie wypada.

Krindź to wyrafinowany *savoir-vivre*. O ile zestaw manier można przyswoić choćby z internetu, o tyle środowiskowe żenady i powstające wokół nich inby to już wyższa szkoła jazdy, trzeba mieć mocno uwewnętrznzone reguły, by wiedzieć, jak ich nie łamać. Ciało nam pomoże, wzdrygnie się, gdy przekroczymy granice dobrego smaku – dobrego, czyli tego, który uważany jest za normę w naszym kręgu.

Obciach, krindź to cicha radość na widok tego, że ktoś się ośmieszyl. Czy takie uczucie jest potrzebne? Lepiej zadać pytanie, co byśmy bez niego zrobili. Bez obserwowania i oceniania innych zdechłaby ironia, umarła parodia, a stand-uperzy poszliby z torbami, płacąc odszkodowania tym, którzy poczuli się obrażeni. Być może ustałby *bullying* – nękanie tych, którzy nie chcą być tacy jak reszta. Ale co by się stało z poczuciem humoru, tym lepikiem kontaktów, najszybszym sposobem na ocieplenie relacji, zbiorowe rozładowanie emocji?

To jak, śmiać się z innych czy nie? Odpowiedź zależy często od tego, w jakim obozie było się za młodu, wyśmiewanych czy wyśmiewających. Ktoś obrywał workiem

z kapturami albo cierpiał, bo wytykano mu piegi, dlatego że ktoś inny tym workiem wymachiwał oraz z piegów się zarykiwał. Wdrukowanie sytuacji z dzieciństwa wpływa w dużej mierze na późniejsze zachowania. Uspołecznianie nabiera szwungu w szkole, na koloniach, obozach czy w organizacjach paramilitarnych, gdzie hierarchię wprowadza się od najmłodszych lat, a wraz z nią przyzwolenie na to, że jedni mogą pozwolić sobie na więcej niż inni. „Co wolno wojewodzie, to nie tobie mały smrodzie” to hasło klucz, z którym brniemy w dorosłość. A potem się za to odgrywamy. Tylko kto jest „wojewodą”? Ten, kto ma więcej pieniędzy i lajków, czy ten, który wreszcie może się odegrać?

W powieściach i filmach sprzed dekad odnajdujemy taką dawkę codziennej przemocy, do której dziś już nie jesteśmy przyzwyczajeni. Potężny chłop Boryna leje żonę, dzieci, parobków oraz okłada batem zwierzęta. Staś ratuje Nel, ale wysługuje się Kalim. Słabszy fizycznie jest przegrany, co w XIX-wiecznym świecie, nie tylko powieściowym, wydaje się normą. Nawet dziś stosunki pokazywane na ekranie w niby to ciepłych komediach rodzinnych sygnalizują hierarchię. Dziecko ma siedzieć cicho i nie pyskować. I chociaż z tego żartujemy, frustracja zostaje.

Z takiego punktu startuje film „Pan Samochodzik i templariusze”. To polska produkcja, gdzie w roli głównej występuje niby-Roger Moore („Święty”), w lateksach przemija Uma Thurman („Kill Bill”), a na wszystkich czyhają Kot w Butach i Pirat z Karaibów, czyli Antonio Banderas („Shrek”) i Johnny Depp w jednym. Blondynka, tradycyjnie Ta Dobra, porusza się z założonymi na piersiach rękoma, które rozprostowuje tylko raz, gdy sięga po białą broń, by dać nauczkę Złemu. Ten jednak dociąga do finału, à la „Indiana Jones” przy muzyce będącej sprawdzonym miksem motywów z „Jamesa Bonda” i „Mission Impossible”. Aż dziw, że Złego nie zabiła wcześniej dawka patofeminizmu, ze słowem „siostrzeństwo” odmianowym we wszystkich przypadkach.

Przy całej swojej krindżowości, film usiłuje przekazać wiadomość, że słabszy też może mieć rację, a przez zaniedbania wychowawcze na świecie kłują się psychopatki (pani w lateksie). Narcyzym głównego bohatera zostaje obnażony i przewalkowany w scenie pospiesnej terapii dokonanej metodą chałupniczą (scena w areszcie). Przy czym wydaje się on raczej lękiem przed bliskością, który wyrósł z jakichś chłopięcych traum, bo wszyscy dorosli za coś się tu ciągle odgrywają, odstawiając jatki w duchu Tarantino, i tylko dzieci mają do nich cierpliwość.

To jak, możemy się trochę wyłośliwić, czy nie wypada? Pisać tak o filmach, książkach, o ludziach, którzy kreują swoje wizerunki w sferze publicznej? Może to krindżowanie nie jest takie złe, zwłaszcza jeśli opiera się na śmianiu z samej siebie.

GRAZYNA PLEBANEK, SYLWIA CHUTNIK



Kawałek cienia

W pokoju panuje chłód. Dom jest drewniany, lecz podmurowany. („Zauważ plagi, dwusłowy wprawdzie, lecz bezsporny”). Stoi wśród drzew i jakoś się obywa bez klimatyzacji.

W tym roku fala upałów przyszła nieco później. Kanada płonęła, Nowy Jork zniknął w chmurze popiołów, eksperci odnotowali najwyższą średnią temperaturę w historii pomiarów i tylko w Polsce było całkiem znośnie. W gazetach pisali, że słupek rtęci nie potrafi przebić szklanego sufitu. Ale w końcu upał przyszedł i do nas.

Był początek lipca, gdy na kilka dni zwagarowaliśmy z miasta. Droga okazała się długa. Prowadziła wśród reklam stomatologii, medycyny estetycznej, zakładów bukmacherskich i swojskiego jadła. Ojczysty krajobraz to niekończący się blok reklamowy. Polsat, którego nie można wyłączyć. Przed oczami turlały się ogromne zdjęcia wybielonych zębów, skorygowanych piersi oraz (byłego) wiceministra rolnictwa.

Wiceminister plenił się na poboczach. – Postaw na soję – zachęcał. – Postaw na słonecznik! – radził. Poza tym bronił polskiego sportu, wspierał ochotniczą straż pożarną i rodzime lasy. Kiedy przejeżdżasz przez Polskę, Polska przejeżdża przez ciebie. Po kilkuset kilometrach czułem, jakbym miał gorączkę. Moją głowę wypełniał wiceminister rolnictwa i rozwoju wsi, gigantyczny jak plon z hektara (choć już były).

Dopiero pod wieczór skręciliśmy w boczne drogi, zbyt wąskie na łowienie elektoratu. I tyle pamiętam z podróży.

Niedługo przed wyjazdem byłem na spotkaniu z architektem, który odkrył, że ludzie się poruszają. Poświęcił temu spostrzeżeniu książkę i wykład. Przytaczał szereg przykładów na poparcie głównej tezy, ale kluczowe dla całego wywodu okazały się wspomnienia z dzieciństwa. Otóż w dzieciństwie architekt chodził na piechotę. Czasem chodził powoli, a czasem się spieszył, biegł, łapał oddech, spoglądał za siebie. Wystraszony na mrocznych klatkach schodowych, odczuwał ulgę na gościnnych podwórkach. A wszystko to przeżywał jako dziesięciolatek, jeszcze bez pancerza architektonicznej wiedzy i władzy. Dlatego, cofając się do dzieciństwa, architekt znów był tylko użytkownikiem architektury. Mieszkańcem. Spacerowiczem. Później, już na powrót dorosły, referował ustalenia psychologów przestrzeni, prezentował plany, rysunki i schematy.

Zacząła się dyskusja. Trochę mnie korciło, żeby zabrać głos w imieniu nie-architektonicznej społeczności:

– Tak, wszystko się zgadza! Często nawet nie dostrzegamy waszych budynków. Przestrzeń jest dla nas łańcuchem obrazów i wrażeń. Miasto składa się

z powierzchni śliskich lub chropowatych. Powstaje z dźwięków, z plam słońca i kawałków cienia. Z ciszy, hałasu, z niebezpieczeństw, napisów i wspomnień.

Są miejsca, z których pamiętam tylko kontakt w ścianie lub wytartą lastrykową posadzkę. Kiedy myślę o mieście K., widzę studnię, nawet nie całą studnię, a jedynie odrapaną rączkę i strużki wody (właśnie płyną szczelinami bruku, z ciemnych linii układa się skomplikowany schemat, mapa możliwych wyborów i decyzji, ich następstw i konsekwencji tych następstw, rysunek rozrasta się we wszystkich kierunkach; czuć zapach mokrego kamienia). Doświadczamy przestrzeni za sprawą tysięcy drobnych wrażeń, mikrodoznań, nanodoświadczeń.

Głupio byłoby startować przy ludziach z podobnym tekstem. Trzymałem więc dziób na kłódkę.

Współczesna architektura chętnie stosuje rozwiązania siłowe. Ma do dyspozycji koparki i dźwigi. Występuje przeciw grawitacji, cyrkulacji, przeciw retencji, esencji, geologii i tradycji. Walczy z klimatem, z przestrzenią i z rozsądkiem. Może ogrzewać i chłodzić. Pompować wodę albo osuszać teren. Najczęściej najpierw suszy, potem pompuje. Na zmianę chłodzi i ogrzewa. Karczkuje i zazielenia. Na każdym etapie pochłaniania nieskończone ilości materiałów i moze energii.

Jednak tamtego dnia zobaczyłem architekturę, która czerpie z dzieciństwa. W dzieciństwie nie znamy własnej siły. Nie wiemy, gdzie leżą granice naszej słabości. Zaczynamy odkrywać, że wszystkie zjawiska są powiązane, ale natura tych zależności pozostaje ukryta. Jeszcze nie mamy jasnego rozeznania w tym, co ważne, a co pozbawione znaczenia. Nie obrażamy świata przekonaniem o własnej wszechwiedzy.

Architektura też musi być dziecinna, żeby trenować niepewność, rozglądać się dookoła, odczytywać drobne znaki rozsypane pod stopami. Żeby doceniać mrówczą i ptasią mądrość budowania.

W pokoju panuje chłód. Okna są małe, a kamień na podmurówka wysoka. Przed upałami chroni nas rząd drzew, położenie w dolinie, dobór materiałów budowlanych i cyrkulacja powietrza. Na okolicznej wzgórza wdrapały się stada innych domów, nowych i spragnionych widoku. Pieką się teraz na słońcu. Dobrze im tak, punkty widokowe to nie miejsce na dłuższe postoje.

Wieczorami na naszym – chwilowo naszym – proggu pojawia się ropucha szara. Podobno żyje gdzieś w fundamentach. Nie jest szczególnie rozmowna, ale ona również sprawia wrażenie zadowolonej z mieszkania.

(No i bardzo polecam książkę Łukasza Wojciechowskiego pt. „Spacer przez architekturę”).

MARCIN WICHA



Zagranice

Gdzie się wybieracie? – zagadnęła mnie sąsiadka, kiedy wyciągałem z bagażnika wszystko, co wozę w nim przez cały rok w przekonaniu, że saperka, buty trekkingowe, odzież termiczna, mata, śpiwór, dwa składane krzesła, zestaw narzędzi, lina, półspakowany plecak, kilka książek są mi niezbędne w codziennej drodze do biura lub na zajęcia. Bo przecież...

– A nie, to na razie porządki, żeby było miejsce na walizki – odpowiedziałem wymijająco, wstydząc się swojego syndromu preppersa. – Do Włoch planujemy. Ale już nie smakują te zagranice tak jak kiedyś – dodałem.

– Jak się panu znudziły, niech pan jedzie do Usnarza albo do Minkowic, stanie przed tym murem, cośmy zbudowali, i pomyśli, że jest pan z drugiej strony, tej białoruskiej. Zaraz się panu zachce zagranicy. A to wszystko – pokazała na zawartość mojego bagażnika – tym ludziom w lesie by się przydało. I zostawiła mnie ze wstydem i śpiworem w ręce.

Niewiele rzeczy przychodzi nam z równą łatwością, co wyznaczanie granic. Każdy powód jest dobry, żeby oddzielić „tu”, gdzie jesteśmy, od „tam”, gdzie są oni. Przychodzimy na świat z przymusem posiadania swojego terytorium. A potem wychowanie, religia, szkoła i polityka będą nas popychać do otwierania albo do zamykania jego granic. Do jednego i drugiego jesteśmy gotowi od dziecka.

Ważnym kawałkiem świata mojego dzieciństwa była przestrzeń między czterema niskimi blokami, gdzie spędzaliśmy większość wolnych godzin każdego dnia. Trzy bloki były „stare”, jeden „nowy”, ponieważ został wybudowany później. To wystarczyło, żeby powstała niewidzialna granica, która dzieliła nas podczas większości gier i zabaw. Przy grze w nogę czy przy tworzeniu band zawsze dzieliliśmy się na tych z „nowego” i nas ze „starych”. Jako mieszkaniec sąsiedztwa byłem przez „starych” uznany za swojego z racji babki Milki, która mieszkała w jednym z tych bloków. Sympatie nie miały znaczenia, decydował adres. Tu my, tam oni. Ten absurdalny podział wystarczył, żebyśmy naprawdę uważali, że ci z „nowego” są gorsi. Na szczęście utrzymanie ksenofobicznej wspólnoty podwórkowej było trudne, bo prawie zawsze brakowało kogoś do składu drużyny albo kolega z wrogiego bloku dostał w paczce nowy numer „Bravo”. Dobra zabawa okazywała się ważniejsza od spójności poglądów i ochnocho przekraczaliśmy strzeżone niedawno granice. Okazywało się, że wbrew buńczucznym deklaracjom wcale nie chcemy być tylko „tu” i tylko z sobą.

Wszystko, co dzieje się na granicach państwa, ma początek na naszych placach, ulicach, osiedlach. Tam kształtuje się społeczne doświadczenie granicy jako układania się z naturalnym lękiem przed własnym i cudzym migracją. Niestety, tylko trening praktyczny przynosi owoce. Trzeba jeździć do innych niż my i gościć ich u siebie. Byłoby wspaniale, gdyby dawało nam to wyłącznie przyjemność i pożytek. Ale tak nie jest, bowiem przekraczanie

granicy nieodłącznie wiąże się z obawą, kto stamtąd przyjdzie i gdzie my się znajdziemy. Granica stawia w stan podejrzenia każdego, kto się do niej zbliża z dowolnej strony. Każdy system autorytarny umacnia w obywate-

lu i przybyszu lęk przed granicą, który będzie nosił ze sobą i nigdy na dobre nie uwierzy w świat bez granic.

Pierwszy prawdziwy wyjazd za granicę tylko mnie utwierdził w niechęci do ich przekraczania. Mimo że był wspaniały. Pojechaliliśmy w 1990 r. z Wernerem do Wiednia, do jego mieszkania na Haufigasse, w sam środek wysokiego austriackiego mieszczaństwa, dużych starych pieniędzy, wysokiej kultury i niepojmowalnych dla przybysza reguł zyskiwania szacunku lub pogardy w oczach ludzi, którzy mijali cię na schodach. Ja to zażdrośnie podziwiałem, Werner nienawidził z żarliwością, która czyniła go mlecznym bratem Bernhardta i Jelinek. Wyniósł się z Austrii po maturze. Studia chemiczne zrobił w Kanadzie, a później pracował dla firm naftowych w całej dawnej Mitteleuropie. Miał nieprawdopodobny dryg do języków. Jedynym, którego nie chciał używać był niemiecki. Słyszałem go mówiącego nim dwa razy. Jego niechęć do powojennej Austrii sprawiała, że wciąż z niej wyjeżdżał, zwłaszcza kiedy był na miejscu. Mimo to robił wszystko, żebyśmy się tam dobrze czuli. Był hojny, dowcipny, odcytany, złożył nam nasz pierwszy komputer, zrobił wspaniałą polędwicę, nauczył austriackich win. Wszystko na próżno. Im bardziej był otwarty, tym dobitniej zdawaliśmy sobie sprawę, jak bardzo jesteśmy kulturowo i ekonomicznie ograniczeni. Pierwszy samodzielny spacer po mieście nas dobił, uświadamiając, że z naszymi pieniędzmi i niewiedzą o świecie, o którym marzyliśmy w PRL-u, jesteśmy na łasce przyjaciela. Granice się mnożyły – w sklepach, tramwajach, muzeach, kawiarniach. Czy możemy tam wejść? Czy nas wpuszczą? Czy będzie nas stać? Postanowiłem, że nie wyjadę więcej z Polski, dopóki nie minie mi ten strach; dopóki nie będę miał środków, żeby go opanować.

Zabrało to dobrych parę lat, ale moment prawdziwego wyzwolenia pamiętam doskonale. Było to w dniu, kiedy przyjeźli nas do Schengen i pojechaliliśmy sprawdzić, czy to działa. Choć od tamtego czasu nic się nie zmieniło, do dziś towarzyszą mi niepewność, czy aby na pewno ktoś nas nie zatrzyma, i euforia, że granica znów nie stawiała żadnego oporu, choć przecież cały czas trwa w uspieniu, żeby kiedyś, z dnia na dzień, wyrosnąć barierą, płotem, murem. Polska w Schengen to historyczny cud; to nasz peron dziewięć i trzy czwarte, od którego większość świata jest oddzielona przez trudny lub niemożliwy do przekroczenia szlaban graniczny. Jak nam się to udało? „Najlepiej pobiec prosto na barierkę” – doradzała Harry’emu Potterowi pani Weasley. Więc ruszył, „zamknął oczy, spodziewając się strasliwego wstrząsu i łoskotu... Nic takiego się nie wydarzyło... biegł dalej...” (przeł. A. Polkowski).

RYSZARD KOZIOŁEK

• DOKĄD UCIEKNIE RZĄD • XI I MAO – ZNAJDŹ RÓŻNICE

Istnieje
od 1965

FORUM



N A J C I E K A W S Z E H I S T O R I E Ś W I A T A

nr 16 (28.07-10.08.2023)
Cena 12,99 zł (w tym 8% VAT)

POGODA NA JUTRO

Latem Arabia, zimą Laponia

BEZSENNY KIJÓW
Noce pod bombami

BERNARD ARNAULT
Pan marka

DYKTATOR
NA TORACH
Putina pociąg do luksusu

PRZEŻYĆ W OMAHA
Tam, gdzie
mniej zabijają

ZIEŁONE LATANIE
Skrzydła z prądem

KOLEKCJONERZY KOŚCI
Kup sobie dinozaura

TAK SIĘ BAWI STAMBUŁ
Taniec
pustego brzucha

JAPONKI DO PIÓR!
Murakamiemu
dziękujemy

BITWA O MANILĘ 1945
Zapomniana masakra



Dwutygodnik **FORUM** – najciekawsze historie świata
NOWY NUMER FORUM W SPRZEDAŻY OD 28 LIPCA

Atak hakerski na serwis POLITYKI

W poniedziałek rano doszło do ataku na serwery POLITYKI. Przez dłuższy czas treści tygodnika nie były dostępne w internecie dla naszych czytelniczek i czytelników. Był to tzw. atak DDoS, który polega na zapchaniu serwera lub łącza internetowego do serwera przez skierowanie ogromnego ruchu sieciowego z tysięcy komputerów na całym świecie – najczęściej zainfekowanych wirusami. Im większy taki sztuczny ruch jest kierowany na zaatakowany serwis lub stronę, tym wolniej ona działa, dochodzi do przeciążenia (nie wytrzymuje liczby odwiedzin) i w końcu staje się niedostępna.

Atak był kilkakrotnie silniejszy od poprzedniego, do którego doszło 18 maja. Wtedy strony wielu polskich portali i serwisów informacyjnych, w tym naszego, nie działały lub działały wolniej przez kilka godzin. Ministerstwo Cyfryzacji potwierdziło wówczas, że powodem problemów w redakcjach był atak DDoS. Prawdopodobnie autorami byli hakerzy z Rosji, którzy uaktywnili się po agresji na Ukrainę.

Czytelniczki i czytelników przepraszamy za problemy w dostępie do naszych treści i bardzo dziękujemy za zrozumienie.

REDAKCJA



Opiekun powinien być przewodnikiem

Przeczytałam artykuł „Popsiowa depresja” (POLITYKA 29) i przyznaję, że jestem wstrząśnięta. Wiele metod zalecanych przez wspomnianych w tekście „behawiorystów” zostało zdyskredytowanych dwie dekady temu. We wszystkich opisanych przypadkach można było postąpić lepiej i uniknąć podstawowych błędów. Gdy pies boi się człowieka, zachowujemy dystans i uczymy się podstaw psiej komunikacji. Już w latach 70. Monty Roberts mówił, jak zyskać zaufanie zwierzęcia: powoli podchodzimy, a na sygnał stresu, natychmiast się wycofujemy. Zwiernię widzi, że jest rozumiane, a człowiek stosuje się do jego próśb. To tak budujemy zaufanie.

Wyobraźmy sobie taką sytuację: noc, idzie za mną nieznamy. Boję się, skręcam w boczną uliczkę, licząc, że on pójdzie prosto. Niestety skręca za mną, a ja odkrywam, że uliczka jest ślepa. Proszę, żeby się zatrzymał, bo się boję. Co się dzieje? On się zbliża mówiąc, że nic mi nie zrobi. Czy może mnie to uspokoić? Nie, wpadnę w panikę, nie będę nawet rozumiała, co mówi. Jedyna myśl: jak przetrwać, czym się bronić. Tak właśnie czuła się Oreo, kiedy jej nowa pani siedziała przy niej z miską. A co, jeśli ów mężczyzna zatrzymałby się na moje wezwanie, zrobił trzy kroki w tył? Spozobryłabym, że uszanował moją prośbę – mamy kontakt, jestem gotowa go wysłuchać. Tego właśnie potrzebowała

Oreo: zrozumienia. Można było przetestować rzucanie jedzenia z odległości i wychodzenie z pokoju. Później rzucanie było usiąść jak najdalej i rzucić jedzenie w kierunku stołu – ale na oznaki stresu u psa, wychodzić. Z czasem Oreo zauważyłaby, że jest rozumiana i nabrałaby zaufania. Brak komunikacji to pat.

Inna historia. Czytamy: „Zeus to wymagający pies. Należy być (...) stanowczym, żeby nie próbował dominować”. (...) Tymczasem teoria dominacji jest jedną wielką bzdurą. W skrócie: powstała w wyniku obserwacji wilków trzymanyh w niewoli. To tak jakby uczyć rodziców postępowania z dziećmi na bazie zachowań osadzonych w zakładach karnych. W zoo/więzieniu obowiązują inne prawa niż w stadzie, które jest przecież rodziną. Dzieci w naturalny sposób uznają przywództwo rodziców. Prawidłowo działające stado/rodzina działa w oparciu o komunikację i współpracę, a nie o metody siłowe. I dalej: „W zabawie potrafił złapać właścicieli zębami”. Prawdopodobnie wcześniej pies komunikował, że chce mieć zabawkę dla siebie. Niestety tego, co mówi zwierzę, często nie rozumiemy. Stąd nieporozumienia. I jeszcze: „Zeus nie miał wstępu do sypialni (...) dla ich bezpieczeństwa i budowania hierarchii w stadzie”. To kolejny element dawno obalanej teorii dominacji. Zwierzęta stadne sypiają razem. To buduje więź między członkami społeczności. (...)

Podobnie z historią Samby: „Mijamy 10 osób, zero reakcji. Przy 11. (...) rzuca się na człowieka”. Samba bardzo się starała, ale każdy ma swoje granice. Jedenasty człowiek był tą kroplą, która przepełniła czarę. Pies adopcynny może się obawiać wielu rzeczy: ludzi, psów, aut, dźwięków. Gdy jest ich za dużo, wybucha. Pierwsze spacerki powinny być krótkie, nastawione na poznanie psa i znalezienie czegoś, co mu pomoże (głos opiekuna, dotyk, kopanie dołów, trzymanie czegoś w pysku). Błędem jest skracanie smyczy na widok obiektu, którego pies może się bać. Powinno się obejść „straszak” po łuku i udzielić psu wsparcia.

To prawda, że psy pod wieloma względami są jak dzieci, ale zdanie: „Właściciel ma być szefem stada” budzi we mnie bunt. Opiekun (czy psa, czy dziecka) powinien być przewodnikiem, uczyć, jak radzić sobie z problemem, a nie wydawać kategoryczne rozkazy i egzekwować ich wykonywanie. I dziecko, i psa można zastraszyć, zmusić do bezmyślnego posłuszeństwa, ale obarczone jest to ryzykiem, że nagromadzone frustracje w końcu wybuchną i dojdzie do nieszczęścia.

Dziwi mnie też, że nikt nie wspominał opiekunom o gryzakach czy zabawce typu kong? Żucie, gryzienie i lizanie w naturalny sposób uspokajają psa. Albo – dlaczego nie zalecano pracy węchowej, która działa terapeutycznie, wzmacnia psychicznie, uspokaja oraz pomaga w budowaniu silnej relacji z przewodnikiem? To też by pomogło.

NATALIA MATUSIAK, INSTRUKTORKA SZKOLENIA PSÓW



Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzegli ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6
02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA

tel. 22 451-61-33, 451-61-34;
tel./faks 22 451-61-35

ADRES INTERNETOWY www.polityka.pl

POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY

Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00, tel./faks 22 451-60-10

CZŁONKOWIE ZARZĄDU

Joanna Sołska, Mariusz Janicki,
Wiesław Władysław
Z-cy REDAKTORA NACZELNEGO
Mariusz Janicki (*Pierwszy Zastępca*),
Witold Pawłowski, tel. 22 451-60-03
Łukasz Lipiński (*wydawca cyfrowe*)

BIURO REKLAMY

tel. 22 451-61-36, tel./faks 22 451-61-37
e-mail: reklama@polityka.pl

Izabela Kowalczyk-Dudek (*dyr.*),
Julian Sobiech (*reklama cyfrowa*)

PROJEKTY SPECJALNE tel. 22 451-61-93

Za treść ogłoszeń redakcja ponosi
ODPOWIEDZIALNOŚĆ W GRANICACH WSKAZANYCH
W UST. 2 ART. 42 USTAWY PRAWO PRASOWE

PRENUMERATA PAPIEROWA

www.sklep.polityka.pl
Infolinia: tel. 67 270 86 30,
e-mail: infolinia@polityka.pl
Monika Kaliszuk-Radzko,
tel. 22 451-61-00, 451-61-15
e-mail: prenumerata@polityka.pl

PRENUMERATA CYFROWA

www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: tel. 22 336-79-16,
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BGZ BNP Paribas S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów, w tym artykułów na aktualne tematy polityczne, gospodarcze i religijne opublikowanych w POLITYCE jest zabronione.

Przedruki po uzyskaniu zgody Wydawcy.
Kontakt: Maciej Domagała,
tel. 22 451-61-25,
e-mail: m.domagala@polityka.pl

Druk Quad



PBC

lepa

PRINTED IN POLAND





ILUSTRACJA BASIA DZIEDZIC

A czy Ty jesteś wyzwolona/y seksualnie?

Perfekcja to brzydkie słowo. Zmusza nas do udawania w łóżku postaci, którymi nie jesteśmy: gotowych na wszystko kochanków i eleganckich dam.

Seks jest wszędzie”. „Mamy XXI w. i na ten temat wiadomo już wszystko”. „Rewolucja seksualna wybuchła w latach 60.”. „Jest Netflix i porno, kto chce, może korzystać ze swobody seksualnej” – to jedne z najbardziej rozpowszechnionych i krzywdzących kłamstw na temat kobiet, mężczyzn i seksu. Opowiadana nam toksyczna bajka o seksualności brzmi mniej więcej tak: dawno, dawno temu sprawy miały się źle i kobietom nie było fajnie, potem nastąpiły rewolucje seksualne i nastały inne czasy, teraz wszyscy są wolni. Jeżeli nie jesteś szczęśliwa, miej pretensje już tylko do siebie.

Spotykam wiele kobiet, które znają się na pozycji takiej, śmakiej i owakiej, są tak samo dobre w seksie oralnym, jak i analnym, ale nie wiedzą, jak mieć więcej przyjemności z seksu również dla siebie. Nie wiedzą, bo w naszym społeczeństwie, zgodnie

z normami promowanymi przez filmy pornograficzne, romantyczne oraz na naukach przedmażeńskich, kochanka doskonała to ta, która zadawała się zadowalaniem partnera i nie prosi o nic trudnego dla siebie. Mężczyźni to cenią i sobie chwalą. Takie kobiety nazywa się „wyzwolonymi seksualnie”.

Tymczasem kobiety boją się, że zostaną odepchnięte przez partnerów, jeśli ci będą mieli poczucie, że oczekuje się od nich czegoś „skomplikowanego”. Dlatego obniżają swoje oczekiwania i okropnie kłamią, że to nic takiego, że sprawy toczą się głównie wokół penisa albo że jest wręcz świetnie, kiedy naprawdę nie jest. Za to nas się ceni: za wypieranie się swoich potrzeb i nieprośenie o coś wymagającego zaangażowania. Ta emocjonalna manipulacja stanowi pożywkę dla szalejącej w naszym kraju epidemii. Epidemii, która określa jako hałaśliwe, podejrzone, irracjonalne te z nas, które odważą się zatroszczyć w łóżku (i poza nim) także o siebie i swoje potrzeby.

Dlatego zamiast deklaracji, jaka to jestem wyzwolona, podzielę się zasadami, których trzymam się w łóżku. Zacznę od tego, że erotyka jest zasobem, a nie dowodem społecznej poprawności. Mam prawo tak samo czuć się napalona, jak i onieśmielona w łóżku. Nie muszę niczego udowadniać: ani że jestem nowoczesna, ani że jestem kobieta. Wybieram sobie kochanków i kochanki, przy których czuję się bezpiecznie i mogę się na wiele odważyć.

Otwartość pomaga znaleźć rozwiązania. Zamknięcie rodzi frustracje. Jednym ze sposobów na wymknięcie się blokującym nas ograniczeniom jest podążanie za... swoimi potrzebami! Ciekawość to bardzo zdrowa pobudka. Jeżeli czujesz, że coś jest dobre i przyjemne, rób to. Jeżeli jakaś rzecz wydaje ci się fałszywa lub wymuszona, zaufaj sobie, zaakceptuj swoje odczucia i się wycofaj. Perfekcja to brzydkie słowo, które zmusza nas do udawania w łóżku kogoś, kim nie jesteśmy: superkochanków i eleganckich dam. Nie traktujmy śmiertelnie poważnie swoich doświadczeń seksualnych. W łóżku czasami coś wychodzi, a czasami nie. To, że coś nie wyszło ostatnim razem, nie oznacza, że nie należy próbować. Zabawa i testowanie rzeczy odmiennych, nowych to lepszy afrodyzjak niż łykanie hiszpańskich much.

Nie oceniaj ludzi na podstawie ich przekonań i zachowań seksualnych. To zapewne kuszące: uważać się za lepszą od kobiet, które wydają się wyzywające, napalone czy roszczeniowe. Można się ludzić, że dzięki takiemu odcinaniu się zasługujemy na poważniejsze traktowanie i większy szacunek. Ale osądzanie innych na podstawie ich seksualnych wyborów zawsze prowadzi do podkopywania wzajemnego zaufania i izolacji między kobietami w sytuacji, kiedy powinnyśmy się wspierać i sobie pomagać.

Zdobywajmy wiedzę na temat swoich upodobań i upodobań naszych partnerów. Bo pożądanie to złożona sprawa, a ludzie są różni. Pozwalajmy sobie i nie żałujmy innym. Odkrywanie przyjemności z seksu to przygoda na całe życie, a ja unikam osób, które twierdzą, że na ten temat wiedzą już (prawie) wszystko. I wam też radzę je omijać. ■



Joanna Keszka – edukatorka seksualna, aktywistka oraz autorka poradników i książek o seksie („Grzeczna to już byłam”, „Potęga Zabawnego Seksu”). Píše o seksualności na Barbarella.pl, prowadzi warsztaty i szkolenia.

Takie buty

TECHNO



Ludzie poruszają się przeciętnie z prędkością ok. 5 km na godzinę. – *Moonwalkers pozwalają przemieszczać się z prędkością do ok. 11 km na godzinę* – deklaruje tymczasem Xunjie Zhang, twórca i dyrektor Shift Robotics, firmy z Pittsburgha, która zajmuje się robotyką oraz inżynierią i stworzyła buty napędzane sztuczną inteligencją. Ich nazwa wzięła się od moonwalku (pol. księżycowy chód), ruchu tanecznego najczęściej kojarzonego z postacią Michaela Jacksona, a wyglądają jak sportowe sandały, które nakłada się na codzienne obuwie. Każdy but jest wyposażony w osiem kółek bocznych z napędem i dwa przednie. Są odporne na wodę (można w nich chodzić w deszczu i po mniejszych kałużach) i wytrzymałe (udźwigną do 100 kg). Jak przekonują twórcy na Kickstarterze, gdzie zorganizowali zakończoną sukcesem zbiórkę na swój produkt, korzystanie z nich nie stanowi

trudności (ładuje się je, podłączając do prądu) i jest bezpieczne. Moonwalkers mają się dostosowywać do naszego tempa i sposobu poruszania się. Silnik, który je napędza, można wyłączyć, kiedy wchodzi się np. po schodach. Koszt takiej pary butów to na razie 1400 dol.

Skąd pomysł na Moonwalkers? Zhang dojeżdżał do pracy oddalonej o ponad 3 km. Gdy używał auta lub komunikacji miejskiej – utykał w korkach. Przerzucił się więc na skuter, i wtedy niestety prawie potrafił go inny kierowca. Zaczął więc myśleć o poruszaniu się pieszo, ale z większą prędkością. Moonwalkers rozwijano przez pięć lat, powstało dziewięć generacji ich prototypów, a testowane były głównie na ulicach przez dorosłych do 60. roku życia. – *Ta konstrukcja dość dobrze wpisuje się w trend tzw. mikromobilności, którą dziś znamy przede wszystkim pod postacią hulajnóg czy rowerów elektrycznych. Chodzi o to, by w miejskiej dżungli przemieszczać się szybciej bez użycia samochodu. Moonwalkers wyraźnie pokazują, że jeszcze nie wyczerpaliśmy pomysłów na to, jak ułatwić sobie życie* – zauważa Łukasz Kotkowski, dziennikarz technologiczny i redaktor naczelny Chip.pl. A pierwsi użytkownicy „inteligentnych siedmiomilowych butów” raportują, że poruszają się w nich dwa razy szybciej bez utraty sił i baczniej eksplorują swoje miasta. No i chwalą oszczędność czasu.

JOANNA TRACEWICZ

Influ tu, influ tam

SŁOWO

Nieźle już znamy figurę influencera. Ale w czasach, gdy jednym z hitów wakacji jest utwór z frazą „5 influencerów w łóżku, wreszcie nie jestem sam” (Zeamson, „5 influencerów”), można uznać, że zjawisko doczekało się pewnej eskalacji. Słowniki PWN posiłkują się na razie definicją jednego z uczestników plebiscytu na Młodzieżowe Słowo Roku sprzed sześciu lat: „Osoba, która zdobyła popularność w internecie i korzysta ze swojej sławy, wpływając na swoich widzów/czytelników”. W praktyce ten wpływ oznacza głównie reklamowanie różnego typu produktów i usług w mediach społecznościowych.

Influ to nieco młodsza, skrócona wersja terminu, która powstała z wygody. Ma identyczny rodzaj męski i żeński. I przydaje się samym influencerom, gdy trzeba odnotować np. uciążliwą zmianę zasad (grożącą im likwidacją konta) w jakimś serwisie społecznościowym: „Patrzcie, jakaś dziwna akcja. Sporo influ dziś spadło z rowerka tak jak ja”. Albo kiedy fani komentują na Twitterze zachowanie influencerki na niedawnym warszawskim koncercie Harry’ego Stylesa: „Gdzieś mi się przewinęło, jak jakaś influ (chyba????) wrzucała z trybun nagrania osób bawiących się na płycie i wyśmiewała to, co robią”. Co ciekawe, o ile influencer jest produktem globalnym, influ wydaje się tworem krajowym.

Inne nowe formy sygnalizują postępującą specjalizację w influencerskiej profesji. Jest np. „kidfluencer”, czyli wpływowe dziecko, na którego karierę wpływają na co dzień rodzice. No i wreszcie „deinfluencer”, czyli ktoś, kto zamiast doradzać zakupy – odradza je. Bo produkt uważa



za nieskuteczny lub szkodliwy albo dlatego, że ciągłe kupowanie ma zły wpływ na świat. Ta nowa tendencja przemknęła ostatnio przez TikToka i Instagram, a odnotowywał ją m.in. „Guardian”. Coraz większy tłum na tym rowerku. I coraz łatwiej spaść.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY

Licz tych followersów, ja sukcesy mierzę w płytach, a nie lajkach Nie otaguję sponsora jak te panie w rajtkach

Taco Hemingway, 515, 2016 r.

rajtki = rajstopy (rzecz dotyczy influencerów pokazujących się w skąpych strojach i oznaczających reklamowaną firmę)

Małeństwa śliczne i tanie



IKEA jest dobra, bo jest dobra i tania?
Szwedzki gigant właśnie skończył 80 lat,
a Polska ma swój udział w tym sukcesie.

Nazwy sof i stolików kawowych zapożyczone od szwedzkich miast, a dywanów od duńskich, akcesoriów łazienkowych od nazw rzek i jezior, krzeseł od męskich imion, a pomniejszych materiałów od żeńskich. To część systemu nazewnictwa produktów Ikei, który stworzył założyciel marki Ingvar Kamprad. System miał ponoć ułatwić mu jako dyslektykowi szybką identyfikację poszczególnych projektów. Sama IKEA to zaś akronim od inicjałów twórcy, nazwy jego rodzinnej farmy (Elmtaryd) i wsi (Agunnaryd). Marka, którą wszyscy doskonale znamy, i nie ma pewnie domu, w którym nie znalazłby się przynajmniej jeden jej produkt, kończy właśnie 80 lat. A od ponad 60 lat historia tej firmy jest związana z naszym krajem, ale o tym za chwilę.

IKEA powstała 28 lipca 1943 r., choć wtedy miała jeszcze niewiele wspólnego ze sklepem, który znamy dziś. Kamprad już jako mały chłopiec miał smykałkę do biznesu: zaczynał od sprzedaży zapatek i ryb rozwożonych rowerem, by z czasem poszerzyć swój asortyment o zegarki, długopisy, pończochy czy portfele, a ostatecznie w wieku 17 lat zarejestrować własną



Aleksandra Koperda

– animatorka kultury, historyczka sztuki, dziennikarka, kuratorka, autorka książek o dizajnie „Odwiedziny. Rozmowy o dizajnie” oraz „Dizajn miejsc codziennych”.

firmę. Rower zamienił na vana do przewozu mleka, a po kilku latach, kiedy jego konkurencja Gunnar's Factories zaczęła produkować meble, i on zdecydował się na ten krok. Żył przy tym przekonanie, że wszyscy ludzie, niezależnie od tego, jak im się powodzi, powinni móc wyposażyć swoje domy w wysokiej jakości produkty i otaczać się dobrym wzornictwem. Meble Ikei od początku były relatywnie tanie, co wielu czytelnikom pierwszego, wydanego w 1951 r. katalogu wysyłkowego wydawało się podejrzane. Dlatego w 1953 r. powstał salon z wystawionymi produktami tej marki, w którym ludzie mogli wszystko zobaczyć i dotknąć. Na ceny miało wpływ m.in. płaskie opakowanie mebli, tzw. flatpack, co zresztą nie było pomysłem Kamprada, tylko Michaela Thoneta, niemieckiego twórcy mebli giętych w XIX w. Co ciekawe, pierwszy ikeowski mebel pakowany w tej technice, stolik kawowy Lövet na trzech nóżkach, z charakterystycznym blatem w kształcie liścia, produkowany jest do dziś (obecnie pod nazwą **Lövsbacken**).

Wróćmy do Polski. 21 stycznia 1961 r. Kamprad przyleciał do Warszawy, gdzie przywitał go m.in. Marian Grabiński, technolog drewna i projektant. Sześć dni później w Fabryce Mebli Giętych w Radomsku IKEA złożyła pierwsze zamówienie na 500 sztuk krzeseł Ögla i tak Polska stała się drugim po Szwecji krajem produkującym meble dla marki. Niedługo później Grabiński zaprojektował dla Kamprada i jego narzeczonej regał, który okazał się dziesięcioletnim hitem sprzedażowym, a dziś na aukcjach internetowych osiąga kwoty rzędu 10 tys. zł. Regał, a w zasadzie system modułów, które można dowolnie łączyć, powstał od słów Måttrikigt, Trivsamt, Prisbilligt (odpowiedni wymiar, przyjemny i niedrogi), w skrócie MTP.

Ten projekt Grabińskiego, ale i inne wzory Ikei z lat 60., 70., 80., a nawet 90., zaczynają się cieszyć sporą popularnością i osiągają zawrotne ceny – zupełnie odwrotnie niż w czasach, gdy powstawały. Skąd bierze się ten fenomen? Dlaczego niektóre meble z sieciówki zamiast tracić zyskują na wartości i stają się obiektami pożądania? Cóż, część projektów z czasem stała się klasykami dizajnu, a niektórych projektantów dawnych modeli po latach zalicza się do grona twórców kanonicznych. Wysokie ceny osiągają przede wszystkim meble, które produkowano z lepszych materiałów, a więc i w krótszych seriach. Do dziś przetrwało ich mniej. Dużą rolę odgrywa tu i najwyklesza nostalgia. To, co pamiętamy z przeszłości, wydaje nam się solidne i przyjazne. Niegdyśjsze bestsellery mogą stać się bestselleraami i dziś, o czym IKEA najwyraźniej dobrze wie. Dlatego na 80-lecie swojej działalności, po przegrzebaniu archiwów z tysiącami modeli, wprowadza właśnie kolekcję Nyttillverkad, w której znalazły się dawne projekty w nowych odsłonach. I tak na przykład stolik Lövsbacken, nazywany przez Kamprada „ślicznym maleństwem o bardzo nowoczesnej formie”, zyskał nowe wersje kolorystyczne: intensywną zieleń, niebieski i pomarańcz. ■



T R E N D

Krótko i na temat

Rosną ceny gofrów i długość parawanów,
a rozmiar męskich strojów kąpielowych maleje.
Slipki podbijają plaże i pomosty.

W krzakach siedzą tekstylni, gryzą palce bezsilni, zaklinają deszcz” – śpiewał Zbigniew Wodecki w hymnie lata „Chałupy welcome to”, wbijając szpileczkę konserwatywnemu podejściu do nagości. Tego lata polskie i zagraniczne plaże zasiedla nie tyle „golców pełen tłum”, ile rzesza ledwie-ledwie ubranych urlopowiczów.

O damskim bikini, stikini, mikrokini, monokini, a nawet burkini (POLITYKA 37/16) powiedziano już chyba wszystko, tymczasem męskie stroje do pływania pozostają w cieniu. I to mimo równouprawnienia. Dotąd slipki, czasem nazywane *speedo* z powodu najpopularniejszej firmy, która je szyje, były synonimem obciachu. Majtki na plażę miały czerwone światło, spodnie – zielone. Ta dynamika i akceptowalna długość (a raczej krótkość) właśnie się odwróciła, jak donosi portal CNN.com: slipki przeżywają comeback. Firma Speedo już odnotowała ponad 200-proc. wzrost sprzedaży względem ubiegłego roku na rynkach europejskim, afrykańskim i – co może nieco zaskakiwać – bliskowschodnim.

Wśród oferowanych przez Speedo nowych modeli kąpielowych majtek są i te poważne, bo jednokolorowe, oraz te żartobliwie traktujące ten modowy ambaras, czyli z nadrukowanymi krabami, rekinami i hamakami. Bo może tak trzeba do tej sprawy podejść – z dystansem. Warto też mieć na uwadze, że w epoce *body positive* slipki bez wstydu mogą nosić nie tylko kopie młodego Arnolda Schwarzeneggera (dokument o nim można obejrzeć od kilku tygodni na Netflixie), ale każdy.

Skąd się w ogóle wziął ten model kąpielówek? Zaprojektował je w 1960 r. australijski artysta ceramik i zapalony pływak Peter Travis. Uznał, że dłuższe modele

krępują ruchy zarówno w wodzie, jak i na lądzie. Początkowo slipki miały trzy rozmiary, a konkretnie trzy szerokości: 17,5 cm, 12,5 cm i 7,5 cm. Jak donoszą kronikarze, gdy pierwsi mężczyźni plażowicze zaprezentowali się w slipach, wzbudzili zgorzienie i szybko zostali aresztowani przez policję za „publiczne obnażanie się”. Strażnicy moralności osiągnęli efekt odwrotny do zamierzonego: prawie-golców wkrótce wypuszczono zza krat, ponieważ skąpe speedosy zasłaniały im włosy łonowe (to była granica „obnażania się”), a projekt Travaisa zyskał gigantyczną, darmową reklamę. Bo co może być rozkoszniejszego w lato niż łamanie reguł, i to za pośrednictwem czegoś tak niewinnego jak tekstylia? Dodajmy, że kobietom w tamtym czasie też nie ułatwiano urlopowego życia, specjalny inspektor krążył między ręcznikami i kontrolował długość ich strojów.

Dni chwały slipka dobiegały końca z powodu szpiega klasy 007. James Bond – czy to grany przez Seana Connery’ego, czy Daniela Craiga – nosił na plaży wyłącznie szorty, a te z „Casino Royal” (2006) trafiły nawet do oficjalnego muzeum Jamesa Bonda. Kto nie mógł na co dzień ganiać przestępców, uwodzić pięknych kobiet, rozbijać się drogimi autami, mógł chociaż dzięki strojowi na plażę czuć się jak agent wywiadu. Pośmiewisko ze *speedo* zrobiła popkultura lat 90. wraz ze swoim stylem grunge, szerokimi spodniami z niskim krokiem i ogólną niechęcią do wypracowanej na siłowni sylwetki japiszona-kulturysty.

Jak więc tłumaczyć dzisiejszy zalew kąpielówek niewiele większych niż figowy liść, o który apeluje Wodecki w „Chałupach”? Cytowany przez CNN krytyk mody Stephen Doig triumfalny powrót slipka wiąże z ogólnym skróceniem męskich letnich spodni, co proponują choćby Dior i Prada. Ten ostatni dom mody przywraca zresztą inny budzący emocje element garderoby – kamizelkę wędkarską. Jedni kochają ją za praktyczność, inni skazują na potępienie, stawiając w tym samym rzędzie co skarpety noszone do sandałów. Prada w kolekcji na wiosnę-lato przyszłego roku ubiera modeli w krótkie, szerokie spodnie i kamizelki właśnie, w których zmieszczą się i telefony, i błystki, i... kilka par kąpielowych majtek na zmianę. ■



Ola Salwa

– absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Píše o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.



W odwiedzinach u Zeusa

Jak przystało na świętą górę, przez całe wieki chętnych do stawania na Olimpie nie było. Uważano, że śmiałków, którzy takie próby poczynią, bogowie zrzucą ze skał.

Wsamolocie do Salonik większość pasażerów to plażowicze. A wy gdzie – na Chalkidiki czy na Riwierę Olimpijską? – pytają. My? Na Olimp! – wyjaśniamy. Niedługo potem stoimy nad brzegiem Morza Egejskiego i patrzymy na wznoszącą się prawie 3 km do nieba olbrzymią górę. Olimp to właściwie nie jest jeden szczyt, bo w mającym średnicę 26 km masywie wyróżnia się aż 52 wierzchołki, w tym kilka sięgających 2900 m. Najwyższy jest Mytikas (2918 m), na którym wkrótce razem z kolegą zamierzamy stanąć.

Bazą wypadową jest miasteczko Litochoro. Prowadząca stąd kręta asfaltowa droga po 18 km kończy



Monika Witkowska – podróżniczka, żeglarka, himalaistka. Autorka książek (m.in. „Everest. Góra Gór”) i przewodniczka grup trekkingowych, m.in. w Himalajach. Prowadzi stronę monikawitkowska.pl.

się parkingiem, z którego rozpoczyna się najkrótszy, bo siedmiogodzinny, a tym samym najpopularniejszy szlak na szczyt. My za namową Nektariosa, naszego greckiego znajomego, wybieramy trzydniową wędrowkę ze startem z innej zupełnie strony.

Po trzech godzinach stromego podejścia robimy przerwę w otoczonym lasem schronisku Petrostrouga. W dalszym etapie wędrowki fascynują nas drzewa, a konkretnie sosny bośniackie, które na wysokości 2 tys. m, gdy w Tatrach zanika już nawet kosówka, imponują grubymi pniami i strzelistością do 35 m! W końcu jednak wychodzimy ponad granicę lasu, robi się skalisto, a momentami mijamy też przepaście, co oznacza, że dotarliśmy na Płaskowyż Muz (dziewięć córek Zeusa, bogiń nauki i sztuki).

Na noc zatrzymujemy się w Refuge Giosos Apostolidis, zbudowanym na wysokości 2697 m. Dalekie od luksusów warunki: wieloosobowa sala z prycami, wspólna dla wszystkich łazienka, wynagradzają atmosfera i tradycyjnie zaparzona w tygielku kawa, pita z widokiem na potężne skały. To Tron Zeusa ze szczytem Stefani (2909 m). Widać tam jego podobiznę. Co do mitologii, to jeszcze na dole, w muzeum parku narodowego na obrzeżach Litochoro, można przeczytać, że grono bóstw uprawnionych do zamieszkania w pałacu na najwyższym szczycie Olimpu było bardzo ograniczone. Zeusowi towarzyszyła jedynie Hera, czyli małżonka, Temida pełniąca funkcję doradczynie i zarazem bogini sprawiedliwości, poza tym odpowiedzialny za serwowanie ambrozji piękny młodzieniec Ganimedes oraz Iris – bogini w roli posłanki przynoszącej wiadomości między ziemią a niebem. Pozostali bogowie mieszkali na niższych poziomach.

Kolejny dzień trekkingu rozpoczynamy wcześniej. W ramach rozgrzewki musimy przetrawersować mocno nachylone zbocze, co łączymy z obserwowaniem pasących się blisko kozic. Po krótkiej przerwie na przepakowanie w schronisku Spilios Agapitos ruszamy w górę z zamiarem zdobycia Mytikas. Mamy ze sobą kaski, a nawet linę, uprząż i wspinaczkowy szpej, pozwalający na wpinki do założonych w skałach punktów asekuracyjnych. Niestety, chmury, jakie nachodzą, gdy osiągamy wierzchołek, sprawiają, że gdyby nie grecka flaga, nie byłibyśmy pewni, czy to Mytikas. Nie widzimy położonego hen w dole morza, ale i tak się cieszymy. Poza naszą dwójką nie ma na szczycie nikogo, chociaż śmiejemy się, że pewnie obserwuje nas Zeus. Jakkolwiek by było, dotarliśmy na Panteon, jak w nawiązaniu do mitologii mówi się o Mytikas. Jak przystało na świętą górę, przez długie wieki chętnych do stawania na jej wierzchołku nie było. Uważano, że śmiałków, którzy takie próby poczynią, bogowie zrzucą ze skał.

Na zakończenie naszej wyprawy pod hasłem „odwiedziny u Zeusa” postanawiamy podziękować Gromowładnemu za łaskawe wpuszczenie nas na Panteon. Jedynemu odwiedzić ruiny poświęconej mu świątyni. Postawiono ją w Dion, starożytnym mieście u podnóża góry. O jej ważności świadczy to, że w ramach uroczystości, takich jak igrzyska olimpijskie ku czci Zeusa, odbywające się w V i IV w. p.n.e., na świątynnym ołtarzu składano w ofierze aż setkę wołów! My przychodzimy bez darów, za to z wyuczonym już greckim „dziękuję”: Efharisto, Zeusie, za wymagającą wysiłku przygodę! ■



Król bób

KUCHNIA

Sezonowe gotowanie polega na korzystaniu z lokalnych i świeżych w danym miesiącu warzyw i owoców. Niektóre warzywa, jak ziemniaki czy cebula, są dostępne zawsze. Inne jarzyny swój najlepszy termin do spożycia mają króciutki. I takie lubimy w Polsce najbardziej. Czekamy na nie całe 11 miesięcy, by potem zorganizować sobie w kuchni rozkoszny festiwal z ich głównym udziałem. W lecie berło tego najlepszego i najbardziej wyczekiwanego przechodzi z warzywa na warzywo niemal co miesiąc. Dopiero co na piedestale stały w swej zielonej koronie szparagi. Teraz władzę absolutną nad polskimi brzuchami i zachciankami przejął król bób.

W jego smaku kryje się dużo nostalgii. Ten specyficzny zapach, który wydziela się podczas gotowania, niejednej osobie kojarzy się z dzieciństwem, a na pewno z pełnią lata. W bloku czy kamienicy przygotowywany bób czuje się na korytarzu codziennie. Od lat w polskich domach bób zjada się po prostu gotowany w wodzie i znam takich, którzy zostają tylko przy tej metodzie. Oczywiście, że taki wylawiany prosto z wody jest najlepszy. Ale bobowi można dać szansę, by zaprezentował się w innych daniach, kotlecikach czy sałatce. Zawsze mnie dziwi, że nie mamy tradycji, by bób suszyć tak, jak suszy się fasolę „Jaś”. Może dlatego, że tak szybko zjadamy wszelkie zapasy?

Bób najczęściej kupuje się w woreczkach. Należy sprawdzić, czy środek nie jest zaparowany, wilgotny i śliski. Bób, który jest jeszcze surowy, a w zapachu przypomina piwnicę, będzie gorzki i niedobry. Można go jeść w też skórkach. Ten młody i drobny gotuje się zdecydowanie krócej. W ogóle namawiam do tego, by bobu nie rozgotowywać. Wspaniale smakuje mocno zielony i ugotowany na ząb. Taki też sprawdzi się w sałatce, a jeśli jakimś pechowym zrzędzeniem losu zostaną ci resztki bobu lub go za bardzo ugotujesz, przygotuj z niego chrupiący à la popcorn.



Alicja Rokicka

– autorka bloga *Wegan Nerd* i książek kulinarnych, entuzjastka słonecznej Italii i smaków śródziemnomorskich w wersji roślinnej. Z wykształcenia graficzka.

Sałatka ryneczkowa

- | | |
|--------------------------------|------------------------------------|
| kilka ziemniaków | 1 czerwona cebula |
| 300 g bobu | szczypta soli |
| 1 świeży ogórek | 1–2 łyżeczki musztardy francuskiej |
| 1 ogórek kiszony lub małosolny | 1 łyżka octu jabłkowego |
| 2–3 rzodkiewki | sok z ½ małej cytryny |
| 1 łyżka kaparów | 1 łyżeczka syropu z agawy |
| koperek | oliwa (ok. 5 łyżek) |
| 2 łyżki soku z cytryny | sól, pieprz |

Sposób przygotowania:

Ziemniaki oczyścić, przekrój na pół i gotuj w osolonej wodzie. Bób przepłucz w zimnej wodzie. Przełóż do garnka. Zalej wodą i posól, gotuj do miękkości, ale nie za długo. Następnie obierz, ale nie jest to obowiązkowe.

Cebulę przetnij na pół. Obierz i pokrój w cieniutkie paski. Lekko posól i skrop sokiem z cytryny. Teraz mieszaj dłońmi i lekko zgniataj. Cebulka zrobi się miękka, różowa i puści sok.

Przygotuj miskę. Dodaj musztardę, ocet, sok z cytryny i syrop z agawy. Powoli dolewaj oliwy, mocno mieszając widelcem, aż całość lekko zgęstnieje. Posól i popieprz.

Do miski z dressingiem wsyp ogórek i rzodkiewkę pokrojone w małą kosteczkę. Dodaj bób i ugotowane ziemniaki. Wymieszaj. Dodaj dużo posiekanego koperku. Całość jeszcze lekko popieprz. Na wierzch ułóż kapary i różowiatką cebulę.

Bób prażony w przyprawach

- | | |
|-----------------------------|--|
| 300–500 g bobu | 1 łyżeczka curry lub kuminu |
| 1 łyżka dowolnej mąki | 1 łyżeczka suszonego oregano lub rozmarynu |
| 1 łyżeczka słodkiej papryki | olej lub oliwa |
| ½ łyżeczki ostrej papryki | |
| 1 łyżka sezamu | |

Sposób przygotowania:

Bób wypłucz w wodzie, a następnie ugotuj do miękkości.

Odsącz. Przygotuj miskę.

Dodaj mąkę i wszystkie przyprawy. Wymieszaj. Wsyp bób i wymieszaj dobrze, by każde ziarno pokryła mieszanka.

Przygotuj blachę i wyłóż ją papierem do pieczenia. Posmaruj papier lekko oliwą.

Przesyp bób i rozprosz tak, by ziarna nie leżały na sobie. Skrop oliwą.

Piecz w 180 st. ok. 25 minut. Po 15 minutach można bób przemieszać.

Poeta Tomasz Jastrun odnotowuje w „Przeglądzie”: „na Jasnej Górze prezes i jego klan kołyszają się tańcząc w rytm nabożnych pieśni. Tańczy podobny do Shreka opasły Sasin, tańczy szparagowaty Błaszczak, tańczy zwałisty Czarnek, prezes jak piłeczka w środku przebiera nóżkami, kuriozalny widok. I triumfujący ojciec dyrektor, który dostaje od PiS historyczny miecz »z czasów Mieszka I«, kosztował ćwierć miliona złotych. »Alleluja i do przodu!« woła z ołtarzy jasnogórskich prezes, naśladując zwyczajowy okrzyk bojowy ojca dyrektora. (...) Mszę celebrowała abp Jędraszewski, jakby zakonserwowany od wieków, mumia kościelna. Jasna Góra zamieniona w Ciemną Górę”. Niezły temat na wiersz.

Opodarku pisze Michał Ogórek dla „Angory”: „Wiele hałasu wywołało podarowanie przez ministra Sasina Tadeuszowi Rydzykowi z Torunia jakiegoś żelastwa mającego udawać miecz z czasów pierwszych Piastów. Okazało się, że rząd uważa Rydzyka za debila, dla którego wszystko się nadaje. Rodzaj prezentu jasno sugeruje, że uważa się obdarowanego za podobną podróbkę kapłana, na którą mogą się nabrać jedynie osoby, które nie mają pojęcia, jak powinien wyglądać oryginał”.

W felietonie dla „Newsweeka” Andrzej Stankiewicz też o mieczu: „Enea to już drugi koncerne energetyczny, który składa hołd lenny redemptoryście, pierwsza była Polska Grupa Energetyczna, która zmusza torunian do przepłacania za Rydzykową geotermię. Czekając na to, aż się ockną dwa pozostałe duże koncerny – Obajtkowa Energa oraz śląski Tauron – liczę sobie na palcach, ile w sumie Kaczyński zapłacił już Rydzykowi z naszych pieniędzy, żeby jego ołtarz stał murem za pisowskim tronem. Palców starczyło mi na jakieś 400 mln zł, choć mógłbym się doliczyć pewnie z pół miliarda. Czyli – jakkolwiek by patrzeć – jakieś 2 tys. nagich mieczów już do Torunia wysłaliśmy”. I wciąż mało.

Janusz Anderman uparcie śledzi pomysły władzy J na łamach „Dużego Formatu”: „Centrum Krucjaty Wyzwolenia Człowieka dostało z tej rezerwy [budżetowej] niemal 30 mln. Trudno dociec, na czym polega

proceder wyzwolenia człowieka dzięki krucjacie w centrum, ale brzmi dobrze aż do zawrotu głowy. Gdyby jednak ktoś był zanadto dociekliwy, to się dowie, że chodzi o górski ośrodek wypoczynkowy, którym będzie zawiadywał Kościół katolicki. Za tym zbożnym dziełem lobbował poseł Kowalczyk, były minister rolnictwa, a więc człek w dziedzinie krucjat nadzwyczaj kompetentny: »Bardzo się cieszę, że udało się namówić pana premiera Mateusza Morawieckiego do wsparcia tej budowli. To jest niezwykle ważne. Powiem szczerze, że nie trzeba było długo namawiać«. Dobry i hojny człowiek z tego premiera.

W Polsce jest jedno z bardziej liberalnych praw dotyczących aborcji.

Kobiety w Polsce są szczególnie chronione i szczególnie cenione – szef gabinetu politycznego premiera Marek Suski, „GW”.

Coraz bardziej rozczarowana obecna władza Kataryna pisze w „Plusie Minusie”: „naprawdę nie interesuje mnie, dlaczego Ukraińcy nie chcieli publicznie i wprost uznać zbrodni swoich współobywateli – sami też tego nigdy nie potrafiliśmy – ale chciałabym wiedzieć, jak my to zrobiliśmy, że w takim momencie historycznym udało nam się nie wypracować z nimi nic, co pozwoliłoby iść dalej. Nieudolni i nieasertywni politycy zafundowali nam właśnie dalszą radykalizację antyukraińskiej szurii, a żądanie Konfederacji uznania ambasadora Ukrainy za persona non grata to – obawiam się – dopiero początek”. Szaleństwo się rozkręca.

udolni i nieasertywni politycy zafundowali nam właśnie dalszą radykalizację antyukraińskiej szurii, a żądanie Konfederacji uznania ambasadora Ukrainy za persona non grata to – obawiam się – dopiero początek”. Szaleństwo się rozkręca.

W długim wywiadzie dla „Sieci” były marszałek Senatu Stanisław Karczewski zapewnia: „Nasz prezes jest bardzo skromnym człowiekiem, ogromna większość z nas ciężko pracuje, nie chce dla siebie żadnych przywilejów. Jasne, że są jakieś wyjątki, zdarzają się błędy, ale nie ma partii złożonej z samych aniołów. Ważne, że reagujemy, nie odpuszczamy, wymagamy dużo od siebie i od naszych ludzi, staramy się działać porządnie i uczciwie”. Osiem lat się starają i wciąż im nie wychodzi.

Jan Piński z „Najwyższego Czasu!” postrzega PiS i prezesa inaczej: „Wszyscy ci, którzy dziś mówią, że Konfederacja powinna współrządzić z PiS, powinni przyjrzeć się, co robi PiS. Kaczyński po prostu buduje dyktaturę. Zwiększa zakres zbierania informacji przez państwo. Konsekwentnie wprowadza coraz głębsze państwowe regulacje – wszystko po to, aby władza miała coraz więcej narzędzi do nękania ludzi. Moment, gdy 34 lata po upadku komuny wróci zakaz fotografowania dworców, będzie symboliczny. Kaczyński nie zatrzyma się, dopóki nie zbuduje dyktatury takiej, jaka była w PRL – wtedy gdy on czuł się tam bezpiecznie”. I spał smacznie.

W „Tygodniku Powszechnym” szef IBRiS Marcin Duma o nastrojach Polaków: „Obserwujemy uczucie braku stabilności i wiary, że władza, która długi czas tę stabilność nam przynosiła, znowu sobie poradzi. Mam wrażenie, że większość z nas gotowa jest zaryzykować zmianę u steru, ale nie dlatego, że tak bardzo kochamy którąś z opozycyjnych partii; bardziej chodzi o to, że obecna władza się zużyła, więc gotowi jesteśmy na ryzyko zmiany”. Tylko trzeba jeszcze zagłosować.



POLITYKA

SALON

NR 15

WNĘTRZA | ARCHITEKTURA | SZTUKA | STYL ŻYCIA



LOFTY
DO MIESZKANIA
I PRACY

WYDANIE SPECJALNE NR 3/2023 CENA 16,99 zł (w tym 8% VAT) INDEKS: 381-055

KULTURA NA LATO

GRAND TOUR
CZTERY STOLICE
PIĘCIU MISTRZÓW
SZEŚĆ STULECI

TONY CRAGG
W CSW TORUŃ
TEJ WYSTAWY ZAZDROŚCI
NAM EUROPA

MIASTA DLA PSZCZÓŁ
DZIKIE OGRODY
I PASIEKI NA DACHACH
BIUROWCÓW

Do kupienia w dobrych kioskach i na sklep.polityka.pl

SALON *pismo o tym, co nas tworzy*

Wystarczy zainstalować

innovacyjna
cicha
niezawodna

R32
LOW GWP



Ekologiczny
czynnik
chłodniczy R32

Jak płacić mniej za energię? Z pompą ciepła Vitocal typu Split!

- ✓ Energooszczędna i niezawodna w każdych warunkach.
- ✓ Szybka w montażu i łatwa w obsłudze.
- ✓ Bardzo cicha praca i atrakcyjny design.

Pompa ciepła Vitocal typu Split od Viessmann to innowacyjne i ekologiczne rozwiązanie do ogrzewania budynków i przygotowywania ciepłej wody użytkowej. Wyróżnia się cichą pracą, łatwym montażem, wysoką sprawnością grzewczą i gwarantuje niskie rachunki za ogrzewanie.

Masz pytania? Chętnie na nie odpowiemy i pomożemy w uzyskaniu dotacji na zakup pompy ciepła!

viessmann.pl/vitocal

VISSMANN



for our climate